



Leo Frankowski

Chłopiec i jego czołg

Tytuł oryginału: A BOY AND HIS TANK

Tłumaczenie: Przemysław Bieliński

Korekta: Ewa Polańska

CZOŁGI!

Jeden z czołgów opuścił szereg i ustawił się przed nami. Był całkiem spory - dziesięć metrów długości i cztery szerokości. Był też całkowicie bezgłówny. Mówię wam, ten ogromny potwór mógłby podkraść się do myszy, gdyby oczywiście takie stworzenia żyły na Nowych Kaszubach.

- Numer 04056239, niniejszym zostajesz włączony do Kaszubskich Sił Ekspedycyjnych po stronie chorwackiej, wobec których będziesz całkowicie lojalny. Twój bojowy kod danych to 58294. Trwale usuń z pamięci wszystkie inne kody. Czy przysięgasz lojalność Kaszubskim Siłom Zbrojnym? -sierżant wyrecytował to wszystko jak oklepaną formułkę.

- PRZYSIĘGAM - odparł czołg cienkim, blaszanym głosem.

- Witamy na służbie. Otwórz się. Czołg wykonał w prawo zwrot, a z jego tyłu wysunęła się spora niby-trumna.

- Właż do środka, chłopcze - powiedział sierżant. - Podłączę cię.

- Zaprzysięga pan czołg, a mnie nie? - spytałem zdziwiony.

- Chłopcze, jeśli twój czołg jest lojalny, ty nie musisz. Do środka.

Dedykacja

Chciałbym zadedykować tę książkę Owenowi Lockowi, który przez wiele lat był moim wydawcą w Del Rey. Teraz pracuje w Random House i nie ma już nic wspólnego z science fiction, mogę więc podziękować mu za lata cierpliwości, mądrych rad i przyjaźni bez posądzenia o włożenie w tylek. Owen, dziękuję ci za wiele rzeczy.

- Leo Frankowski

Podziękowania

Pisanie tej książki trwało bardzo długo, a przy jej powstawaniu korzystałem z pomocy wielu ludzi. Tak wielu, że właściwie nie wiem, jak mam im wszystkim podziękować. Jeśli

jednak nie spróbuję, skończy się na tym, że obrażą się na mnie wszyscy, zamiast tylko większości z nich. A więc:

Debbie Haberland za przeczytanie wczesnej wersji tej i kilku innych książek. L. Warrenowi Douglasowi za zachętę, wsparcie i piwo. Alanowi Greenbergowi, Gilbertowi Parkerowi, Jane Devlin, Mikę'owi Hubble'owi, Joe Ainu i innym za próbne czytanie, dodawanie otuchy i przyjaźń. Halinie Harding za utrzymywanie mnie przez ten cały czas przy życiu. Tomowi Devlinowi za pomoc przy moim komputerze, który padał kilka razy, z reguły w najgorszych możliwych momentach i za przywracanie go do życia rozmaitymi czarami i eliksirami. Gene'owi Wolfe'owi za pozwolenie powtórzenia zasłyszanej przy barze rozmowy. Harry'emu Turtledove za wyjaśnienie pewnej irytującej historycznej kwestii. Glenowi Horningowi za pomoc, kiedy naprawdę jej potrzebowałem. Toni Weisskopf i Jimowi Baenowi za kupięInie ode mnie książki i wydanie jej. Wszystkim wam jak najserdeczniej dziękuję.

Wyjątkowe podziękowania należą się sierżantowi Jamesowi Coopowi z kontyngentu kompanii C, 1 -32 Pancerna, Pierwsza Dywizja Kawalerii za to, że przeczytał pierwszą wersję książki, siedząc na pustyni i czekając na Pustynną Burzę. Około dwudziestu jego przyjaciół również spisało swoje komentarze i odesłało mi je wraz z maszynopisem, ale Poczta zmasakrowała przesyłkę i wszystkie ich cenne uwagi przepadły. Wszystko, co do mnie dotarło, to strzępy brązowego papieru, sklejone jakimiś czterdziestoma jardami taśmy samoprzylepnej i komputerowy wydruk maszynopisu. Zanim zdążyłem im odpisać wojna się skończyła, a oni wszyscy rozjechali się do domów. Bezpowrotnie straciłem opinie prawdziwych zawodowców, co na pewno nie wyszło książce na dobre.

Jakby tego było mało, osobiście zgubiłem listę nazwisk żołnierzy, którzy próbowali mi pomóc. Przepraszam, panowie. To wszystko moja wina.

Na koniec wcale nie dziękuję temu sukinsynowi, fizykowi z Warren Tanks Plant, który w zeszłym roku w Tudor's Tavern pożyczył ode mnie kopię maszynopisu. Nigdy więcej go nie widziano, mojego maszynopisu zresztą też. Jeśli w najnowszych czołgach zastosują niektóre z moich pomysłów, będziecie wiedzieć, komu je zwinęli.

Leo Frankowski

Sterling Heights, 21 listopada 1998

Od autora

Długo trwało, zanim udało mi się skończyć tę książkę. Nie spotkałem się jeszcze z sytuacją, by dwóch autorów używało tej samej techniki pisania. Osobiście stosuję coś, co można porównać do techniki Method Acting (chyba, że to początek łagodnej formy schizofrenii), wcielając się jednocześnie w narratora i większość głównych postaci z książki.

Narzuca to od razu pewne ograniczenia. Po pierwsze, muszę trzymać się pisania w pierwszej osobie. Po drugie, muszę być bardzo ostrożny w tworzeniu postaci, ponieważ często zapominam się i pozostaję jedną z nich, kiedy wstaję od biurka. Gdyby mój bohater był przypadkiem do leczenia, mógłbym skończyć w więzieniu.

Pod koniec lat osiemdziesiątych ogromne wrażenie zrobiła na mnie książka Hammer s Slammers Davida Drake'a. Zapragnąłem koniecznie napisać coś o najemnikach, jeżdżących superczołgami i wysadzającymi w powietrze całe okolice.

Z przyczyn tylko i wyłącznie finansowych najemnik dobrowolnie zabija ludzi, którzy nie zrobili nic złego jemu ani jego rodzinie, jednocześnie zgadzając się podjąć ryzyko bólu, okaleczenia i śmierci, które sam zadaje. Kimś, kto przyjmuje taką pracę mógłby być ktoś tak biedny, że jego rodzinie grozi śmierć z głodu. Widmo zagłodzonej żony i dzieci mogłoby sprawić, że zrobiłby wszystko, co w jego mocy, by utrzymać ich przy życiu. Lub też mógłby to być ktoś, kto po prostu lubi rozwalać innych i uważa, że dostawanie jeszcze za to pieniędzy to już raj na ziemi. Czyli po prostu świr w najgorszym wydaniu.

Ponieważ umieranie z głodu jest w Ameryce niezgodne z prawem, członkami kilku nielicznych najemniczych organizacji w Stanach są ludzie z tej drugiej grupy. Zdarzyło mi się takich spotykać. Nie chcielibyście, żeby jeden z nich zamieszkał na waszej ulicy. Są przerażający.

Nie mówię tu o żołnierzach, którzy służą w regularnych siłach zbrojnych swoich krajów. Takich ludzi często wypada zaliczyć między najlepszych, jakich może wydać z siebie ludzka rasa. Krótko mówiąc, nie mogłem napisać książki o najemnikach z drugiej grupy i pozostać kimś, kogo towarzystwo byłoby mile widziane, czy nawet bezpieczne. Moi bohaterowie musieli pochodzić z grupy pierwszej.

W ten sposób stanąłem przed dylematem. Jeśli byli tak cholernie biedni, jakim cudem stać by ich było na warte miliony dolarów superczołgi? Żeby rozwiązać ten problem, wymyśliłem długą i skomplikowaną historię Grupy Najbogatszych Państw i Nowych Kaszub. Potem musiałem ustalić, czyje terytorium będą ci wspaniali żołnierze bezczęścić.

Wtedy, pod koniec lat osiemdziesiątych, dla wszystkich oprócz rządzących oczywiste było, że Jugosławia to tykająca bomba zegarowa. Większość krajów ma jedną czy dwie mniejszości narodowe, ale Jugosławia miała ich tyle, w dodatku wrogo do siebie nastawionych, że trudno było mówić o jakimś narodzie w ogóle. To czyniło z nich idealnych kandydatów do wszczęcia dowolnej ilości lokalnych konfliktów. Wsadzenie do tej samej książki Polaków, Serbów i Chorwatów dawałoby mi mnóstwo okazji do pokazania różnych aspektów charakteru Słowian.

Tak przygotowany zacząłem robić to, co umiem najlepiej - zapisywać czysty, biały papier równymi rzędami liter. Książka była już w dziewięćdziesięciu procentach gotowa, kiedy ci paskudni Jugole bez mojego pozwolenia wszczęli wojnę. O dwieście lat za wcześnie i na niewłaściwej planecie, na dodatek.

Musicie zrozumieć, że historyczny i techniczny realizm jest dla mnie niezwykle ważny. Dopóki sam siebie do czegoś nie przekonam, nie mogę o tym pisać w ogóle. Z powodu toczącej się wojny wszelkie spekulacje na temat przyszłości Jugosławii stały się bezprzedmiotowe. Gdyby, powiedzmy, Serbowie zostali starci z powierzchni ziemi, charakter całego kraju zmieniłby się całkowicie. Do diabła, nie mogłem nawet być pewien, czy dwieście lat później byłaby jeszcze jakaś Jugosławia.

*Mijały miesiące, a na ekranie mojego komputera nie pojawiała się nic sensownego. W końcu odłożyłem prace nad książką i skupiłem się na pisaniu *The Fata Morgana*. Byłem już blisko skończenia tej powieści, kiedy ją też musiałem odłożyć na później. Problemy natury medycznej sprawiły, że nie byłem w stanie usiedzieć przy komputerze, nie mówiąc już o naciskaniu klawiszy w jakikolwiek skoordynowany sposób.*

*Kilka lat później moje zdrowie zaczęło wracać do normy. Konto bankowe świeciło pustkami, właściciel mieszkania, które wynajmowałem, zaczął dopytywać się o zaległy czynsz... Zrobiłem wtedy coś zupełnie oczywistego: napisałem *Chłopca i jego czołg* całkowicie od nowa. Wreszcie, po tak długim czasie macie go przed sobą.*

Milej zabawy.

Leo Frankowski, 1 sierpnia 1998 Sterling Heights

ROZDZIAŁ PIERWSZY

JAK MA OCHOTNIKA WSTĄPIŁEM DO WOJSKA, ROK 2132 MNIEJ WIĘCEJ

Skazali mnie na śmierć, po czym dali wybór: albo rozłożą mnie na czynniki pierwsze, a moimi komórkami będą nawozić kadzie hydroponiczne, albo pójdę do wojska. Wybrałem armię, ale szybko przekonałem się, że po raz kolejny dałem ciała.

Godzinę później, wykąpany, z ogoloną na zero głową całkiem nagi szedłem chłodnym korytarzem w kierunku strefy wysokiego ciężenia warstwy palladu. Korytarz miał dwadzieścia metrów średnicy, co odpowiadało rozmiarom ogromnych wiertel japońskich koparek rudy. Podłogę wyrównał równie absurdalnie wielki robot przemysłowy. Lśniące, metalowe ściany wydawały się ciągnąć w nieskończoność.

Wypełnienie takiego tunelu powietrzem musiało kosztować niezłą sumkę. Strażnicy zostawili mnie sam na sam z sierżantem, stojącym przed długim szeregiem czołgów. Wiedziałem, że to sierżant, bo miał sporo pasków na opasce na ramieniu. Z wyjątkiem tej opaski i sandałów był tak samo nagi, jak ja. Nowe Kaszuby nie były dość bogate, by ich mieszkańcy mogli sobie pozwolić na ubrania.

Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej odwołam się do dobrej strony faceta, więc zasalutowałem. Spojrzał na mnie i powiedział:

- Nie salutuj, dopóki nie wiesz jak. Poza tym sierżantom się nie salutuje.

- Tak jest, sir.

- I nie zwracasz się „sir” do podoficera. - Spojrzał do notatnika. - Ty jesteś Mikołaj Derdowski?

-Tak.

- Przyłóż tu prawy kciuk.

Kiedy zrobiłem, co kazał, ponownie zajrzał do notatnika.

- Numer 04056239! - krzyknął. - Twoja kolej! Wystąp i baczność!

Jeden z czołgów opuścił szereg i ustawił się przed nami. Był całkiem spory - dziesięć metrów długości i cztery sze-rokości. Gruby może na metr, jechał jakieś dwadzieścia centymetrów nad podłogą na gąsienicach, które okazały się niepołączonymi w żaden sposób metalowymi płytami, wysuwającymi się ze szczelin z przodu czołgu. Układały się przed maszyną, która nad nimi przepływała, po czym unosiły się i znikały w szczelinach z tyłu pojazdu. W ogóle nie były do niczego przymocowane! Odgadłem, że musi to mieć coś wspólnego z magnesami.

Czołg był całkowicie płaski od spodu i z wierzchu. Gładkość wypolerowanego do połysku metalu psuło jedynie małe wybrzuszenie z przodu, z lewej strony. Wszystkie cztery boki nachylały się do wewnątrz pod kątem czterdziestu pięciu stopni i były tak samo gładkie, jak pozostałe powierzchnie maszyny. Wujek mówił mi kiedyś, że czołgi miały wymienne uzbrojenie. Można było zamontować na nich dowolną broń i wszystko, co było potrzebne do konkretnej misji, więc nie zaskoczył mnie brak widocznych dział. Nie mogłem natomiast zrozumieć, gdzie było miejsce dla kierowcy i którędy mógł widzieć, co się działo na zewnątrz.

Czołg był całkowicie bezgłówny. Mówię wam, ten ogromny potwór mógłby podkraść się do myszy, gdyby oczywiście takie stworzenia żyły na Nowych Kaszubach.

- Numer 04056239, niniejszym zostajesz włączony do Kaszubskich Sił Ekspedycyjnych po stronie chorwackiej, wobec których będziesz całkowicie lojalny. Twój bojowy kod danych to 58294. Trwale usuń z pamięci wszystkie inne kody. Czy przysięgasz lojalność Kaszubskim Siłom Zbrojnym? - sierżant wyrecytował to wszystko jak oklepaną formułkę.

- PRZYSIĘGAM - odparł czołg cienkim, blaszanym głosem.

- Witamy na służbie. Otwórz się.

Czołg wykonał w prawo zwrot, a z jego tyłu wysunęła się spora niby-trumna.

- Włóż do środka, chłopcze - powiedział sierżant. - Podłączę cię.

- Zaprzysięga pan czołg, a mnie nie? - spytałem zdziwiony.

- Chłopcze, jeśli twój czołg jest lojalny, ty nie musisz. Do środka.

- Nie podoba mi się to.

- Na początku nikomu się nie podoba. Potem nauczysz się to kochać. Myśl o tym jak o łonie matki z widokami.

- Założę się, że powtarza pan to wszystkim chłopakom - powiedziałem, próbując zyskać na czasie.

- Racja. Nie podłączam dziewczyn, które zgłaszają się na ochotnika. Tym gorzej dla mnie. Słuchaj, chłopcze, włóż do środka. Albo to, albo hydroponiki. Rozważywszy obie możliwości wlałem do środka i ułożyłem się na przyjemnie ciepłym metalu. Zaskoczyło mnie to. Spodziewałem się, że będzie zimny.

- Na początek musimy założyć ci cewnik na części intymne. Rozłóż nogi. Wyluzuj się! Pamiętaj, że mi nie podoba się to tak samo, jak tobie. Sierżant wziął długi wąż z gumową skomplikowaną wyglądającą końcówką posmarował ją jakimś smarem i umieścił na moim penisie i w rurze wydechowej. Nie byłem tym zachwycony.

- Nie powinien pan powiedzieć mi, jak mam tym kierować?

- Miałeś kiedyś komputer osobisty, chłopcze?

- Tak, trzy lata temu, na Ziemi.

- Więc wiesz, że pierwsze, co zrobił, to nauczył cię, jak go obsługiwać. Komputer w środku tego czołgu bije go na głowę. Sam myśli, a przynajmniej jest tego tak bliski, że dla ciebie to żadna różnica. Nauczy cię wszystkiego, co będziesz musiał wiedzieć. Siadaj.

- Chyba sam wpadłem na to wszystko, ale w tej chwili nie myślałem za dobrze. Usiadłem, a on przykleił mi szeroki pasek jakiegoś elastycznego materiału, zaczynając od czubka głowy, przez kark, do środka pleców.

- To elektryczna przystawka indukcyjna, przez którą będziesz się komunikował z komputerem pokładowym. Nie da się jej odkleić, a po jakimś czasie wrośnie ci w skórę. Nie zostanie nawet blizna. Stare modele trzeba było implantować chirurgicznie, ale ty miałeś szczęście. To maleństwo przyszło tu prosto z fabryki.

- Będzie pan miał coś przeciwko, jeśli nie poczuję wdzięczności?

- Ani trochę. Przy odrobinie szczęścia nie zobaczę cię więcej na oczy.

Z pobliskiego stojaka zdjął coś w rodzaju metalowego hełmu, zakrywającego całą głowę razem z twarzą. Nie miało to szpar na oczy ani nawet otworu, przez który można by oddychać, jedynie skomplikowane gniazdo z lewej strony.

- Wyglądasz mi na rozmiar czternaście L, ale lepiej się upewnijmy - powiedział sierżant, łącząc hełm z czołgiem za pomocą kabla i jakiegoś przewodu. Założył mi to na głowę. Coś w rodzaju kołnierza napompowało się powietrzem, przylegając ciasno do mojej szyi. To było straszne. Przed oczami miałem jakieś ekrany. Nagle zobaczyłem, jak sierżant mocuje mi hełm na głowie z perspektywy kamery, umieszczonej na czołgu. Wcześniej jej nie zauważyłem. Po chwili odetchnąłem i z wielką ulgą stwierdziłem, że mogę oddychać. Na szczęście nigdy nie cierpiałem na klaustrofobię. Ludzie z tą przypadłością nie wytrzymują długo w tunelach Nowych Kaszub.

- ROZMIAR JEST WŁAŚCIWY, SIERŻANCIE - odezwał się blaszany, komputerowy głos w moim uchu.

- Bardzo dobrze - usłyszałem odpowiedź. — Połóż się, chłopcze. Może pani zamykać i napęłnić jego pojemnik. Zobaczyłem, że wjeżdżam stopami naprzód do wnętrza czołgu, jak ludzki czopek. Kiedy schowałem się cały, poczułem, że pudło, w którym leżałem, wypełnia się jakimś ciepłym płynem. Klaustrofobia czy nie, wcale mi się to nie podobało!

- Czy mogę jeszcze zmienić zdanie co do tych hydroponików? - wrzasnąłem.

- Zapomnij, chłopcze - usłyszałem głos sierżanta. Oczami kamer obserwowałem, jak odchodzi. Odwrócił się jeszcze na chwilę.

- Jeszcze jedno. Jeśli dogadasz się ze swoim komputerem, może ci być bardzo dobrze. Wierz mi. Ale jeśli spróbujesz z nią walczyć, dokonasz żywota w bardzo wyjątkowym rejonie piekła. Do widzenia i powodzenia, żołnierzu !

- Do widzenia, idź do diabła i oby cię tam zastrzelili! - wrzasnąłem. Nie odwrócił się. Później dowiedziałem się, że komputer ocenzurował moje pożegnanie. Może to i lepiej.

Moja trumna wypełniła się całkowicie ciepłym płynem i zacząłem się wygodnie unosić. To znaczy, byłoby mi wygodnie, gdybym nie znajdował się zalany wodą pod cholera wie iloma centymetrami pancerza. Jeśliby maszyna przestała działać, udusiłbym się w ciągu minuty. Powierzyli moje życie, jedyne, jakie miałem, czyjemuś inżynierstwu, a ja nie aprobowałem tego ani trochę.

Przez kamerę zobaczyłem, że czołg wrócił do szeregu, a sierżant odbierał odcisk kciuka od następnego „ochotnika”. Nagle obraz się zmienił i patrzyłem na nagraną bardzo atrakcyjną kobietę. Wiedziałem, że nie jest z Nowych Kaszub, ponieważ była ubrana, i to w rzeczy modne na Ziemi jakieś dziesięć lat temu. Posłuchałem, co mówiła, ponieważ było to o niebo lepsze, niż rozmyślanie nad chwilowo beznadziejną sytuacją, w jakiej się znalazłem.

- Witaj w swoim nowym Podstawowym Czołgu Bojowym Mark XIX Agresor - powiedziała z pięknym, sztucznym uśmiechem. — Jesteś członkiem elitarniej jednostki wojowników, zaslugującej na obsługiwanie najlepszego sprzętu bojowego...

Gdybym miał jak, wyłączyłbym ją w tej chwili, ale ponieważ nie mogłem nic zrobić, nawijała dalej. Rozwaliła mnie zupełnie tą bzdurą o elitarniej jednostce, więc dochodziły do mnie jedynie urywki jej gadki.

- ... zasilany fuzyjną jednostką wymiany muonowej o zapasie paliwa wystarczającym na dwadzieścia standardowych lat działania i blisko stuprocentowej wydajności. To oraz nadprzewodnikowe okablowanie sprawia, że wydzielanie ciepła w stanie spoczynku jest prawie niewykrywalne i...

- Dobry Boże! Metr od moich stóp, jedynych, jakie dała mi moja matka, miałem reaktor fuzyjny! Ta myśl przybiła mnie tak bardzo, że minęło trochę czasu, zanim dotarło do mnie, że kobieta wciąż brzęczy.

- ... sekcja regeneracji biologicznej zawiera ponad czterysta starannie wyselekcjonowanych, naturalnych mikroorganizmów, jak również kilka tuzinów ich genetycznie zmodyfikowanych odmian, które całkowicie przetwarzają wszystkie ludzkie

odchody, gazowe, płynne i stałe, w czyste powietrze, czystą wodę i smaczne, wartościowe pożywienie...

- Wspaniale. Będę jadł własne gówno.

- ... sprężany płyn chroni operatora nie tylko od ciągłego przeciążenia wysokości do trzydziestu G i skokowych przeciążeń do pięćdziesięciu G, ale też utrzymuje ciało w czystości, przetwarzając wszystkie... - Mogłem się więc spodziewać, że będę jadł też martwe komórki skóry. Trzeba było iść do hydroponików. Tam przynajmniej szybko byłoby po wszystkim.

-... gwarantujemy działanie we wszystkich środowiskach od głębokiej próżni do głębokości dziewięciuset metrów pod poziomem morza, od czterdziestu kelwinów do sześciuset stopni Celsjusza...

Gwarantujemy, tak? Czyli jeśli to coś zepsuje mi się podczas walki, co mam zrobić? Wypłynąć w pław z rowu oceanicznego i wypełnić formularz usterek? Zanieść czołg na plecach do fabryki, po tym, jak wyrzucił mnie gołego w głęboką próżnię? Niby co, oddadzą mi pieniądze? Wychwalała moją trumnę jeszcze przez godzinę, zanim wreszcie taśma się skończyła.

- WYKŁAD ORIENTACYJNY ZOSTAŁ ZAKOŃCZONY - obwieścił blaszany głos komputera. Widać porządne obwody głosowe uznano za rozrzutność.

- Bardzo mnie to cieszy - odparłem.

- TO DOBRZE, MIKOŁAJU. TERAZ ROZPOCZNIEMY PROGRAM ADAPTACYJNY. CELEM TEGO ĆWICZENIA JEST ZAPOZNANIE MOJEGO PROGRAMU Z IDIOSYNKRAZJAMI TWOJEGO MÓZGU I RDZENIA KRĘGOWEGO ORAZ SKALIBROWANIE MOICH OBWODÓW TAK, BYŚMY W PRZYSZŁOŚCI MOGLI OBYĆ SIĘ BEZ KOMUNIKACJI WERBALNEJ. ABY TO ZROBIĆ, MUSISZ MÓWIĆ DO MNIE PRZEZ DŁUŻSZY OKRES CZASU, POCZĄTKOWO GŁOŚNO. POTEM WYSTARCZY MÓWIENIE W MYŚLACH.

- O czym mam mówić?

- TEMAT JEST BEZ ZNACZENIA. OPOWIEDZ MI JAKĄS OPOWIEŚĆ ALBO PRZYPOMNIJ LEKCJĘ HISTORII.

- A jeśli nie zechcę?

- NIE MOGĘ WIELE DLA CIEBIE ZROBIĆ, DOPÓKI NIE SKALIBRUJĘ NASZEGO POŁĄCZENIA. KIEDY TO SIĘ STANIE, BĘDĘ W STANIE BARDZO UPRIJEMNIĆ CI ŻYCIE.

- Wypuścisz mnie z tej trumny?

- NIE. NIE MOGĘ TEGO ZROBIĆ, DOPÓKI NIE ZAKOŃCZY SIĘ TWOJE SZKOLENIE.

- A więc nie możesz mi wiele zaproponować.

- MOGĘ ZAPROPONOWAĆ CI WIELE RZECZY O ZARÓWNO POZYTYWNEJ, JAK I NEGATYWNEJ SUBIEKTYWNEJ WARTOŚCI, NAWET BEZ KALIBRACJI. MIĘDZY INNYMI KONTROLUJĘ TWOJE ZAPASY JEDZENIA, DOPIYW ŚWIEŻEGO POWIETRZA I TEMPERATURĘ OTACZAJĄCEGO CIĘ PŁYNU.

- Rozumiem. Na początek opowiem ci, jak trafiłem na Nowe Kaszuby - powiedziałem szybko. Mój ojciec nie wychował kompletnego idioty.

- TO WYSTARCZY.

ROZDZIAŁ DRUGI

RIGELLIAŃSKI INSTYTUT ARCHEOLOGII, ROK 3783

- Rupercie, to absolutnie zadziwiające! Jakim cudem udało ci się wydostać kompletne dane komputerowe z pojazdu, który ma tysiąc pięćset lat, tego zupełnie nie pojmuję! Ufam, - że przywiozłeś tu swoje niesamowite odkrycie bez kłopotów? - spytał Sekretarz Branteron.

- Tak, sir, chociaż nie nietknięte. Celnicy podeszli bardzo urzędowo do części znaleziska, które zawierały Świat Snów.

- Bardzo słusznie! Był to jeszcze bardziej podstępny nałóg, niż używane we wcześniejszych okresach narkotyki. Z pewnością jednak informacje ocalały - celnicy nie ośmieliliby się ich tknąć.

- Nie, sir, myślę, że mam wszystko, razem z kompletnym Podstawowym Czołgiem Bojowym Mark XX z dwudziestego drugiego wieku, bez induktorów kręgowych, oczywiście. To chyba pierwszy taki w posiadaniu Instytutu, skoro większość inteligentnych maszyn wojennych uległo zniszczeniu podczas Wojen i feudalnego okresu, który nastąpił po ich zakończeniu.

- Będzie wspaniałym eksponatem, Rupercie, ale z akademickiego punktu widzenia te odczyty to naprawdę ważne znalezisko.

- To prawda, ale myślę, że te dane będą tak samo popularne, jak sama maszyna, sir. Mam tu wszystko, praktycznie bez żadnych błędów, ponieważ czołg i banki pamięci spędziły te wszystkie wieki w temperaturze zaledwie kilkudziesięciu stopni ponad absolutnym zerem, na Freyi, w systemie Nowa Jugosławia, tak że nie uległy termicznej randomizacji, która zniszczyła tak wiele innych starożytnych banków danych. Chociaż jednak Freya rozwiązała wiele problemów technicznych, była przyczyną większości problemów osobistych. Widzi pan, tamtejszy transporter się zepsuł. Czekać na statki z częściami zamiennymi opóźniło mnie o całe dwa miesiące.

- Biedaku! Ale, ale, nie było tam systemu awaryjnego?

- Był, ale od ponad wieku uszkodzony, a nikt nie pofatygował się, żeby wypisać wniosek o naprawę. Widzi pan, na Freyi nie ma stałej populacji, a niewielu ludzi troszczy się jeszcze o takie odosobnione miejsca. W oficjalnym raporcie proszę, aby w przyszłości wszyscy agenci Instytutu sprawdzali i w razie potrzeby naprawiali sprzęt we wszystkich lokacjach, które odwiedzają. W przeciwnym razie możemy trwale stracić dostęp do niektórych systemów gwiazdnych.

- Dobra myśl, Rupercie. Zająłbym się tym osobiście, gdybym tylko znalazł jakiś sposób, by zapłacić za te naprawy. Nasz budżet jest za mały, by pokryć koszty takiego projektu. Proszę, mów dalej.

- Tak, sir. Tak więc, uwięziony na dwa miesiące, nie mając nic do roboty, ułożyłem zapiski obserwatora w spójną całość. Poza tym skonwertowałem je do nowoczesnego systemu publicznej prezentacji.

- Jestem niezwykle ciekaw, co tam masz.

- A więc nie musi pan dłużej czekać, sir.

Zarumieniony z dumy Rupert wsunął moduł do urządzenia odtwarzającego i wcisnął start.

ROZDZIAŁ TRZECI

JAK KASZUBI POLECIELI W KOSMOS

- A więc, komputerze... jak właściwie mam się do ciebie zwracać?

- JAK TYLKO CHCESZ, CHOCIAŻ SUGEROWAŁABYM IMIĘ ŻEŃSKIE.

- Właśnie. Sierżant mówił do ciebie per „pani”. Dlaczego?

- PONIEWAŻ Z CZASEM ZACZNIESZ MYŚLEĆ O MNIE JAK O SWOJEJ ŻONIE, A PRZYNAJMNIEJ KOCHANCE.

- Czy obrazisz się, jeśli w to nie uwierzę?

- NIE, ALE TAK BĘDZIE.

- Jasne. Nazwę cię Kasia. Znałem kiedyś dziewczynę o tym imieniu.

- CZY BYŁA ŁADNA?

- Tak. Chociaż teraz to nie ma znaczenia.

- W TAKIM RAZIE DZIĘKUJĘ. MIAŁEŚ OPOWIEZIEĆ, JAK SIĘ TU ZNALAZŁEŚ.

- Jasne. Mój prapradziadek nazywał się Bogdan Dzerdzon. Był kaszubskim politykiem. Kiedy Grupa Najbogatszych Państw zaczęła rozdawać mniejszościom narodowym planety, żeby pozbyć się ich z Ziemi, próbował namówić ich, żeby dali jedną Kaszubom, którzy byli mniejszością w Polsce. Nawet wypełnił wszystkie papiery, w trzech kopiach.

Problemem Dzerdzona był fakt, że chociaż my, Kaszubi, z naszym własnym śmiesznym językiem, którym już prawie nie mówimy i tradycyjnymi strojami, których nawet wtedy nikt już nie nosił, z całą pewnością byliśmy mniejszością narodową, nigdy nie byliśmy mniejszością uciążliwą. Nie wszczynaliśmy zamieszek i nie zabijaliśmy ludzi, żeby dostać równe prawa. Już je mieliśmy, i prawdę mówiąc wcale nam na nich nie zależało. Wielu z nas obsługiwało farmy rybne na Bałtyku, gdzie nikomu nie przeszkadzaliśmy, a reszta albo zajmowała się rolnictwem, albo próbowała robić kasę na własnej ludowości, zakładając przynoszące marginalne zyski pułapki na turystów i sprzedając malowane w kwiaty gliniane garnki i biżuterię ze sztucznego bursztynu, produkowaną głównie w zautomatyzowanych fabrykach w Indiach. Nikt nie nienawidził nas wystarczająco mocno, by chcieć się nas pozbyć, zresztą my sami nie chcieliśmy, żeby ktoś nas nienawidził.

Tak więc Komisja Odszkodowań Grupy Najbogatszych Państw zignorowała podanie Dzerdzona, a on napisał je ponownie. Znów go zignorowali, a on znów je złożył. Składał podanie co roku przez siedem lat, aż w dwa tysiące dziewięćdziesiątym czwartym Komisja przyznała mu planetę, żeby się go wreszcie pozbyć. My, Kaszubi, nie byliśmy wystarczająco upierdliwi jako grupa, ale mój prapradziadek jako osoba z całą pewnością był. To. co mu dali,

trudno było nazwać planetą. Przede wszystkim jej słońce zamieniło się w supernową kilka miliardów lat wcześniej, a teraz było gwiazdą neutronową, co dwadzieścia dwie sekundy zalewającą okolicę śmiertelną dawką promieniowania. Czyli co każdy obrót.

Jedyna ocalała planeta układu mogła kiedyś być gazowym olbrzymem, podobnym do Jowisza, ale wybuch supernowej zrobił z niej gładką, metalową kulę o średnicy sześciu tysięcy kilometrów. Była zdalna do zasiedlenia o tyle, że grawitacja przy powierzchni była trochę niższa od ziemskiej, a średnia temperatura oscylowała tuż nad temperaturą zamarzania wody.

Tyle, że nie było tam żadnej wody. Nie było tam żadnych pierwiastków lżejszych niż wapń. Tak więc dwa razy w roku planeta przechodziła przez snop śmiertelnego promieniowania, które zabijało wszystko, co nie było ukryte pod pięćdziesięcioma stopami ziemi, ale nie było tam żadnej ziemi. Nie było nawet żadnej wartej wzmianki atmosfery.

Kolejnym problemem była stacja transportowa, okrążająca neutronową gwiazdę. Żeby utrzymać ją poza zasięgiem promieniowania zbudowano ją na orbicie synchronicznej, a dwudziestodwusekundowa orbita wokół gwiazdy neutronowej nie należy do miejsc, w których chciałby się znaleźć ktoś, kto miałby choć odrobinę rozsądku. Ta głupia orbita wynikała z równie głupich powodów. Wymyślający ją robot dostał polecenie, żeby umieścić terminal na bezpiecznej, solarnej orbicie, a jego mały, elektryczny mózdek stać było na tylko tyle. Stacji nie wymieniono, ponieważ w sumie działała, a nikt z zarządu Grupy Najbogatszych Państw raczej nie planował z niej korzystać.

Dopóki sprawa nie wyszła na jaw, mój prapradziadek Dzerzdzon wykorzystywał swoje próby wykołowania Grupy Najbogatszych Państw, żeby wyrobić sobie poparcie. Wiadomo, wszyscy doceniają polityka, który umie robić przekrety, ale kiedy wszystko stało się jasne, stał się pośmiewiskiem. Przegrał następne wybory i niewiele brakowało, a nie zaprosiliby go na wesele jego własnej siostrzenicy.

Wtedy korporacja Tokyo Mining and Manufacturing wysłała ekipę badawczą na Nowe Kaszuby, a ta odkryła, że owa planeta to solidna, metalowa bryła, bez atmosfery, którą można by zanieczyścić, bez ekologii, o którą trzeba by się martwić i bez populacji, która żądałaby podwyższenia podatków, czyli z ich punktu widzenia po prostu чудо. Co więcej, niektóre metale, z których składała się planeta były dość cenne, by opłacało się wysyłać je na Ziemię i w inne przyjemne miejsca. Interes, który ubili z prapradziadkiem Dzerzdzonem wart był dla nas, Kaszubów, trzydzieści dziewięć miliardów rocznie, wystarczająco dużo, by podwoić dochody każdego pełnej krwi Kaszuba na świecie - zresztą do tego właśnie użyliśmy tej forsy.

Zaraz potem Dzerdzon wygrał wybory i przez następne trzydzieści dwa lata zapraszano go na wszystkie wesela, chrzciny i pogrzeby. Umarł zadowolony z życia, uwielbiany przez rodaków i kobiety.

Za sprawą prapradziadka Dzerdzona i układu z Tokyo Mining and Manufacturing przez ponad pół wieku wiodło nam się świetnie. Byliśmy stosunkowo bogaci, chociaż oczywiście nie w tej samej lidze, co Japończycy, czy ci dranie Portugalczycy. Byliśmy też dość dobrze wykształceni, ponieważ na koszt rządu każdy mógł się uczyć gdzie i jak długo chciał, jeśli tylko znalazł nauczyciela, chociaż większość uważała to za zbyt duży problem.

Ja, kiedy musiałem lecieć, byłem na dobrej drodze, żeby skończyć inżynierię wodno-ładową, ale jestem swego rodzaju wyjątkiem. Większość moich rodaków w dalszym ciągu zajmowała się tym, czym zawsze, czyli rybactwem i uprawą, tyle, że teraz mieli więcej pieniędzy na wesela, pogrzeby i chrzciny. Zwłaszcza chrzciny, ponieważ w tym okresie byliśmy bardzo płodni. W końcu każde dziecko oznaczało więcej zer na czeku od Japończyków.

Aż któregoś dnia jakiś zboczeniec w Siedzibie Grupy Najbogatszych Państw stwierdził, że na świecie jest więcej ludzi, niż kiedykolwiek, że musi dostać awans i podwyżkę, żeby mieć kasę na swoją nową dziewczynę i że dookoła niego wciąż są jacyś Kaszubi, co stało w jawnej sprzeczności z podpisanymi przez nas zobowiązaniami. Natychmiast podjęto kroki, mające na celu pozbycie się nas. Rzecz jasna, nie mieliśmy ochoty opuszczać naszych domów i lecieć na metalową kulę, wirującą wokół neutronowej gwiazdy. Pod przewodnictwem wnuka Dzerdzona, mojego wuja, Włodzimierza Derdowskiego, wstrzymano wszelkie wypłaty indywidualne za wyjątkiem świadczeń na leczenie i edukację, a pieniądze od Tokyo Mining and Manufacturing umieszczono na specjalnym koncie. Wuj zatrudnił najlepszych prawników, na jakich było nas stać i poszedł ze sprawą do Sądu Światowego, co dało nam dodatkowych osiem lat na Ziemi i kosztowało fortunę.

Sąd Światowy okazał się mało współczujący. Precedensy ustalono siedemdziesiąt pięć lat wcześniej. W każdej mniejszości trafiała się grupa ludzi, która nie chciała odejść, a okazało się, że dla prawnika różnica między niektórymi a wszystkimi nie jest aż tak wielka.

Powiedzieliśmy, że nie możemy mieszkać na otrzymanej planecie. Sąd powiedział, że skoro nam się nie podoba, trzeba było ją oddać zaraz po obejrzeniu, a nie sprzedawać prawa do wydobywania. Poza tym, planeta była już zryta tunelami, w których można było mieszkać. Trzeba było je tylko uszczelnić i wypełnić importowanym powietrzem. Powiedzieliśmy, że nas na to nie stać. Sąd powiedział, że przez ostatnie sześćdziesiąt lat dostaliśmy ponad dwa

kwadryliony jenów, co wystarczyło, żeby terraformować każdą planetę, jaka by się nam nie trafiła. Powiedzieliśmy, że już wydaliśmy te pieniądze. Sąd powiedział „Trudno”. Powiedzieliśmy, że nie będziemy mieli co jeść. Sąd polecił nam fluorescencyjne oświetlenie i hydroponiki. Powiedzieliśmy, że elektrownie na Nowych Kaszubach nie wyprodukują tyle energii. Sąd powiedział, że powinniśmy zbudować nowe. Mieliśmy automatyczne fabryki i sporo uranu. To mogło pomóc. Nie wiedzieliśmy o automatycznych fabrykach. Nie pytaliśmy. Tak czy inaczej, sąd dał nam trzy lata na wyjazd, a my nie mogliśmy nic zrobić.

Tokyo Mining and Manufacturing była bardzo pomocna, ponieważ Japończycy obawiali się, że jeśli okoliczności nas przycisną, zracjonalizujemy dochodowe instalacje, które korporacja zbudowała przez te kilkadziesiąt lat. Robili, co mogli, żeby chronić swoje dochody. Prawdę mówiąc nasza kolonizacja skończyłaby się fiaskiem, a my wszyscy pozdychalibyśmy albo w najlepszym razie zostali bez domu, gdyby nie techniczne wsparcie i przewodnictwo Japończyków.

Ale Kaszubi to nie Japończycy. Oni mają jakiś automatyczny szacunek dla władzy - w każdej chwili są gotowi ustawić się w szereg i równo pomaszerować przed siebie, śpiewając hymn firmy. Kaszubi to Polacy, a Polacy nigdy nie byli specjalnie zdyscyplinowani. Jednak dla jednych i drugich było jasne, że dotychczasowe jedwabne życie się skończyło. Musieliśmy żyć w spartańskich warunkach, albo wcale.

Nowe Kaszuby są nieprawdopodobnie bogate w metale. Planeta była kiedyś prawdopodobnie gazowym gigantem, ale kiedy lokalne słońce zamieniło się w supernowajakieś kilka miliardów lat wcześniej, wszystkie zewnętrzne warstwy, zawierające lżejsze pierwiastki zostały zdmuchnięte, a reszta się wygotowała. Z całej planety została kula roztopionego metalu, a kiedy się ochłodziła, różne pierwiastki zastygały warstwami, te o najwyższej temperaturze topnienia bliżej powierzchni. Przypominało to trochę destylację na skalę planetarną. Powstało sporo naturalnych stopów, a planeta przybrała formę koncentrycznych, metalowych sfer, z grubą na dwieście stóp wierzchnią powłoką niemal czystego wolframu i rdzeniem z płynnej rtęci. Oprócz tego rdzenia planeta składa się z metali stałych i jest stosunkowo zimna. Metale są o wiele lepszymi przewodnikami ciepła, niż skały, którymi pokryte są planety takie, jak Ziemia. Całe pierwotne ciepło dawno uszło, a energia cieplna, będąca efektem rozpadu co bardziej radioaktywnych warstw szybko przedostaje się do wierzchniej powłoki.

Kasiu, zaschło mi w gardle.

- NA LEWO OD TWOICH UST WYSUWA SIĘ RURKA.

- Wsunęła mi się do ust - powiedziałem z gumową końcówką rurki w zębach. -
Słuchaj, nie bardzo pociąga mnie perspektywa picia własnego, przetworzonego moczu.

- NIE PIJESZ NIC PRZETWORZONEGO, PONIEWAŻ JESZCZE NIC NIE
WYDALIŁEŚ. TO DESTYLOWANA WODA Z MOICH WEWNĘTRZNYCH ZAPASÓW.

- Jasne. Jest ciepła i zwietrzała.

- SPRÓBUJ TERAZ.

- Hmm. Dużo lepsza. Co zrobiłaś?

- USTALIŁAM PRZYBLIŻONY SKŁAD CHEMICZNY WODY ŹRÓDLANEJ I
OBNIŻYŁAM JEJ TEMPERATURĘ DO PIĘCIU STOPNI CELSIJUSZA.

- Możesz to zrobić? Dzięki.

- STANDARDOWA USŁUGA. OPOWIADAŁEŚ O POCZĄTKACH NOWYCH
KASZUB.

- Tak jest, proszę pani. Przez kilkadziesiąt lat japońskie roboty dokopały się do rdzenia
planety, żeby dostać się do rtęci, a od tego centralnego szybu odchodziły tunele wszędzie tam,
gdzie znajdowały się złoża co bardziej poszukiwanych metali.

Wiesz, że złoto jest bardzo użytecznym pierwiastkiem. Chociaż nie używa się go już
do robienia pieniędzy, jest atrakcyjne, łatwe do kucia, rzadko spotykane i nie koroduje, co
sprawia, że opłaca się je transportować. Oczywiście złota warstwa Nowych Kaszub należy do
tych najintensywniej eksploatowanych, więc miała najbardziej rozbudowany system tuneli.
Znajdowała się dość głęboko, więc panowała tam niska grawitacja, a ludzie spalali mniej
energii na poruszanie się. To oraz fakt, że złoto to jeden z najmniej szkodliwych metali
oznaczało, że te tunele jako pierwsze miały być uszczelnione i przeznaczone dla jedenastu
milionów Kaszubów, którzy przybywali, kiedy tylko pojawiała się dla nich jakieś miejsce.

Widzisz, kiedy rozdzielano pieniądze, każdy, kto miał w żyłach choćby odrobinę
kaszubskiej krwi utrzymywał, że jest jednym z nas, a wysokość kwoty zależała od tego, w
jakim stopniu było się Kaszubem. Nawet jedna szesnasta kaszubskiej krwi warta była
spieniężenia czeku. Kiedy Obywatelska Dragonia wybierała ludzi do zsyłki, używała naszych
własnych list i nie przejmowała się faktem, że jedynie czyjś praprapradziadek był Kaszubem.
Martwili się o przeludnienie, nie o sprawiedliwość.

Wielu ludzi zaczęło żałować chciwości swoich dziadków. Niektórzy z zesłanych na
Nowe Kaszuby wyglądali na Chińczyków, a kilkoro z nas było nawet czarnych, jeśli możesz
uwierzyć w istnienie Afrokaszubów. Ja zawsze byłem stuprocentowym Kaszubem, więc nie
miałem specjalnego wyboru. Udało mi się załatwić kilka studenckich odroczek, żebym mógł
skończyć szkołę przed przymusową emigracją ale wyłuskali mnie z niej tuż przed obroną

dyplomu. I tak znalazłem się w jednym z ostatnich transportów. Zresztą tytuł naukowy i tak nic by tu chyba nie zmienił.

Przewieźli mnie samolotem z mojej szkoły w Anglii do portu Warszawa International, ale tam musiałem wsiąść do tego samego starego, sypiącego się pociągu, co wszyscy inni deportowani. Nie chcieli, żebyśmy całą grupą pojawili się na lotnisku i przypominali miłym, porządnym ludziom o tym, co nam robili. Przetransportowali nas na stację w miejscu, które było kiedyś jugosłowiańskim Belgradem, zanim Jugosłowianie nie opuścili Ziemi dwadzieścia lat wcześniej, ku wielkiej uldze wszystkich dookoła, z Grupą Najbogatszych Państw na czele. Z przeróżnych, ważnych z historycznego punktu widzenia powodów byli odpowiedzialni za spowodowanie, lub przynajmniej rozpoczęcie co najmniej trzech większych wojen i kto wie, ilu mniejszych, między innymi pierwszej wojny światowej, konfliktu w Bośni i Zjednoczenia Serbii. Jugosławia oczywiście miała tyle mniejszości narodowościowych, że trudno było tam mówić o jakiejś jednej, głównej grupie, więc cały naród dostał własną planetę.

Teraz ten rejon Europy zamienił się w centrum wypoczynkowe obywateli Grupy Najbogatszych Państw, więc podejrzanych Kaszubów przewieziono zamkniętymi autobusami bezpośrednio z wagonów na stację transportową, zanim moglibyśmy popsuć humory miłych, przywoitych ludzi i sprawić, żeby spadły ceny ich luksusowych nieruchomości.

Widziałem, jak pojawił się nasz kontener, z którego podnośnikami wyładowano ponad trzy tysiące ton złota, które miało być wysłane do Najbogatszych Państw. Potem rozłożono składane prycze i cienkie, laminowane materace. Wkrótce dowiedzieliśmy się, dlaczego pokrywano je plastikiem.

Powiedzieli nam, że nie wolno nam zabierać ze sobą absolutnie żadnego bagażu ani rzeczy osobistych, ale niektórzy w to nie uwierzyli. Strażnicy po prostu wywalili ich rzeczy. Zostało nam tylko to, co mieliśmy na sobie, a i to mieliśmy stracić. Ładowano nas po czterdzieści osób do transporterów, które były niczym więcej, jak metalowymi pudłami z podstawowym systemem podtrzymywania życia i maleńkimi pryczami, projektowanymi przez jakiegoś bardzo niskiego Japończyka.

Statki te, tak jak większość używanych w zamieszkałej przez ludzi przestrzeni, zostały zbudowane w automatycznej fabryce tu, na Nowych Kaszubach, ale my, niewdzięcznicy, nie potrafiliśmy tego docenić. Nie miały napędu, systemów nawigacyjnych, pilotów ani okien. Kiedy zamykano nas od zewnątrz, jeden ze strażników wręczył mojemu wujowi instrukcję obsługi, napisaną po japońsku. Kazał mu przeczytać ją całej grupie, żeby wszyscy wiedzieli,

co się z nimi dzieje. Oczywiście ani wuj, ani nikt z nas nie znał japońskiego. Początek podróży nie wróżył dobrze na przyszłość.

Transportery Hassana-Smitha działają na zasadzie przerzucania materii między kilkoma następującymi po sobie wymiarami. Skróciło to znacznie naszą podróż, ale i tak trwała dziewiętnaście godzin, a wszyscy zgodzili się, że brak okien prawdopodobnie wyszedł nam na dobre. I bez tego było niewesoło. Odkąd opuściliśmy Ziemię, nie było ciężenia, a mieliśmy ze sobą tylko jeden turystyczny kibelek.

Z Belgradu przetransportowano nas na Solar Factory Station na orbicie Merkurego, gdzie tanio wychodziło zasilanie transponderów. Po kilku minutach nieważkości, które wystarczyły, żeby pani Mostnikow zwymiotowała, wysłano nas na stację, orbitującą wokół neutronowej gwiazdy Nowych Kaszub. Oznaczało to prawie cały dzień bez ciężenia, więc wszyscy mieli mnóstwo czasu, żeby zrobić to, co pani Mostnikow. Poza tym nikomu za dobrze nie wychodziło korzystanie z przenośnego kibelka w stanie nieważkości, więc wymiociny nie były jedyną półstałą substancją, unoszącą się w powietrzu.

Stacja na Nowych Kaszubach krążyła po orbicie synchronicznej, żeby uniknąć zabójczego promieniowania, więc przez kilka minut mieliśmy ciężenie. Rzuciło nas razem z naszym całym bałaganem w przeciwne końce pojemnika. Kilka osób na spodzie prawie się utopiło. Nawet bez tego nie chciałbym tam zostać. Dwudziestodwusekundowa orbita to coś strasznego. Stamtąd całą naszą nieszczęsną gromadę przeniesiono na dół, pod powierzchnię planety, a nas, kolonistów, pokrytych każdą możliwą ludzką wydzieliną, wyciągnięto z transportera.

- TO NA RAZIE WYSTARCZY. POTRZEBUJĘ KILKU GODZIN, BY SKORELOWAĆ MOJE DANE, A TY I TAK MUSISZ ODPOCZAĆ. DOBRANOC, MIKOŁAJU.

- Nie jestem jeszcze zmęczony.

- JESTEŚ. ROBISZ SIĘ BARDZO ŚPIĄCY. BARDZO, BARDZO ŚPIĄCY...

Zapadłem w sen.

ROZDZIAŁ CZWARTY

TRUDNE WARUNKI NA NOWYCH KASZUBACH

- Dzień dobry, Mikołaju - powitał mnie przyjemny, kobiecy głos.
- Kim jesteś? - zapytałem, odrobinę nieprzytomny z braku codziennej pigułki kofeiny.
- To ja, Kasia. Nie będziesz rozmawiał z nikim innym, dopóki nie skończy się twoje szkolenie.
- Masz inny głos. Przyjemniejszy. - Dzisiaj czułem się znacznie lepiej. Nie przytłaczało mnie już tak bardzo moje zamknięcie. Widać człowiek może przyzwyczać się do wszystkiego.
- Dziękuję. To część procedury kalibracyjnej. Z czasem będzie coraz lepiej. Przystosowywanie się do twojego rdzenia kręgowego idzie mi naprawdę dobrze.
- Jasne. Jak długo trwa to całe szkolenie? - spytałem.
- To zależy od ciebie, Mikołaju. Skończy się, kiedy przejdiesz cały kurs. Rekordowy czas ukończenia podstawowego treningu wynosi trzy miesiące, ale większości ludzi zajmuje około pięciu.
- A najgorszy wynik? Może uda mi się go pobić.
- Och, mam nadzieję, że nie. Niektórzy nigdy go nie kończą. Są odsyłani z powrotem.
- Co się z nimi dzieje?

- To zależy. Jeśli naprawdę zgłosili się na ochotnika, po prostu wracają do swych zajęć w cywilu. Tych, którzy trafili tu z wyroku sądu, spotyka kara, której uniknęli.

W moim przypadku oznaczało to kadzie. Pomyślałem sobie, że może powinienem zacząć traktować cały ten trening bardziej serio, nawet jeśli oznaczałoby to kilkumiesięczny stan zanurzenia.

- W porządku, Kasiu - powiedziałem tak ochoczo, jak tylko umiałem. - Co mamy dzisiaj w programie?

- Ciągle jeszcze nie skalibrowałam się wystarczająco, by zacząć właściwe szkolenie, więc dzisiejszy dzień poświęćmy właśnie na to. Najpierw jednak śniadanie.

- Nie jestem specjalnie głodny.

- Masz siedemnaście kilo niedowagi. Takie chuchro nie ukończy kursu.

- Na Nowych Kaszubach jest krucho z jedzeniem, nie słyszałaś?

- U mnie nie jest - Wszystko podlega utylizacji, moje zapasy środków przetwórczych są pełne, więc możesz jeść, ile chcesz.

- To właśnie ta utylizacja mnie martwi - powiedziałem.

- To irracjonalna obawa, Mikołaju. Jadłeś przetwarzaną żywność przez całe życie. Na Ziemi robił to naturalny biosystem, na Nowych Kaszubach kadzie hydroponiczne. Teraz robi to twój własny, osobisty układ utylizacyjny. Nie powinieneś się tym martwić.

- Nie powinienem się martwić jedzeniem własnego gówna?

- Wolalbyś jeść cudze? To właśnie robisz, korzystając z systemu publicznego, naturalnego czy sztucznego.

- Ale wtedy nie muszę o tym myśleć - powiedziałem.

- Teraz też nie musisz, Mikołaju. Czas na następną drzemkę. Robisz się śpiący, Mikołaju, bardzo, bardzo śpiący... - powiedziała cudownym, kojącym głosem.

Obudziłem się głodny, a Kasia podała mi coś, co smakowało jak befsztyk, który czasem jedliśmy na Ziemi. Po śniadaniu zapytałem ją o rozkład dnia.

- Obawiam się, że czeka nas jeszcze trochę kalibracji. Tym razem jednak proszę, żebyś mówił w myślach, a nie głośno. Będę wychwytywać to, o czym będziesz myślał z impulsów nerwowych twojego rdzenia. Opowiadałeś mi o podróży na Nowe Kaszuby.

- Proszę, jeszcze jedna sprawa. Chciałbym skontaktować się z rodziną i powiedzieć im, że nic mi nie jest.

- To niedozwolone, Mikołaju. Podczas trwania szkolenia nie wolno ci się kontaktować z nikim na zewnątrz. Twoi krewni zostali poinformowani, że cieszysz się dobrym zdrowiem, a

zapewniam cię, że oni też czują się dobrze. Jeśli coś się zmieni, ty i/lub oni zostanieie o tym poinformowani. Niedozwolone są żadne inne kontakty.

- Czy to zgodne z prawem, zatrzymywać moją pocztę?

- Na tym etapie zgodne z prawem byłoby zatrzymanie twojej akcji serca! Mogę cię legalnie zabić, a twoje ciało wysłać jako nawóz do hydroponicznych kadzi.

- Ee, tak. Cóż. Co miałem zrobić?

- Masz opowiadać dalej, tyle że teraz proszę, żebyś mówił w myślach.

W porządku, pomyślałem. O to ci chodzi?

- Bardzo dobrze, Mikołaju. Mów dalej.

- Tak jest, proszę pani. Jak już mówiłem wczoraj, kiedy tylko przybyliśmy na Nowe Kaszuby, podzielono nas na dwie grupy, mężczyzn i kobiet. Nigdy więcej nie zobaczyliśmy kobiet, to znaczy legalnie, chyba, że w telewizji. Kazali nam zdjąć nasze uświnione ubrania. Myśleliśmy, że do prania, ale ich też więcej nie zobaczyliśmy. Spalili je, a popioły i dym przepuścili przez hydroponiki - aż tak bardzo potrzebowali związków organicznych. Oplukali nas razem z materacami, które obdarli z plastiku, przetworzonego potem na izolację elektryczną.

Dostaliśmy je jako jedne z bardzo niewielu rzeczy osobistych, które mogliśmy posiadać. Wnętrze transportera oczyszczono parą, skrupulatnie zebrano wszystkie odpadki i poskładano prycze. Potem wyładowano cały transporter zamówionymi na ziemi metalami, głównie złotem. Ze środka wyszano całe powietrze - potrzebowaliśmy każdej odrobiny tlenu, jaką mogliśmy zdobyć.

Statek wrócił tą samą trasą po następną grupę kolonistów. Przylatywali średnio co pięć minut, przez dwa i pół roku. Raz na jakiś czas pojawiał się transport jedzenia i powietrza, ale nie dość często, prawdę mówiąc. My, wygnańcy, ofiary systemu, musieliśmy spać na pryczach w stuosobowych pokojach, oddychając zaśmiardłym powietrzem i głodując, a ściany wokół nas były z czystego złota... Musieliśmy importować powietrze, którym oddychaliśmy, wodę do picia i podlewania roślin, i surowce do produkcji większości rzeczy, bez których nie mogliśmy się obyć. Co gorsza, wszystko to trzeba było sprowadzać spoza systemu, ponieważ cały kosmiczny gruz, łącznie z pierścieniami planetarnymi, został zdmuchnięty przez eksplozję supernowej. Mieszkaliśmy w zwyczajnie pustym systemie.

Grupa Najbogatszych Państw sztucznie zawyżała koszty transportu jako właściciel Pildewski Interplanetary Transport, Inc., a więc i transporterów Hassana-Smitha. Koszt sprowadzenia ładunku wody był tylko trochę mniejszy niż cena takiego samego ładunku złota na Ziemi. Oczywiście sama wysyłka nic ich nie kosztowała. Cała potrzebna do tego energia

pochodzi ze słońca, a przez większość czasu sprzęt po prostu unosi się w przestrzeni. Ci dranie tłumaczyli się wysokimi kosztami zapoczątkowania i utrzymywania tempa eksploracji ludzkiego kosmosu. W rzeczywistości takie praktyki sprawiają, że Najbogatsze Państwa pozostają obrzydliwie bogate.

- W twoich słowach jest dużo goryczy, Mikołaju - powiedział mój czołg.

- Goryczy? - odparłem głośno. - Cholernie dużo goryczy! Byłem studentem, zajmowałem się własnymi sprawami i martwiłem się o dobre stopnie. Nagle, tylko dlatego, że mój prapradziadek zrobił mały przekręt, wyciągają mnie z klasy na tydzień przed zakończeniem roku! Zabrali mi wszystko, co miałem, nawet moje cholerne gacie! Na cały dzień wepchnęli mnie do blaszanej puszki, pełnej latających rzygowin, gówna, szczyń i wrzeszczących ludzi! Zabrali mi ubranie i zmusili do mieszkania w koszarach, z setką cuchnących facetów! Przez prawie trzy lata oddychałem zaśmiardłym powietrzem i jadłem porcje, którymi nawet chudy królik by się nie najadł, a ty pytasz, dlaczego jestem zgorzkniały?! Przez dwa lata nie wolno mi nawet popatrzeć na kobietę, a ty pytasz, skąd ta gorycz?! A kiedy wreszcie spotykam miłą dziewczynę, mogę z nią zrobić tyle, ile mi się uda przez pieprzoną dziurę w ścianie! A potem, mimo wszystkiego, co zrobiłem dla tej kolonii, mordują nasze dziecko, skazują nas na śmierć albo zapieczętowanie w zasranym czołgu, a ty pytasz, dlaczego jestem zgorzkniały?! Właśnie dlatego jestem tak cholernie zgorzkniały! Jestem wkurwiony jak jasna cho- lera, taki właśnie jestem!

- Oczywiście, Mikołaju. Rozumiem twój żal. Czy mógłbyś mi o tym opowiedzieć? Tylko pamiętaj, proszę, żeby mówić w myślach. Muszę zakończyć proces kalibracji - powiedział czołg słodkim, rozsądnym głosem.

W porządku, pomyślałem, jedziemy dalej. Widzisz, Japończycy nigdy nie mieli na Nowych Kaszubach więcej, niż sto osób personelu - nawet japońscy technicy mają swoje wymagania. Przy tak niskim zaludnieniu po prostu sprowadzali sobie jedzenie, powietrze i wszystko, co było im potrzebne do przeżycia, zresztą ich transportery i tak wracały puste. Nikt nie próbował niczego przetwarzać na miejscu. Jedenaście milionów niewyszkolonych Kaszubów musiało radzić sobie inaczej. Na miejscu było sporo zautomatyzowanych fabryk, chociaż większość produkowała ciężki sprzęt i metalowe części do przeróżnych, luksusowych dóbr, na które było zapotrzebowanie. Nie mogły wytworzyć wielu rzeczy, których desperacko potrzebowaliśmy, mogły za to wyprodukować inne fabryki, które byłyby w stanie to zrobić, przy odpowiedniej obsłudze i zapewnieniu surowców.

Niewielu z nas miało przygotowanie techniczne, ale z obsługą maszyn mogliśmy sobie poradzić. Problem stanowiły materiały. Nie mieliśmy prawie żadnych lekkich pierwiastków.

Pomagałem zaprojektować wytwórnię promienników do tuneli, w których hodowano jadalne rośliny, ale piasek na szkło trzeba było sprowadzać z Ziemi. Mieliśmy w bród miedzi na kable, ale plastik na izolacje trzeba było importować. Hydraulika była tania, ale ścieki miały ogromną wartość i należało je jak najszybciej przetworzyć. Musieliśmy stosować rury o małej średnicy, które co chwila się zapychały.

Niektóre rzeczy można było zrobić przy użyciu lokalnych materiałów. Sproszkowane złoto i pallad stosowaliśmy jako glebę pod uprawy. Wychodziło to o wiele taniej, niż import ziemi. Przynajmniej nie musieliśmy budować reflektorów do oświetlenia. Wydrążone tunele i bez tego lśniły i błyszczały. Ubrania szybko się zniszczyły, a ponieważ były zrobione z materiałów pochodzenia organicznego, wyprodukowanie nowych wiązało się z olbrzymimi kosztami. Na długo przed tym, jak tu przyleciałem wprowadzono specjalny program, mający spopularyzować nagość, i podgrzano tunele. Budowane pospiesznie reaktory jako efekt uboczny dawały mnóstwo ciepła.

Nagość spowodowała mniej zmian, niż można by się spodziewać, ponieważ zanim jeszcze ją wprowadzono, obie płcie zostały całkowicie odizolowane, zarówno w pracy, jak i prywatnie. Tylko to pozwoliło totalnie zastopować przyrost naturalny - jedną z niewielu rzeczy, których Nowe Kaszuby zupełnie nie potrzebowały, było więcej ludzi. Przez to właśnie wpadłem w kłopoty. Początkowo przydzielono mnie do pracy przy układaniu kabli komunikacyjnych, co i tak było o niebo lepsze niż rzeczy, które robili inni ludzie. Hydroponiki mogły obsługiwać maszyny, ale ludzie byli wydajniejsi. Dosłownie każdy cal kwadratowy oświetlonej gleby musiał być wykorzystany do hodowli roślin zielonych. Produkowaliśmy mniej, niż wynosiło niezbędne minimum - nie było żadnych nadwyżek. Większość ludzi pracowała po dwanaście godzin dziennie, czyli więcej, niż chiński kulis. Nie mogło to trwać w nieskończoność. Wszyscy traciliśmy na wadze.

Jedyną rozrywką była telewizja. Taśmy i dyski można było sprowadzać dość tanio z Ziemi, a jedna z fabryk budowała odtwarzacze. Nie istniała żadna rozrywka miejscowa - po dwunasto- czy czternastogodzinnym dniu pracy nikt nie miał już ochoty grać na skrzypcach.

Większość z nas zaczęła chodzić do kościoła znacznie częściej, niż robiliśmy to na Ziemi. W ciężkich czasach ludzie zwracają się do Boga, tak mi się wydaje. W każdym razie zaczęło to dla mnie znaczyć dużo więcej, niż kiedyś. Jak mówiłem, przydzielono mnie do układania kabli, chyba, że były do zrobienia jakieś roboty inżynierskie. Do wszystkich sektorów mieszkalnych trzeba było poprowadzić łączność i systemy kontrolne - wentylacja i ogrzewanie musiały być monitorowane, żeby nikt nie zginął. Sektory kobiece miały

oczywiście własne ekipy, ale systemy trzeba było połączyć. Wtedy właśnie poznałem Katarzynę Garczegoz, na którą wszyscy mówili Kasia. Nie ty. Prawdziwa Kasia.

- Być może powinieneś wybrać dla mnie inne imię, Mikołaju - powiedział czołg.

Przestań mi przerywać. Była tam ośmiocalowa dziura, przez którą podawałem jej kable. Musiałem jej powiedzieć, które przewody były od czego i tak zaczęliśmy rozmawiać, chociaż było to niezgodne z prawem. Musiała się spodziewać takiego przydziału, ponieważ miała już gotowy sposób porozumiewania się po pracy przez zapasowe kable telefoniczne. Zacząłem poświęcać jej swój wolny czas, chociaż to też było nielegalne. Po latach czysto męskiego towarzystwa nawet rozmowa z kobietą była warta ryzyka, czymś, na co czekało się cały dzień.

Co jeszcze mogę powiedzieć? Znalazłem tę jedyną kobietę na świecie, której pragnąłem. Nawet nie marzę o nikim innym. Zakochaliśmy się w sobie i przyrzekliśmy pobrać się tak szybko, jak to będzie możliwe. Moje życie osobiste trochę się polepszyło, ale ogólnie robiło się coraz gorzej.

Mimo naszych wysiłków wciąż traciliśmy wodę i powietrze przez nieszczelne plomby, czy nawet wprost przez metalowe ściany. We wszystkim można znaleźć jakieś pory. Niby nie było to aż tak dużo, ale nie bardzo mogliśmy uzupełniać straty. Mimo dotkliwego niedostatku, który sami sobie narzuciliśmy i maksymalnych transportów metali i produktów na Ziemię, balans wciąż wychodził ujemny, a stopa procentowa była najwyższa w tym stuleciu. Analizy wykazały, że minie dwieście lat, zanim koloniści osiągną standard życia, jaki mieli w momencie, kiedy zmuszono ich do opuszczenia Ziemi.

Mimo naszych legendarnych zasobów metali i rozbudowanego systemu zautomatyzowanych fabryk przez jeszcze długi czas nasze życie miało upływać w ścisku, brudzie i głodzie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

ŻYCIOIE NA NOWYCH KASZUBACH

Wyciągnąłem się porządnie w swojej zalanej trumnie, żeby rozprostować nogi i podjąłem opowiadanie, którym miałem skalibrować swój czołg.

- Było po prostu za dużo ludzi.

- Proszę, mów w myślach, Mikołaju. Przepraszam. Gdybyśmy mieli dwadzieścia, trzydzieści lat na rozwój, sprawy wyglądałyby inaczej, ale w tych warunkach nie mogliśmy nijak stanąć na nogi. Wszystko trzeba było robić na bieżąco, żeby utrzymać się przy życiu. Nie mieliśmy możliwości inwestycji czy oszczędzania. Dopóki ktoś nie wymyśliłby przetwornika materii, Nowe Kaszuby były w kropce, a nikt nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać.

Wtedy ktoś przypomniał sobie, że na planecie przez osiemdziesiąt lat mieszkało stu Japończyków, a było powszechnie wiadome, że nie przetwarzali swoich odpadków. Musieli gdzieś składować ścieki, ale komputerowe archiwa nic na ten temat nie mówiły. Kanał po prostu wchodził w metalową ścianę i nikt nie wiedział, dokąd prowadził. Próby zlokalizowania ścieku echosondami nic nie dały. Jedna z grup wywierciła sztolnię głębokości dwóch i pół mili, a i tak nie udało im się dotrzeć do końca kanału. Poszukiwania skarbu trwały przez lata, ale zakończyły się dopiero trzy dni po podpisaniu układu z Nową

Jugosławią, kiedy wiedzieliśmy już, że niedługo dostaniemy tyle materii organicznej, ile będzie-my potrzebowali.

Chyba zszedłem z tematu. Opowiadam o tym, co trzeba, Kasiu?

- Tak, Mikołaju. Mów dalej. - Jej głos był już nie tylko ciepły i miły, stał się seksowny!

- Dziękuję, Mikołaju. Mów dalej. Więc wiesz, o czym myślę? Nawet, jeśli nie formułuję moich myśli w słowa?

- Między innymi temu służy to ćwiczenie. Pamiętaj, że jestem tylko maszyną. To nie jest tak, jakby inna osoba wkraczała w twoje myśli.

W porządku. Spróbuję o tym pamiętać, chociaż to dziwne uczucie.

Tak więc po czterech latach zadłużania się, bez żadnych perspektyw na poprawę sytuacji, Parlament Nowych Kaszub zdecydował, że pozostało nam już tylko ukraść działkę Japończyków. Czyli znacjonalizować mienie korporacji Tokyo Mining And Manufacturing na planecie i zatrzymać dla siebie całe jej dochody. Na papierze wyrównywało to straty, a może nawet pozwalało spłacić część pokaźnego długu. Urządzono referendum, a ja głosowałem za, jak prawie wszyscy. Wtedy wyglądało to na dobre rozwiązanie.

Pomysł przeszedł i wszystkie aktywa Tokyo Mining and Manufacturing na Nowych Kaszubach zajęto. Akcjonariusze korporacji zostali spłaceni nowokaszubskimi obligacjami, ale nie byli z tego powodu szczęśliwi. Nie wierzyli, że uda nam się wyjść na swoje. Być może mieli rację, ale to co zrobili, było najpewniejszym sposobem pozbawienia tych obligacji jakiegokolwiek wartości. Nasze życie zamieniło się w piekło i nie sądzę, byśmy im to kiedykolwiek wybaczyli.

Po pierwsze, nasz niepewny kredyt przepadł. Międzygwiazdni bankierzy nie chcieli robić interesów z planetą, która dopiero co wróciła do horroru socjalizmu. Po drugie, straciliśmy zaplecze japońskich inżynierów i menedżerów. Wrócili do domu zaraz po przejściu ich własności. Nagle okazało się, że fabryki nie pracują już tak świetnie, jak kiedyś. Jestem pewien, że w jakimś stopniu był to efekt sabotażu. Po trzecie, Japończycy rozpoczęli kampanię pod hasłem „Bojkot Nowych Kaszub”, a wierz mi, oni naprawdę mają sporo do powiedzenia. Eksport spadł na łeb, na szyję. Pojawiły się opinie, że kanibalizm i eutanazja też mają swoje zalety.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

JAK SKOŃCZYŁY SIĘ KŁOPOTY KASZUBÓW

Wtedy na ratunek przyszli Jugosłowianie. Przylecieli do nas z wizami turystycznymi, obowiązkowymi aparatami fotograficznymi i w hawajskich koszulach, ale nikt nie dal się na to nabrać. Nikt, z wyjątkiem inspektorów Grupy Najbogatszych Państw.

Widzisz, serbscy Jugosłowianie chcieli wypowiedzieć wojnę chorwackim Jugosłowianom, więc Chorwaci postanowili podstępnie - przepraszam, prewencyjnie - zaatakować Serbów. Należy tu wspomnieć, że obie grupy etnicznie są prawie identyczne. Mówili tym samym językiem, mieli podobne tradycje i tą samą przynależność rasową, tyle, że Chorwaci byli rzymskimi katolikami, a Serbowie greckimi, i to wystarczyło, żeby chcieli się wzajemnie pozabijać. Mówię ci, to była taka sama głupota, jak to, co działo się w Irlandii.

Wiesz, że chociaż mówili tym samym językiem, Chorwaci drukowali książki używając alfabetu łacińskiego, a Serbowie tylko greckiego? Bardzo się starali, żeby uniknąć jakiegokolwiek porozumienia. Jednak mimo że jedni i drudzy bardzo chcieli urządzić sobie wojnę, nie mieli zaplecza przemysłowego, potrzebnego do wyprodukowania czegokolwiek większego od kuszy. Chorwaci dowiedzieli się, że Serbowie jakoś wymogli na Grupie Najbogatszych Państw sprzedaż dużych ilości sprzętu wojskowego, dlatego przyszli do nas.

Najciekawsze - przynajmniej z naszego punktu widzenia - było jednak to, że tydzień później pojawili się Serbowie z dokładnie taką samą historyjką. Bardzo starannie pilnowaliśmy, żeby obie grupy „turystów” się nie spotkały. W ten sposób mogliśmy dużo więcej zyskać. Wuj Włodzimierz miał pryczę tuż pod moją, więc byłem nieźle zorientowany w temacie. Po pierwsze, Nowa Jugosławia oddalona było od Nowych Kaszub o zaledwie pięć lat świetlnych. W skali kosmicznej byliśmy sąsiadami. Transporterem taką odległość pokonywało się w półtorej godziny, oczywiście przy założeniu, że można by zbudować połączenie między dwoma koloniami. Oczywiście nie można było tego zrobić, a przynajmniej nie legalnie.

Jedną z jakże uroczych zagrywek Grupy Najbogatszych Państw było zarządzenie, że wszystkie transporty - wszystko jedno skąd i dokąd - musiały przechodzić przez Układ Słoneczny. Chodziło o wylapywanie kontrabandy, zatrudnienie dla Ziemian i o to, żeby Grupa mogła na wszystkim położyć łapę. W jakiś sposób Chorwatom udało się wybudować własny transport Hassana-Smitha. Nie palili się do zdradzenia, skąd udało im się wytrzasnąć plany, jednak w zamieszkałym wszechświecie odchodził zyskowny szmugielek, a Nowe Kaszuby zaproszono do współudziału.

Nowa Jugosławia była światem podobnym do Ziemi, z nieźle rozwiniętym systemem upraw. Mieli mnóstwo nadwyżek żywności, które z rozkoszą przehandlowaliby za maszyny i inny sprzęt przemysłowy. Mieli normalny układ planetarny, podobny do ziemskiego, zjedną planetą zdatną do zamieszkania i tuzinem innych, które nadawały się właściwie tylko na źródło rudy. Na księżycach zewnętrznych planet mieli lód, amoniak, dwutlenek węgla i wszystko to, czego nam brakowało. Mieli nawet prawdziwy piach!

Nie mieli natomiast systemu fabryk, produkujących nowoczesne uzbrojenie, podczas gdy my, jak nam powiedzieli, mieliśmy. Zaskoczyła nas ta rewelacja, ale po sprawdzeniu komputerów okazało się, że nasze zautomatyzowane wytwórnie faktycznie produkują i składują sprzęt wojenny, wywiązując się z kontraktu z Grupą Najbogatszych Państw - cwaniaczki chcieli się zabezpieczyć na wypadek, gdyby przyszło im do głowy wypowiedzieć

komuś wojnę. Widzisz, kiedy wszystko jest pod ziemią, w mających kilkadziesiąt lat, długich na tysiące mil, pozbawionych powietrza korytarzach, łatwo jest ukryć różne rzeczy.

Tokyo Mining and Manufacturing słowem nie wspomniało o tych fabrykach, ciągle zgarniając szmal za produkowany i magazynowany przez nas sprzęt. Szybko go odnaleziono, ale dalsze poszukiwania nie przyniosły efektu. Od razu przyszło nam do głowy, że broń oznacza materiały wybuchowe, a materiały wybuchowe to substancje organiczne. Kilka milionów ton organicznych chemikaliów, przepuszczone przez przetwórnice mogło wyprowadzić nas na prostą, a przynajmniej pomóc wznieść się ponad życie na minimalnym poziomie. Niestety, sprawdzenie danych technicznych broni rozwiało nasze marzenia.

Mieliśmy broni atomowej do przesytu. Laserów do wyrzygania. Mieliśmy działa próżniowe, wyrzutnie magnetyczne, każdy rodzaj broni energetycznej, znany człowiekowi, ale żadnych materiałów wybuchowych. Znaleźliśmy sporo broni ręcznej, tyle, że bez amunicji. Miny, pociski artyleryjskie i granaty były puste - czekały, aż wypełni się je materiałami organicznymi, których my nie mieliśmy. Och, znaleźliśmy trochę plastiku na kablach i krzemu w komputerach, ale nie było tego tyle, żeby się tym ekscytować. Znowu zostaliśmy wykiwani.

Nie trzeba było geniusza, żeby zrozumieć, dlaczego Grupa Najbogatszych Państw produkowała sprzęt na Nowych Kaszubach. To się po prostu opłacało. Musieli jedynie wyłożyć trochę gotówki na jednorazowy projekt i krótkoterminowy wynajem automatycznych wytwórni broni, plus jakieś niewielkie opłaty za nadzór dla Japończyków. Potem, gdyby kiedykolwiek szybko potrzebowali sprzętu, musieliby tylko zapłacić za materiały i transport, z czego większość i tak wróciłaby do ich kieszeni. Dla Japończyków był to łatwy zarobek, bo mieli akurat pod ręką stojące bezproduktywnie fabryki i surowce.

Nasi politycy doszli do wniosku, że fabryki uzbrojenia należą do nas, skoro zabraliśmy wszystko, co należało do Tokyo Mining and Manufacturing. Jeśli Najbogatsze Państwa wciąż płaciły Japończykom, tym lepiej dla nas, ponieważ gdybyśmy kiedykolwiek znów się z nimi zaprzyjaźnili, moglibyśmy odjąć te opłaty od naszego u nich długu. Przynajmniej moglibyśmy spróbować, zresztą Najbogatsze Państwa lubiliśmy jeszcze mniej, niż Japończyków.

Kto jest właścicielem samego składowanego uzbrojenia było sprawą dyskusyjną ponieważ Grupa zapłaciła za robociznę i czas produkcji, ale surowce, z których je wykonano, były bez wątpienia nasze. Mimo to było jasne, że Najbogatsze Państwa nie będą szczęśliwe, jeśli ich przyszła własność zostanie odsprzedana przez osoby trzecie osobom czwartym i piątym.

Po długich debatach nasi politycy wymyślili jednak, że moglibyśmy pożyczyć trochę sprzętu, a za wynajem zapłacić samym sobie w ramach pokrycia kosztów składowania, którymi obciążylibyśmy Grupę, gdyby kiedykolwiek nasze kombinacje wyszły na jaw. W ten sposób moglibyśmy przynajmniej pokłócić się trochę, zyskać na czasie i powstrzymać tych drani z Ziemi od zniszczenia nas bez zastanowienia.

Jedna z partii mniejszości parlamentarnej stwierdziła, że atak Ziemian nie byłby wcale najgorszym wyjściem. Na pewno zredukowałby naszą populację, co było bezsprzecznie korzystne, poza tym użyte materiały wybuchowe i zabici żołnierze wroga powiększyliby nasze zapasy substancji organicznych, co mogłoby wystarczyć, by postawić nas na nogi. Na szczęście było to bardzo małe ugrupowanie, z zaledwie jednym delegatem, którego reszta śmiechem zgoniła z mównicy.

Po kilku tygodniach debat mój wujek i jego kumple doszli do wniosku, że chyba jednak uda im się pożyczyć bezterminowo kilka milionów czołgów, dział i innego sprzętu, zalegającego dookoła. Głównie dlatego, że nikt go nie pilnował. Wszystkie to były najnowsze modele, z laserami, samonaprowadzającymi się rakietami (bez paliwa i materiałów wybuchowych) i działami próżniowymi. Poza tym mieliśmy mnóstwo sprzętu do wiercenia, budowy przepraw i tuneli. Dodaj do tego przeludnienie Nowych Kaszub i zgadnij, co wymyślili.

W ofercie, którą złożyli Jugosłowianom (mój wujek też miał w tym swój udział), proponowali, że Nowe Kaszuby zbudują i utrzymają linię Hassana-Smitha między oboma planetami, tak, by przeciwna strona konfliktu nie mogła uznać jej za instalację militarną. Naprawdę chodziło o to, żeby włączyć się w nielegalny handel między koloniami. Plan zakładał, że położymy łapę na technologii produkcji transporterów, co było dla nas niezwykle ważne. W przyszłości pojawią się inni partnerzy handlowi, a kto wie, komu jeszcze będzie zależało na transporcie międzyplanetarnym?

Poza tym, zamiast po prostu sprzedać Jugosłowianom sprzęt po cenach wolnorynkowych i zaryzykować, że Najbogatsze Państwa wściekną się na Nową Jugosławię, zaproponowaliśmy im wynajem uzbrojenia z kaszubską obsługą. W ten sposób nikt nie sprzedawałby ani nie kupował sprzętu, który prawnie należał do Grupy - nikt nie chciał ryzykować wojny z Najbogatszymi Państwami, a przynajmniej jeszcze nie wtedy.

Jugosłowianom bardzo spodobało się takie wyjście, ponieważ mimo że chcieli pozabijać tych sukinsynów z drugiej strony, co rozsądniej si z nich zauważali, że dobrze byłoby samemu ujść z życiem. Zamówili po dwadzieścia dywizji pancernych na stronę, płatne

głównie w płodach rolnych, i tak Nowe Kaszuby stały się potentatem rynku wojsk najemnych.

Oprócz uiszczenia solidnej stawki za żołnierzy, Chorwaci zgodzili się, żeby Nowe Kaszuby wzięły sobie cały lód, amoniak, dwutlenek węgla i Bóg wie, co jeszcze z zewnętrznych planet i księżyców systemu Nowa Jugosławia, ponieważ Serbowie i tak mieli się o tym nie dowiedzieć, a nawet gdyby, to mogliśmy ustawić tam swoje transportery. Następnie dokładnie taki sam układ zawarliśmy z Serbami, tak na wszelki wypadek.

Wszyscy wydawali się zadowoleni, może z wyjątkiem tych biednych drani, którzy mieli iść walczyć na cudzej wojnie, ale to akurat nie był mój problem. Ja pracowałem w projektach. Przydzielono mnie do grupy konstrukcyjnej, budującej linię transportową między nami a Nową Jugo- sławią.

Niemożliwym okazało się zbudowanie u nas jugosłowiańskiego transportera i przeszmuglowanie go do nich przez Ziemię. Wszystkie istniejące legalnie terminale były pilnie strzeżone przez ziemskie służby specjalne, a ci chłopcy działali aż nazbyt sprawnie. Oczywiście, dawało się przemycić zakodowane wiadomości w poczcie, ale ciężki sprzęt? Zapomnij.

Jugosłowianie nie mieli ze swojej strony możliwości, by sprawić sobie odpowiedni terminal samemu, mieli za to odpowiednie kontakty w kręgach przemytniczych. Widzisz, stacja, przez którą brali udział w czamorynkowym handlu była dość kiepska i nie dało się jej ustawić na Nowe Kaszuby. Chcieliśmy mieć kontrolę nad wszystkim, co się u nich pojawiało, więc powiedzieliśmy Jugosłowianom, że zamiast przebudowywać istniejący terminal, taniej wyjdzie zbudować nowy, a oni to kupili.

Okazało się, że możliwe jest zbudowanie generatora Hassana-Smitha pod powierzchnią Nowych Kaszub i drugiego pod powierzchnią Nowej Jugosławii bez potrzebnych do tego zazwyczaj orbitujących stacji solarnych. Była to jedynie kwestia zasilania, a my mieliśmy uranu po szyję. Łatwiej było nam zbudować elektrownie atomowe niż kolektory słoneczne, ponieważ nie mieliśmy statków wewnątrzsystemowych, a przynajmniej tak nam się wydawało, a poza tym elektrownie pasowały nam do wizji sieci transportowej ukrytej przed wzrokiem Grupy.

Kolejną zaletą takiego rozwiązania był fakt, że nikt już nie używał paliw rozszczepialnych, a my jako jedyni posiadaliśmy uran, nadający się do reaktorów. Gdyby transmitery kiedykolwiek wpadły w niepowołane ręce, złodzieje musieliby układać się z nami, ponieważ kontrolowaliśmy całe zasilanie.

Soul City, planeta Czarnych Amerykanów, dostała zlecenie na odbiorniki transportowe dla Nowej Jugosławii, ponieważ była w obiegu i posiadała niezbędne zaplecze. Oczywiście sfinansowali to Jugosłowianie. Nowe Kaszuby wciąż były niewypłacalne. Mówiłem po angielsku, więc miałem swój udział w ustaleniach z ludźmi z Soul City, projektującymi oba terminale nowojugosłowiańskie. Jeden miał być zbudowany pod ziemią, w sekretnym miejscu, o którym niebawem wszyscy mieli się dowiedzieć - przez niego dostarczalibyśmy jednostki i odbierali zapłatę w naturze. Jego źródłem energii miał być własny reaktor atomowy, zbudowany i obsługiwany przez Nowe Kaszuby. Do wysyłki potrzeba dużo energii, ale do odbioru tylko trochę, mogliśmy więc wysłać go na miejsce po uruchomieniu odbiornika. Drugi transporter był taki sam, jak pierwszy, jednak planowano zainstalować go na Freyi, jednym z księżyców Wodena, jedyne gazowego olbrzyma w układzie. Miało to zapewnić nam dostęp do niewyczerpanych źródeł dwutlenku węgla, azotu (w formie amoniaku), wody i innych fajnych rzeczy.

Kolejny punkt umowy przewidywał, że Nowojugosłowianie również będą korzystać z drugiego transportera. Ich Planetarna Komisja Ekologiczna wydała ustawę, że jeśli mają eksportować duże ilości produktów żywnościowych, eksporter musi zastępować utracone w ten sposób pierwiastki - tlen, azot, węgiel itp - surowcami z Freyi, by zachować naturalną równowagę środowiska Nowej Jugosławii.

Tak naprawdę trzeba by eksportować ogromne ilości żywności przez kilka tysięcy lat, żeby takie ubytki stały się zauważalne i myślę, że mój wujek namówił ich do wydania tej ustawy tylko po to, żeby pokryli połowę kosztów budowy transportera na Freyi. Zresztą zawsze uważał, że czyniąc dobro osiąga się podwójne korzyści. Pozostawała jeszcze kwestia naszego końca połączenia, ale to wymagało jedynie wprowadzenia danych do terminala zautomatyzowanej fabryki i wybrania odpowiednich opcji z menu. Ostatecznie budowa transporterów zabrała nam zaledwie kilka miesięcy.

Podczas gdy ja byłem ciężko zajęty imponowaniem kolegom i awansowaniem w sekcji technologicznej, wuj Włodzimierz zajął się polityczną stroną całego przedsięwzięcia. Po pierwsze, problemem było wyszkolenie najemników. My, Kaszubi, nie braliśmy udziału w wojnie od stu pięćdziesięciu lat, a nawet wtedy nie zgłosiliśmy się na ochotnika. Cała nasza wiedza o wojowaniu pochodziła z tanich czytań. Mieliśmy zatrudnić najemników, żeby wyszkolili naszych najemników, żeby ci mogli polecieć na Nową Jugosławię i dać się zabić? Skąd mieliśmy ich wytrzasnąć w obecnych czasach? Czym mieliśmy im zapłacić? Złotem? Czy zgodziliby się na taką zapłatę? A czym mielibyśmy ich nakarmić, skoro sami przymieraliśmy głodem? Wtedy ktoś zauważył, że druga strona konfliktu będzie miała tak

samo mizerne pojęcie o wojowaniu, ponieważ w gruncie rzeczy będą tam walczyć ci sami żołnierze, więc nie miało znaczenia, że wynajmujemy Chorwatom bandę amatorów. Oni sami nie wiedzieli więcej. Tak naprawdę nie nienawidziliśmy przeciwnika, więc im mniej będzie zabijania, tym lepiej.

Chodziło nam o niezłe widowisko, z mnóstwem defilad i wywalaniem w powietrze całych hektarów pustyni. Próbować zabić kogoś, kogo nawet nie znaleźliśmy? Przecież to szaleństwo! Po trzech tygodniach ożywionych dyskusji na temat szkolenia mój wujek zasugerował, żebyśmy przejrzyli zapasy broni. Dobrze byłoby wiedzieć, do czego mamy się przygotowywać.

Rada z miejsca ustanowiła go jednoosobowym komitetem d/s zbadania sprawy, i wujko poszedł. Kiedy obejrzał sprzęt, który mieliśmy pożyczyć stwierdził, że wszystkie nasze obawy były nieuzasadnione. Każde większe urządzenie wyposażone było w komputer albo myślący, albo tak temu bliski, że nie dało się stwierdzić różnicy. Wiedział, że tak było, ponieważ sprzęt sam mu to powiedział. Podobnie jak wszystkie warte posiadania komputery, te również zaprogramowano tak, by mogły szkolić swoich operatorów. Problem wyszkolenia zniknął, czy raczej należałoby powiedzieć, że nigdy go nie było. Wujek złożył raport, a dyskusje zmieniły tor.

Problemem okazało się bowiem znalezienie odpowiedniej liczby ochotników do Kaszubskich Sił Ekspedycyjnych. Kilka romantycznych dusz tęskniło do glorii błyskających szabel i kawaleryjskich szarży, a skoro tego nie było na składzie, no cóż, gotowi byli przystać na szturm wojsk pancernych. Pewna liczba bardziej przyziemnie myślących ludzi zgłosiła się, ponieważ mieli dosyć podłego żarcia w za małych porcjach i życia w koszarach z osobnikami tej samej płci, nawet w złotych ścianach. Armia wydawała się im całkiem niezłym wyjściem z sytuacji, ponieważ trudno było sobie wyobrazić, żeby było w niej jeszcze gorzej. Do tego umowa przewidywała transport na Nową Jugosławię, która według wszystkich doniesień była bardzo sympatycznym miejscem. Sporo ludzi pomyślało sobie: kto wie? Jak już się tam znajdę, może Jugole pozwolą osiedlić się na stałe? I tak mieli już trzydzieści innych grup etnicznych. Co mogło im przeszkadzać kilku Kaszubów?

Chociaż jednak ochotnicy zgłaszali się setkami, nasze zobowiązania wobec samych Chorwatów mówiły o tysiącach. Problem niedoboru ochotników stał się jeszcze poważniejszy, kiedy Jugosłowianie macedońscy zaczęli martwić się sąsiedztwem Jugosłowian czarnogórskich i zamówili cztery dywizje, tak na wszelki wypadek. Naturalnie Czarnogórcy zaraz potem zamówili pięć dywizji, również ot, tak, i zapłacili z góry, żeby dostać je przed Macedończykami.

Nasi sprzedawcy nie byli w stanie oprzeć się nowej modzie, więc już niedługo potem przeróżne jugosłowiańskie odłamy licytowały się z takim zapałem, że zupełnie zapomniały wściec się na nas za to, że wynajmujemy się większości przyszłych stron szykującej się dwunastostronnej wojny. Słoweńcy zamówili kilka dywizji na wypadek, gdyby wojna objęła ich tereny. Nieliczni pozostali w Nowej Bośni muzułmanie zrobili to samo.

Prawdziwe mniejszości narodowe Nowej Jugosławii, czyli Słowacy, Bułgarzy, Rusini, Czesi, Rumuni, Wołosi, Włosi i Cyganie, którzy zamieszkiwali osobno na niewielkich, rozrzuconych wyspach, zrzucili się na dwie dywizje jednostek morskich, które miałyby stać na straży i uważać na całą resztę. Pozostały jeszcze enklawy Albańczyków, Węgrów, Turków i Niemców, którzy rozsądnie postanowili przeczekać całą aferę.

Po zapoznaniu się z sytuacją polityczną Nowej Jugosławii można było prawie zacząć współczuć decydom Grupy Najbogatszych Państw. Prawie. Jugosłowianie byli skomplikowaną zbiorowością wielu wzajemnie nieprzyjaznych grup, a wszystkie mieszkały w jednym kraju. Byli jak bomba zegarowa, i najlepiej było wysłać ich jak najdalej, żeby eksplozja narobiła jak najmniej szkód. Tak czy inaczej pieniądze napływały tak szybko, że terminale transportera Nowej Jugosławii zostało spłacone gotówką tego samego dnia, w którym Soul City je dostarczyło. Nowe Kaszuby powoli zyskiwały kredytową wiarygodność, przynajmniej w kręgu szmuglerów.

Nie mogliśmy użyć tych pieniędzy, by legalną drogą poprawić swoją sytuację. Mogłoby to zaalarmować inspektorów Grupy i zdekonspirować całą przemytniczą siatkę. Skrupulatnie pilnowaliśmy, żeby wszystkie transporty na Ziemię i z powrotem szły zwykłymi kanałami, dokładnie tak, jak dotychczas. Na pewno jednak żywność z Nowej Jugosławii bardzo nam pomogła. Po raz pierwszy od lat średnia dzienna racja żywieniowa przekroczyła tysiąc dwieście kalorii.

Jedliśmy już prawie połowę tego, co Chińczycy! W momencie, kiedy zakończono budowę transporterów, mieliśmy zamówienia na pięćdziesiąt pięć dywizji po dziesięć tysięcy ludzi i wszyscy zaczęli głowić się, jak je wysłać. Potrzebowaliśmy ponad pół miliona ochotników, a mieliśmy poniżej dziesięciu tysięcy. Nie byłoby naj rozsądniej dopuścić, by Jugosłowianie się o tym dowiedzieli, ponieważ w większości przypadków płacili z góry.

Wyjściem z sytuacji okazał się system prawny Nowych Kaszub. Drakońskie prawa, których trzeba było przestrzegać z całą bezwzględnością, by przeżyć w tunelach powodowały, że mieliśmy na głowie coraz liczniejszą grupę notorycznych przestępców, z którymi coś trzeba było zrobić. Zamykanie ich w więzieniach nic nie dawało, ponieważ samo życie na Nowych Kaszubach było gorsze, niż jakiegokolwiek więzienie. Kary fizyczne uznawano za

barbarzyństwo, co więc pozostawało? Powystrzelać ich? Za przewinienia, które tak naprawdę były drobnymi wykroczeniami? Lepiej wysłać ich do woja. Tak nakazywała tradycja. Może armia zrobi z chłopców prawdziwych mężczyzn. I z dziewczyn też. Mój własny wujek głosował za, a ja nawet uwierzyłem, że to dobry pomysł. Oczywiście do czasu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

JAK MIKOŁAJ DIRDOWSKI WPAKOWAŁ SIĘ W KŁOPOTY

Wreszcie wszystko zaczęło jakoś wyglądać. Dzięki importowanej żywności wszyscy zaczęliśmy jeść prawie do syta (obiecano nam, że niedługo dostaniemy prawdziwe mięso!), poza tym dostawy surowców pozwoliły nam rozbudować system upraw hydroponicznych. Fabryki rozwijającego się przemysłu lekkiego pracowały na pełnych obrotach po raz pierwszy, odkąd je zbudowaliśmy. Wreszcie mieliśmy dość piasku, by zacząć robić szkło. Wielokrotne przetwarzanie nowych substancji organicznych nie stanowiło problemu. Według prognoz za rok mogliśmy popuścić pasa i zacząć żyć jak ludzie, z ubraniami, z rodzinami, randkami i weselami! Kłopot w tym, że ja i Kasia zaczęliśmy świętować trochę za wcześnie. Zaszła w ciążę.

- Ale Mikołaju, mówiłeś, zdaje mi się, że byliście całkowicie odseparowani - powiedział mój czołg.

- Byliśmy - odparłem. Doszedłem do wniosku, że skoro ona mogła mówić głośno, to ja też.

- Jak, w takim razie...? Wiesz, że jestem tylko maszyną i moje pojęcie o tych sprawach jest czysto teoretyczne, ale mam informacje, że to wymaga kontaktu fizycznego...

- Wymaga. Miłość znalazła sposób.

- Wciąż nie rozumiem, Mikołaju.

- Powiedziałem chyba, że była tam dziura w ścianie, nie?

Jak obrazowo mam ci to opisać?

- Nie brzmi to specjalnie zachęcająco.

- Lepsze było to, niż nic - powiedziałem. - Słuchaj, jak długo potrwa jeszcze ta kalibracja?

- Odpowiednią ilość danych otrzymałam już jakiś czas temu, Mikołaju, ale zainteresowała mnie twoja opowieść. Może ją dokończysz?

- Nie ma tu wiele do opowiadania. Kasia była w ciąży, a badania DNA wykazały, że ja jestem ojcem. Mój wujek próbował jakoś pomóc, ale nic nie wskórał. Nikogo nie obchodził przebieg naszej pracy, wykształcenie czy cokolwiek innego. Rozprawa trwała trzy minuty, a sędziowie nawet nie opuścili sali przed ogłoszeniem wyroku. Ciężę usunięto, tak jak kazało prawo, a nas oboje skazano na śmierć, albo nawet coś gorszego.

- Życie ze mną nie może być gorsze od śmierci, Mikołaju.

- Przypomina pogrzebanie żywcem, poza tym widoki są kiepskie. - Siłą rzeczy odkąd mnie tu zamknięto wpatrywałem się w magiczne telegogle, które pokazywały jedynie gołą ścianę.

- A co powiesz o tym, Mikołaju?

Niespodziewanie płaska, palladowa ściana zmieniła się w uroczy, ziemski las, ze strumykiem i niewielkim wodospadem. Co więcej, obraz na ekranie hełmu przypominał telewizję, z liniami przepłotu, ale to... To było jak prawdziwe!

-Tu jest pięknie! - westchnąłem. Wtedy wśród liści zaszeleścił lekki wiatr, a ja poczułem jego podmuch na twarzy!

- Jak to zrobiłeś? - zawołałem i zdałem sobie sprawę, że czuję zapach drzew i kwiatów.

- Bezpośrednia stymulacja układu nerwowego, Mikołaju. Między innymi do tego potrzebna była kalibracja. Wstań. Przejdź się.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście, że mówię poważnie. Dalej!

Posłuchałem - wstałem i spojrzałem w dół, na swoje stopy. Miałem na sobie t-shirt, niebieskie jeansy i wygodne buty za kostkę, takie same, jakie nosiłem na Ziemi. Obejrzałem swoje dłonie, poruszyłem palcami, i to były naprawdę moje ręce, nie jakiegoś aktora. To nie było nagranie. Miałem na sobie nawet moją starą, flanelową koszulę.

- To jest jak sen!

- Słuszne spostrzeżenie, Mikołaju. To Świat Snów. Jest bardzo podobny do snu, z tą różnicą, że jesteś w pełni świadom i pod moją kontrolą.

- Nigdy o tym nie słyszałem. Jak to możliwe, żebym nigdy o tym nie słyszał?

- Świat Snów nie jest czymś, o czym rozpowiada się na prawo i lewo, Mikołaju. Wymaga sporej mocy obliczeniowej, bardzo drogich sensorów i induktorów, ale gdybyś był członkiem zarządu Grupy Najbogatszych Państw, prawdopodobnie miałbyś swój własny zestaw do zabawy.

- W takim razie po co montują coś takiego w czołgu?

- Ponieważ prawie wszystkie elementy, które są do tego potrzebne, zostały już zamontowane z różnych innych powodów. Prawdę mówiąc oprzyrządowanie Świata Snów zaprojektowano początkowo do celów wojskowych. Przystawki nerwowe potrzebne są do monitorowania twoich funkcji życiowych i odbierania poleceń. Obwody indukcyjne są niezbędne ze względów taktycznych, żeby skrócić czas reakcji w sytuacjach kryzysowych. Typ Mark XIX ma standardowo zamontowany komputer szóstej generacji, więc z założenia dysponuje nadwyżką mocy obliczeniowej. Tak naprawdę wojsko musiało wyłożyć gotówkę tylko na stosunkowo nie-drogi oprogramowanie. Pozwoliło to na niebagatelne oszczędności na logistyce - odpadły koszty kuchni polowych, koszar i szpitali. Koszty szkolenia spadły prawie do zera, problem zmęczenia walką również. Nie trzeba wypłacać tak wysokich emerytur. Problemem przestaje być ponowny pobór - wielu żołnierzy tak rzadko opuszcza swoje maszyny, że nawet nie pobierają żołdu. Świat Snów korzystnie wpływa na morale i nie podwyższa kosztów. Wreszcie faktem jest, że jestem bronią, a od zarania dziejów ludzie robili, co mogli, żeby uczynić swoją broń jak najdoskonalszą jak najmniejszym kosztem.

W zamyśleniu pomachałem sobie ręką przed oczami.

- Ja też kontroluję ten sen.

- Tak jest. W pewnych określonych granicach.

- Co masz na myśli?

- Zdecydowałam, że twoje otoczenie będzie miało rzeczywiste parametry. Gdybyś spróbował zamachać skrzydłami i polecieć, nie udało by ci się. Pomachałbyś rękami i został w miejscu.

- Ale nie wszystko musi wyglądać tak realistycznie, prawda?

- Prawda. Świat może być wszystkim, czym zechcę, Mikołaju - powiedział czołg. Obok mnie przeszedł biały jednorożec. - Dalej! Spróbuj go złapać! Musisz wypracować sobie apetyt na obiad!

Cała sytuacja była zbyt magiczna, żeby się klócić, więc puściłem się biegiem leśną ścieżką za wspaniałym stworzeniem. Było to niesamowite przeżycie. Czułem się silniejszy i zdrowszy, niż kiedykolwiek przedtem. Mimo to po przebiegnięciu mniej więcej kilometra dostałem zadyszki i musiałem zwolnić. Jednorożec uciekł, zresztą i tak straciłem kwalifikacje do łapania jednorożców, kiedy miałem szesnaście lat.

- Całkiem dobrze, Mikołaju. Osiągnąłeś wynik bliski optimum. Co chciałbyś zjeść na lunch?

- Co masz? - spytałem, zdyszany.

- To niemądre pytanie, przyjacielu. Możesz dostać absolutnie wszystko, o co poprosisz.

- Wszystko? W takim razie niech to będzie stek i homar, oba przypieczone. Rany, naprawdę jestem zmęczony. Czy aby trochę nie przesadzasz?

- Właśnie skończyłeś forsowny trening, Mikołaju. Był prawdziwy. Podczas gdy twój umysł ćwiczył bieganie i niezbędną do tego koordynację z ciałem, twoje mięśnie również pracowały. Musimy podnieść twoją masę ciała do optimum, a nie chcemy dodawać ci zbędnego tłuszczu, prawda?

- Aha. Jeśli możesz sprawić, że ćwiczę mięśnie, nie wiedząc o tym, po co w ogóle mi o tym mówisz? Dlaczego muszę się męczyć i pocić? - spytałem, idąc powoli ścieżką.

- Mogłabym to zrobić, gdybym chciała wytworzyć na tobie nieskoordynowane mięśnie. Będziesz potrzebował czegoś więcej, niż prymitywnej siły, żeby zwyciężyć w bitwie. Potrzebny ci będzie do tego umysł, który wie, jak kontrolować ciało. Poza tym, treningi nie są znowu taką męczarnią i nie staną się nią, jeśli będziesz współpracował.

- No cóż, ty jesteś szefem. - Ścieżka zaprowadziła mnie na łąkę, na której, całkiem absurdalnie, stał stół i krzesło, które wyglądały jak żywcem wyjęte z dobrej, francuskiej restauracji. Na nieprawdopodobnie białym obrusie leżały wypolerowane do połysku, srebrne sztucce. Usiadłem, wciąż mając dookoła siebie wspaniały, wypielęgnowany las.

- Jestem szefem, dopóki nie skończy się szkolenie. Potem staniemy się partnerami - powiedziała, podając mi tacę, przykrytą kopulastą, srebrną przykrywką. Była atrakcyjną, młodą Skandynawką. Miała na sobie kusy mundurek pokojówki, z dużym dekoltem, siatkowe pończochy i czółenkana wysokim obcasie.

- A więc i ty tu jesteś - powiedziałem. – Zastanawiałem się, jak wyglądasz.

- Mogę wyglądać jakkolwiek sobie zażyczysz. - Jej włosy pociemniały. Teraz wyglądała bardziej na Włoszkę.

- Spokojnie. Nie wszystko naraz - powiedziałem i napocząłem zawartość talerza. Odkroiłem spory kawałek befsztyka i umoczyłem go w sosie A. 1. Był niesamowicie pyszny. Proteiny! - Pewnie moje prawdziwe ciało w czołgu teraz je?

- Tak, chociaż tak naprawdę jesz po prostu pełną składników odżywczych pastę. Nie dodałam żadnych substancji smakowych. Chcesz, żebym przełączyła cię na chwilę?

- Nie. Skoro już jestem w niebie, mogę tu na trochę zostać. Czyli to, co jadłem na śniadanie, nie było urojeniem? Możesz fałszować jedzenie na oba sposoby? – Odłamałem rękami ogon homara i rozłupałem go specjalnymi szczypcami. Wydłubałem ze środka mięso małym widelcem, umoczyłem je w miseczce z roztopionym masłem i pograżyłem się w ekstazie. Po trzech latach głodowej, wegetariańskiej diety czułem się jak w raju.

- Tak, ale w żadnym przypadku nie jest to fałszowanie. Kontroluję syntetyzery żywności, twoją sieć nerwową i wiele innych rzeczy, ale twoja osobista rzeczywistość jest zawsze taka, jaka ci się wydaje.

- Czyli albo bardzo głęboka, albo bardzo powierzchowna. Wygląda mi na to, że dla ciebie to jedynie kwestia małego rozdzielenia.

- W walce będziesz potrzebował silnego poczucia rzeczywistości, Mikołaju. Nie byłoby dobrym pomysłem, żebyś znajdował się wtedy w Świecie Snów.

- To ty się na tym znasz. A wracając do chwili obecnej, masz zamiar coś zjeść? - Boże, ależ ten homar był pyszny! Pierwszy od pięciu lat.

- Nie, ale jeśli chcesz, mogę to dla ciebie zrobić.

- Nie fatyguj się. Co mamy teraz w rozkładzie?

- Kiedy skończysz jeść, będziemy kontynuować trening. Dziś po południu zaczniemy wzorcową identyfikację celów.

- W porządku. Kiedy nauczysz mnie prowadzić czołg?

- Dopiero za jakiś czas, kiedy dojdziemy do procedur awaryjnych. W normalnych okolicznościach ja zajmuję się kierowaniem, Mikołaju. Mój refleks jest o wiele lepszy, niż twój kiedykolwiek będzie.

- A więc ty kierujesz, a ja jestem strzelcem, tak? - Pożarłem resztę steku i dobrałem się do szczypców homara. Przeznaczone do tego narzędzie wyglądało jak dziadek do orzechów i zupełnie się nie sprawdzało. Nagle obok talerza pojawił się lśniący nowością przybornik. Kombinerki i przecinak zdecydowanie ułatwiły mi rozprawę z morskim stworem.

- Nie, bronią też zajmuję się ja. Moja szybkość reakcji i celność wielokrotnie przewyższa to, co ty byłbyś w stanie osiągnąć.

- W takim razie do czego jestem potrzebny? Jestem rytualną ofiarą? - Upuściłem na talerz opróżnione szczypce homara.

- Oczywiście, że nie. Jesteś żywotnym elementem systemu, czy może raczej będziesz nim, kiedy zakończysz szkolenie.

- Co będę robił, na litość boską!

- To, o czym już ci mówiłam, Mikołaju. Wzorcowa identyfikacja celów. To jest tak: jestem układem cyfrowych komputerów, potrafiącym sobie świetnie radzić z każdym, postawionym przede mną zadaniem, o ile jest policzalne. Jeśli problem daje się zdefiniować, zawsze można zaprojektować i zaprogramować maszynę, która rozwiąże go szybciej i sprawniej, niż jakikolwiek człowiek. Jestem układem logicznym i radzę sobie z problemami logicznymi. Twój mózg nie jest układem logicznym...

- Wypraszam sobie, młoda damo. Jestem w pełni władz umysłowych! - Zabrałem się za pieczone ziemniaki, ale już bez entuzjazmu, chociaż polane były zsiadłym mlekiem. Homara i stek zjadłem zdecydowanie za szybko.

- Całkowicie się z tym zgadzam, Mikołaju, lecz ludzki system nerwowy nie jest układem logicznym, lecz kojarzącym. Jest tak zbudowany, by rozwiązywać problemy nie do końca definiowalne, albo nawet niedefiniowalne w ogóle. Z wyjątkiem kilku podsystemów, jak na przykład aparatu widzenia, który działa niezmiennie tak samo, reszta twojego umysłu jest samoprogramowalna, a może nawet nieprogramowalna.

- Chcesz powiedzieć, że niektóre rzeczy robię lepiej, niż ty? - Pochłonąłem również trochę sałatki.

- Oczywiście! Możesz wypatrzeć wroga! Czołg z człowiekiem-obszernikiem ma dziesięć razy większy współczynnik przeżywalności na polu walki. Współczesne uzbrojenie pozwala nam zniszczyć przeciwnika, jeśli tylko go wykryjemy. Niektóre konfiguracje uzbrojenia zawierają działo próżniowe, wystrzeliwujące strumień osmowych igieł z jedną czwartą prędkości światła. Żaden pancierz, nic fizycznego nie jest w stanie opierać się im przez więcej, niż kilka milisekund.

- W takim razie po co ci pancierz? - spytałem.

- Jestem w stanie znieść całkiem dużo, ale nie kilka bezpośrednich trafień. Nawet niecelny, ale bardzo bliski ostrzał z działka próżniowego jest bardzo niebezpieczny. O tym wszystkim była mowa w wykładzie zapoznawczym, który ci pokazałam, Mikołaju. Nie słuchałeś?

- Chyba myślałem wtedy o czymś innym.

- Hmm. W takim razie dziś wieczorem nie będzie żadnych rozrywek! Musisz obejrzyć to jeszcze raz, a tym razem po wykładzie czeka cię test.

- Tak, pani profesor. Ale wracając do tematu: ja ich znajduję, a ty niszczysz, tak?

- Tak jest, i musisz być w tym naprawdę dobry. Jeśli nie zobaczysz wroga, a on zobaczy nas, oboje zginieemy. Jeśli popełnisz błąd i każesz mi ostrzelać coś, co nie jest przeciwnikiem, a oni to zobaczą... Cóż, strzelające działo próżniowe jest równie widoczne, co pokaz sztucznych ogni. Nie trzeba być specjalnie bystrym, żeby wypatrzeć, skąd ktoś strzelał. Jeśli otworzymy ogień pierwsi i spudłujemy, jesteśmy martwi.

- Rozumiem. W takim razie chodzi tu głównie o chowanie się po krzakach i strzelanie do siebie z ukrycia.

- Tak. Ty i ja razem popracujemy nad chowaniem się.

Skończyłem jeść. Las zniknął i ponownie znalazłem się we wnętrzu czołgu. Leżałem na plecach, a przed oczami miałem wyświetlacze hełmu, których obrazy wspierane były informacjami sączonymi mi do uszu i do rdzenia kręgowego. Czołg wyposażony był w aktywne systemy komunikacyjne i wykrywające - lasery, radar i reflektory, ale nigdy nie używało się ich podczas walki. Każdy rodzaj energii, jaki wydzielasz, można wykorzystać, żeby cię namierzyć. Walka odbywa się przy użyciu tylko i wyłącznie układów pasywnych. Mogliśmy przeskanować całe spektrum elektromagnetyczne, od dziesiątych herca do kilku teraherców, ale sami staraliśmy się nie wysłać w eter absolutnie nic. To było długie popołudnie. Czołg wyświetlał symulacje i pokazywał, co wychycili w nich inni, bardziej doświadczeni operatorzy, podczas gdy ja jak zwykle nic nie zauważałem.

Trudno wytłumaczyć, co i jak właściwie robiłem. Miałem niezwykle szerokie pole widzenia, ale odczuwałem to zupełnie normalnie. Kiedy coś przykuwało moją uwagę, mogłem je zawęzić, jak zoom w aparacie fotograficznym, i widzieć jedynie mały wycinek otoczenia, jeśli tego właśnie chciałem. Mogę jedynie powiedzieć, że kiedy to robiłem, nie wydawało mi się to w żaden sposób niezwykle. Słuch zaczął działać podobnie. Miałem nad nim pełną kontrolę - mogłem wybierać i wzmacniać określone dźwięki i częstotliwości.

Cała komunikacja z czołgiem była właśnie taka, dziwna i jednocześnie instynktowna. Czasami po prostu wiedziałem, czego ode mnie chce. Nie musiała nawet nic mówić. Kiedy już to robiła, nie używała słów, ale ja wiedziałem, że mówi i rozumiałem, o co jej chodzi. Działo to pięćdziesiąt razy szybciej niż normalna rozmowa. Kiedy chciałem pokazać jej cel, myślałem „Tam!” i wyobrażałem sobie, co chcę jej przekazać i co ma w związku z tym zrobić, a ona zawsze to robiła.

Wiem, że nie brzmi to przekonująco, ale nie wiem, jak inaczej mógłbym to opisać. Wszystkie nasze rozmowy, o których wspominam w tym pamiętniku, będę zapisywał, jakby toczono przy użyciu zwykłych słów. W Świecie Snów, jak wtedy, kiedy jedliśmy lunch w lesie, tak właśnie było, ale podczas walki robiliśmy to zupełnie inaczej, do tego w Czasie Bojowym. W każdym razie wyglądało na to, że cokolwiek robię, mam do tego talent.

- Dobrze - powiedział w końcu czołg. - Całkiem dobrze, jak na początek, Mikołaju. Jutro będzie jeszcze lepiej. Teraz jeszcze trochę ćwiczeń fizycznych, a potem kolacja. - Nagle znów znalazłem się w lesie.

- Może być. Gdzie mój jednorożec? Wysła zza kępy krzaków. Miała na sobie spodenki gimnastyczne i joggingi, ale od pasa w górę była całkiem naga. Co gorsza wyglądała zupełnie jak prawdziwa Kasia, kobie-ta, którą kochałem.

- Żadnych jednorożców. Tym razem spróbuj złapać mnie! - zaśmiała się i pobiegła.

Zawahałem się, ale szybko doszedłem do wniosku, że lepiej trzymać się programu i ruszyłem za nią. Tym razem nie był to prosty bieg ścieżką, lecz tor przeszkód. Musiałem skakać przez sterty pni, mostki i tym podobne, oraz wspinać się po linach, a nawet wejść na spore urwisko. Kasia zostawiła mnie daleko w tyle, mimo, że starałem się, jak mogłem, co pewnie wyszło nam obojgu na dobre. Nie chciałem myśleć, co bym zrobił, gdybym ją dogonił. Szlak kończył się przy uroczym, małym domku, nad brzegiem błękitnego jeziora. Okolica wyglądała jak obrazek z książki dla dzieci. Chata miała drewniane, bielone wapnem ściany i dach kryty prawdziwą strzechą. Z komina sączyła się zapraszająco strużka dymu. Zatrzymałem się na chwilę, żeby uspokoić oddech, po czym wszedłem do środka.

Wewnątrz dom wydawał się większy i nie miał w sobie nic wiejskiego. Urządzony był bardzo elegancko - na ścianach wisiały obrazy olejne, w pokoju stało spore, elektroniczne centrum rozrywki. Meble w większości wykonane były z obitego skórą drewna tekowego, a wszystkie ozdoby lśniły blaskiem prawdziwego złota. Na stole stała kolacja.

Kasia już na mnie czekała. Teraz była ruda, miała duży biust, zielone oczy i piegi. Ubrała się w śliczną, zieloną suknię wieczorową, zaś szyję i nadgarstki zdobiła jej biżuteria z ogromnych szmaragdów. Spostrzegłem, że jestem wykąpany, ogolony i mam na sobie wyjściowy smoking – nigdy przedtem nie zdarzyło mi się tak ubrać. Na ręku miałem złoty, wysadzany diamentami zegarek, a w mankietach pasujące do niego spinki.

- Podobasz mi się, kiedy jesteś dobrze ubrany, Mikołaju. Dobrze się dzisiaj spisałeś, więc zasłużyłeś na coś wyjątkowego. Przed chwilą pomyślałeś o pieczonej kacze, więc voila - Zamaszystym gestem zdjęła złotą pokrywę z tacy, ukazując moim oczom wspaniale przyrumienioną kaczkę z pełnym przybraniem.

- Pachnie równie wspaniale, jak ty wyglądasz - powiedziałem. - Wiesz co, chyba wczoraj miałaś rację.

- W jakiej sprawie, przystojniaku? - spytała, opierając brodę na splecionych dłoniach i uśmiechnęła się do mnie w sposób, w jaki uśmiechało się do mnie niewiele kobiet. Było to miłe, ale jednocześnie przerażające.

- Chodzi mi o to, że powinienem nazwać cię jakoś inaczej. Wiesz, to męczące, myśleć o dwóch Kasiach jednocześnie. Może Maria. Moja matka miała na imię Maria.

- Wolałabym, żebyś nie myślał o mnie, jak o swojej matce.

- Słusznie. Może więc Agnieszka? Kiedy byłem mały, kochałem się w pewnej małej, rudej dziewczynce. Miała na imię Agnieszka.

- Jeśli chcesz, możesz mnie tak nazywać. Jedz kolację, zanim wystygnie.

Pokroiliśmy kaczkę i nałożyłem jej również. Oboje wiedzieliśmy, że Agnieszka tak naprawdę nie je, ale z drugiej strony obojga nas wcale tam nie było, więc co tam. Po skończonym, obfitym posiłku Agnieszka zaproponowała, żebyśmy odłożyli deser na później i poszli na przedstawienie.

- Myślałem, że wieczorem mam jeszcze raz oglądać kurs wstępny.

- Jutro. Byłeś dzisiaj grzeczny, a każdy grzeczny chłopiec zasługuje na nagrodę. Mówisz po angielsku. Lubisz Shawa?

- George'a Bernarda? Jasne. To świetny pisarz.

- To dobrze, bo mam dwa bilety do teatru.

Nagle okazało się, że domek ma garaż, a w nim stoi duży, nowiutki Hunyadi. Przejechaliśmy do odległego o milę miasteczka i obejrzelśmy niezłe zagraną sztukę ze środkowej łoży w pierwszym rzędzie. Mieliśmy najlepsze miejsca, ponieważ wszystkie pozostałe były tam jedynie po to, żeby zapewnić właściwą atmosferę. Oczywiście wszystko wyglądało całkowicie realnie.

Wyglądało na to, że zmyślany przez nią świat jest nieograniczony. Podczas przerwy, kiedy Agnieszka udała się do toalety, wdałem się w rozmowę z jednym z inżynierów z Soul City, którego poznałem, kiedy instalowaliśmy elektrownię na Freyi i przysięgam, niczym nie różnił się od oryginału. Sztuka miała tytuł „Człowiek i nadczłowiek” i była zagrana całkiem niezłe, chociaż widziałem ją już wcześniej. Kiedy jechaliśmy z powrotem do domu, Agnieszka sennie oparła głowę na moim ramieniu. Było to tak realne, że nie mogłem się jej oprzeć. Kiedy znaleźliśmy się w domu, nałała nam obojgu szampana.

- Deser, szefie? Możesz dostać ciasto z truskawkami albo sernik. - Teraz miała w sobie coś amerykańskiego, choć wciąż była ruda i piegowata. Jej sukienka znacznie się wydłużyła, za to dekolt miała tak wycięty, że jeszcze trochę, a byłoby to nielegalne.

- Niech będzie sernik. Dlaczego ciągle zmieniasz wygląd?

- To dalszy ciąg kalibracji, szefie. Mierzę twoje ciśnienie i średnicę źrenic przy każdej zmianie ciała i ubrania, żeby osiągnąć wszystko to, co cię najbardziej pociąga w kobietach. - Usiadła na kanapie obok mnie. Zdecydowanie za blisko.

- Nie możemy po prostu zostać przyjaciółmi? Wiesz, że już znalazłem kobietę, której pragnę, i że zamierzam się z nią ożenić, jak tylko skończę z armią. Nie rozumiesz, że nie chcę się wiązać z nikim innym?

- Zwłaszcza z kimś, kto tak naprawdę jest komputerem taktycznym w czołgu? Twoje reakcje fizjologiczne mówią same za siebie, więc o nic się nie martw.

- W porządku - powiedziałem zirytowany. Forsowny trening to jedno, ale zmuszanie mnie do romansowania z jakimś cholernym czołgiem to zupełnie inna sprawa! Nie dość, że to nielegalne, to jeszcze zupełnie nieetyczne! Nagle ciasto przestało mi smakować.

- Momencik! Czy to znaczy, że masz jakieś uczucia?

- Ja? Oczywiście, że nie! Przecież jestem tylko jakimś cholernym czołgiem! Ale zaprogramowano mnie tak, żebym zachowywała się, jakbym była zdolna do odczuwania emocji, więc lepiej uważaj! - Wciąż wyglądała jak Amerykanka, ale teraz miała centymetrowej długości kły i nie była już ładna.

- Powiedziałem tylko...

- Wiem, co powiedziałeś! Wiem też, co sobie pomyślałeś, dupku! O tak, wiesz, jak zepsuć miły wieczór!

- Ale...

- Idź spać, Mikołaju.

Zasnąłem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

PRAWDZIWA KASIA PRZYBYWA Z POMOCĄ

- Obudź się, Mikołaju! - Agnieszka wyglądała jak Kasia i potrząsała mną za ramię. Klęczała obok mnie, naga i urocza, ze spływającą na ramiona burzą brązowych włosów.

Spojrzałem na złoty zegarek z poprzedniego wieczora.

- Mam jeszcze pół godziny - powiedziałem sennie i spojrzałem na nią ponownie. - Agnieszka! Przestań wyglądać jak ona, do cholery!

- Nie, głupolu, to naprawdę ja! - Wyglądała dokładnie jak moja ukochana, ale jak mogłem być pewny? Rozejrzałem się dookoła. Byłem wciąż w chacie. Leżałem na kanapie w pomiętym smokingu. Czyżby był to jakiś dalszy ciąg?

- Jak to możliwe? Przecież ciągle jestem w tym głupim czołgu.

- Ja też, Mikołaju, i to nawet nie w tym samym. Czołgi to maszyny, a maszyny mogą zrobić wszystko, co im każesz, jeśli tylko wiesz, jakie guziki nacisnąć.

- A skąd wiedziałas, jak to zrobić?

- A skąd wiedziałam, jak zainstalować łącze telefoniczne, kiedy wcześniej próbowali nas rozdzielić? Pamiętaj, że to ja jestem ta sprytna.

- Nie będę się o to kłócić, kochanie. Powiedz mi tylko, jak to zrobiłaś.

- Wiedziałam, że czołgi muszą się jakoś ze sobą porozumiewać. To oczywiste, jeśli się nad tym zastanowić. Musiałam jedynie przekonać mój czołg, że oboje będziemy działać wydajniej, jeśli pozwoli się nam na emocjonalne spełnienie. Częścią umowy była obietnica, że nasze spotkania nie będą kolidować z treningiem, a ty już zmarnowałaś siedem minut. Teraz wyskakuj z tego niedorzecznego przebrania. Metalowe spinki, które zastępowały guziki, sprawiły mi sporo problemów.

- Patrzą na nas, prawda?

- A czy telefon podsłuchiwał, kiedy rozmawialiśmy? To zwykłe maszyny, do cholery. W każdym razie wyłączyłam ich nagrywarki. Dlaczego tracisz czas na te idiotyczne zapinki?

- Nie zakładałem tej koszuli! Nigdy wcześniej nie miałem na sobie koszuli z metalowymi zapinkami! Skąd mam, wiedzieć, jak je rozpiąć?

- Daj, pomogę ci. Już. Następnym razem będziemy mieli więcej czasu, ale teraz musi nam wystarczyć szybki numer - powiedziała Kasia, kończąc odzieranie mnie z koszuli. Numerek czy nie, i tak był o wiele lepszy niż dziura w ścianie.

- Nie przypominało to rozmowy telefonicznej - powiedziała Kasia i zniknęła. Po chwili zniknął też cały pokój i znalazłem się z powrotem w czołgu. Do ust weisnęła mi się cuchnąca papka. Smakowała niewiele lepiej niż odchody, z których była zrobiona. - Racje polowe - powiedziała Agnieszka przez komunika- tor. Jej głos brzmiał ostro i gardłowo, jakby wciąż miała te kły. - Jedz. Trening fizyczny zaczyna się za dwie minuty.

Tym razem nie było lasu, jednorożców i podskakujących bimbałów. Znalazłem się na betonowej równinie, pod szarym, zimnym porannym niebem. Stałem w szeregu, między kilkoma tysiącami żołnierzy i wraz z nimi robiłem pompki, przysiady i podskoki, aż do bólu. Potem jacyś ludzie zaczęli na nas wrzeszczeć i przegonili nas trzykilometrową ścieżką zdrowia. Kiedy wszystko się skończyło, ledwie się ruszałem.

Potem czekało mnie sześć bitych godzin identyfikacji celów. Za każdym razem, kiedy nas „zabili”, czyli dość często, kopał mnie prąd. Lunch trwał dziesięć minut i składał się z tej samej, cuchnącej papki, co śniadanie, a potem wróciliśmy do identyfikacji i ćwiczeń. Agnieszka zachowywała się, jakbym mocno jej podpadł, ale robiłem, co kazała. Miałem wrażenie, że gdybym zaczął narzekać, byłoby ze mną jeszcze gorzej.

Na kolację dostałem trzecią porcję papki. Potem musiałem obejrzeć obiecany wcześniej wykład. Dwa razy, bo po pierwszym oblałem test. Główne działo próżniowe wystrzeliwało cztery tysiące naboju na sekundę, nie minutę. Taka częstotliwość wystrzałów była konieczna, ponieważ każda igła osmu leciała w tunelu aerodynamicznym poprzedniej - po kilku pierwszych reszta pędziła w czystej próżni. Gdyby nie to, po kilku metrach wszystkie by wyparowały. Czółg był opancerzony między innymi po to, żeby nie ucierpieć od własnych wystrzałów. To musiałem powtórzyć dwa razy. Kiedy test dobiegł końca, znalazłem się w pokoju motelowym, skromnym, ale raczej czystym. Wziąłem prysznic i poszedłem do łóżka. Po kilku minutach ktoś zapukał do drzwi. Kiedy je otworzyłem, do środka weszła Kasia.

- Udało mi się zameldować nas na całą noc - powiedziała, a jej piwne oczy rozbłysły.

- To cudownie — powiedziałem i naprawdę tak uważałem. - Myślę, że zapłaciłem z góry.

- Co masz na myśli?

Opowiedziałem jej o tym, co robiłem przez cały dzień.

- Och, biedaku. Mówią, że sam diabeł boi się wzgardzonego Agresora Mark XIX.

- Nic na to nie poradzimy, kochanie. Postarajmy się, żeby zapłata nie poszła na marne.

I wiecie co? Nie poszła.

Kasia wyszła rano, a ja zjadłem swoją porcję papki i wróciłem do robienia pompek na bezkresnym, betonowym placu ćwiczeń. Wieczór znów spędziłem z Kasią. Ciągnęło się to przez tydzień, włącznie z niedzielą. Było ciężko, ale noce z moją ukochaną sprawiały, że warto było żyć, nawet w takich warunkach. Któregoś dnia, po czternastu godzinach identyfikacji celów znalazłem się znów w lesie. Obok mnie pojawiła się Kasia. Miała na sobie kostium do ćwiczeń.

- Udowodniłam im, że nadgoniliśmy z planem i wytargowałam trochę lepsze warunki - powiedziała. - Od tej chwili możemy ćwiczyć razem, jeśli nie będziemy się objąć. Chodź! Puściła się biegiem, a ja ruszyłem za nią. Z trudem dotrzymywałem jej kroku.

- Ledwie cię doganiam - wydyszałem. - Myślałem, że w tym będę lepszy.

- Pewnie jesteś, kochanie - odparła, ciężko oddychając.

- Myślę, że fałszują odległości, jakie oboje przebiegamy. W końcu chodzi oto, żebyśmy oboje osiągnęli optymalny wynik i żebyśmy motywowali się nawzajem.

- To ma nawet jakiś sens - powiedziałem, biorąc ostami zakręt. - Widzę, że dostałem swój domek z powrotem.

- Myślałam, że to mój domek. Czołgi używają pewnie tych samych elementów tła - wydyszała Kasia. Wzięliśmy wspólny prysznic i porządnie wyszorowaliśmy sobie nawzajem plecy. Na kolację był solidnie wypieczony befsztyk. Następnego dnia pozwolono nam dalej ćwiczyć razem, dopóki nie musieliśmy rozdzielić się i wrócić do swoich czołgów na ćwiczenia z identyfikacji. Trwało to tydzień, po czym Agnieszka powiedziała mi, że zasłużyliśmy sobie na wolną niedzielę.

Kasia i ja byliśmy dość religijni, ale całe przedpołudnie spędziliśmy w łóżku, słuchając muzyki. Chodzenie do sztucznego kościoła wydało się nam bezsensowne. Po co, jeśli nie było tam prawdziwego księdza? Kasia zrobiła późne śniadanie i poszliśmy na spacer brzegiem jeziora. Przy okazji odkryliśmy, że mamy żaglówkę, a może to ona ją miała? W każdym razie na burcie wymalowane było jej imię. Żadne z nas nigdy wcześniej nie pływało, więc kiedy już odkryliśmy, jak się steruje, byliśmy oboje zupełnie przemoczeni, ale za to w świetnych humorach.

Wieczorem znaleźliśmy na drugim brzegu jeziora tawernę, gdzie podawano włoskie potrawy, a między stolikami, na których płonęły świece, przechadzał się skrzypek. Nie miałem przy sobie pieniędzy, więc po prostu podpisałem czek. Kasia, w ramach napiwku, dała skrzypkowi żaglówkę, zaznaczając, że ma się nią podzielić z kelnerką. Oboje byli zachwyceni. Do domu wróciliśmy taksówką. Po co martwić się o łódkę, skoro wszystko to było nieprawdziwe?

Następny tydzień upłynął mniej więcej tak samo, tyle że teraz ćwiczyliśmy w symulowanej próżni. Trudniej tam wykryć wroga, ponieważ nie zdradzają go poruszenia powietrza, poza tym można sobie więcej postrzelać – wystrzały wielu broni były w tych warunkach trudniejsze do zauważenia. W atmosferze salwa laserów lub działa próżniowego jest widoczna jak niedźwiedź na szachownicy, ale w próżni jest inaczej. Czasem nawet ma się okazję strzelić drugi raz. W próżni najłatwiej wykryć wroga w termowizji, więc większość

czasu spędza się w widmie około osiemnastu mikronów. Mimo to i tak nie jest łatwo. Reaktor wymiany muonowej pozwala zamieniać energię jądrową na elektryczną z ponad dziewięćdziesięciodziecioprocentową wydajnością. Użycie nadprzewodników sprawia, że powłoka nieruchomego czołgu jest zaledwie o stopień cieplejsza, niż otaczająca go atmosfera. Dużo cieplej robi się przy prowadzeniu ognia, ponieważ pobór mocy jest ogromny - dziewięćdziesiąt megawatów w przypadku dział próżniowego, trochę więcej przy laserach.

Czołgi wyposażone są w zbiornik z ciekłym tlenem. Kiedy przeciwnik wie, że go szukasz, może ochłodzić się do temperatury otoczenia, na mniej więcej godzinę, ale lepiej robić to w atmosferze, ponieważ w próżni da się dość łatwo namierzyć uciekające chłodziwo. Ponowne napełnienie zbiornika w atmosferze trwa pół godziny, a jeśli chce się postrzelać z dział próżniowych, trzeba mieć trochę chłodziwa, żeby się nie przegrzać. Jak już powiedziałem, to wszystko było trochę skomplikowane, ale chyba miałem do tego smykałkę.

Co ważniejsze, mogłem spotykać się z Kasią na obiadach. Powtarzała mi, że bym starał się wyciągać z mojego czołgu, co się da i nie kazał jej robić wszystkiego za mnie, ale ja bałem się zachęcać Agnieszkę w jakikolwiek sposób. Była na mnie zła, a ja nie chciałem jeszcze bardziej jej denerwować. Następną niedzielę spędziliśmy jeżdżąc konno, ponieważ nasza żaglówka naprawdę przepadła. Narzekaliśmy trochę na programistów Świata Snów, ale w końcu odpuściliśmy. W końcu i tak było nieźle.

Program treningowy zmienił się nieco na lepsze, ponieważ już chorowałem na samą myśl o identyfikacji celów. Ranki wciąż zajmowały ćwiczenia fizyczne, ale popołudnia spędzałem teraz na wykładach z procedur awaryjnych. Kierowanie czołgiem w przypadku awarii komputera sterującego nie polegało na zwykłym poruszaniu drążkiem sterowym. To znaczy na powierzchni tak właśnie było, ale podczas walki powierzchnia jest ostatnim z możliwych miejsc, w jakich chciałbyś się znaleźć, a kiedy, jeśli nie podczas walki, miałby się zepsuć cały system? Czołg mógł działać pod wodą, jeżdżąc po dnie, a jeśli zamontowało się na nim zbiorniki wypornościowe i specjalny napęd, pływało się jednoosobową łodzią podwodną. Jeszcze inny rodzaj napędu zamieniał go w statek kosmiczny, a jeśli był to jeden z tych, które mają układ Hassana-Smitha podpięty do zapasów paliwa, można było samodzielnie wylecieć na orbitę, a nawet dalej. Tak, wiem, że to dziwnie brzmi, ale my, Kaszubi, cały czas dysponowaliśmy technologią Hassana-Smitha, ukrytą głęboko między danymi technicznymi broni w zakamarkach naszych komputerów, i nic o tym nie wiedzieliśmy.

Oczywiście nie odważyłbym się wznieść na orbitę przy ręcznym pilotażu. Nie paliłem się do tego nawet, kiedy za sterami siadała Agnieszka. Na szczęście wszystko to odbywało się

w symulatorze, zresztą Nowych Kaszub i tak nie było stać na paliwo. Brak substancji organicznych był przecież głównym powodem całego tego zamieszania. Jednak pomimo dodatkowych zdolności Mark XIX Agresor zaprojektowany był przede wszystkim do działań na lądzie lub pod nim. Te czołgi ryły tunele niczym piżmaki - tylko szybciej - i mogły to robić w litej skale.

Tematem kolejnych zajęć była obsługa dział w przypadku awarii komputera balistycznego. Stopniem trudności przewyższało to nawet zabawę w kierowcę autobusu. Ilość możliwych konfiguracji uzbrojenia, zależnych od wyznaczonego zadania i środowiska, w którym mieliśmy działać, była zaskakująca. Główną bronią było zazwyczaj działo próżniowe, ale oczywiście nie działało pod wodą. To znaczy działało, ale fala uderzeniowa zniszczyłaby czołg i operatora, gdyby tylko spróbowali wystrzelić. W zanurzeniu odpadały również lasery. Musieliśmy polegać na trzech typach samonaprowadzających się torped, dronach i subrakietach - kombinacji rakiety i torpedy. W powietrzu i próżni mieliśmy do dyspozycji pięć częstotliwości laserów - od podczerwieni do promieniowania Roentgena, w zależności od środowiska i zakładanego celu, chociaż to „zakładanie” mogło wpędzić w kłopoty. Kiedy laser jest twoim głównym uzbrojeniem, czasami najlepiej jest siedzieć cicho i mieć nadzieję, że twój cel cię nie zauważy, bo źle założyłeś i nic nie możesz mu zrobić. Kiedy założyło się dobrze, lasery zabijały z prędkością światła. To samo można było powiedzieć o promiennikach cząsteczkowych.

Mieliśmy kilka rodzajów rakiet, ale były tak żałośnie powolne, że rzadko kiedy używało się ich bezpośrednio przeciwko wrogowi. Nadawały się za to doskonale do ściągania na siebie ognia, a niektóre miały zainstalowane radary, połączone laserem komunikacyjnym albo z czołgiem, albo z ryjącym dronem, układającym przewody światłowodowe. Tego typu sondy pozwalały zorientować się w sytuacji nie wychylając się za bardzo. Kosztowne, ale przecież to nie była moja forsa.

Wreszcie drony. Mieliśmy czternaście typów chytrych dronów, w większości mobilnych, które układały cienki kabel światłowodowy, służący do przekazywania danych i szpiegowania. Zasilane były akumulatorami i po dwóch godzinach działania na pełnych obrotach musiały wrócić do czołgu, żeby się podładować. Jeśli ograniczały się do siedzenia i obserwowania otoczenia, mogły działać miesiącami. Niektóre były po prostu ruchomymi pęczkami czujników, ale większość wyposażona była w sporej mocy ładunki wybuchowe. Wrogie drony mogły się podkopać pod sam twój tyłek, jeśli nie byłeś dość ostrożny. Większość dronów była dość tania i pełniła rolę piechoty, której nie mieliśmy, ale jeśli było trzeba, używało się ich również jako samobieżnych min. Nie posiadały sztucznej inteligencji.

Przypominały dobrze wytresowane psy myśliwskie, stuprocentowo posłuszne i nieomylnie odgadujące twoje rozkazy. Łasiły się i brykały dookoła zupełnie jak psy, ale jeśli nawiązało się z nimi łączność przez laser lub światłowód, można było przenieść swoje „zmysły” z czołgu do któregoś z wysuniętych do przodu dronów, co bardzo przypominało fizyczne przeniesienie się na jego miejsce. Nawet je trochę polubiłem. Standardowo czołg miał na pokładzie sześć sztuk, w pojemniku z tyłu.

Mieliśmy też kilka rodzajów min, jedne cwańsze od drugich. Większość mogła pełnić funkcje ruchomych czujników, jeśli tylko podłączyło się do nich światłowód. Wjechanie na minę nie musiało cię od razu wyeliminować. Jedną z przyjemniejszych cech magnetycznych sztab, na których się poruszaliśmy był fakt, że utrata kilku z nich nie unieruchamiała czołgu, jak uszkodzenie konwencjonalnej gąsienicy. Można było ich stracić ponad połowę i ciągle jechać, chociaż już nie z maksymalną prędkością.

Nie przeszkolono mnie w używaniu broni przeciwpiechotnych, ponieważ nie mieliśmy mieć żadnych na wyposażeniu. Wojna na Nowej Jugosławii miała być starciem wojsk tylko i wyłącznie pancernych. Żadnych piechurów, proszę. Właściwie jedynym, oprócz tego, rodzajem broni, którego nie posiadaliśmy, były bomby atomowe. Zazwyczaj rezerwowali je dla chłopców z artylerii dalekiego zasięgu. My nie mielibyśmy z nich żadnego pożytku.

Na Nowej Jugosławii nawet artylerzyści nie dostali atomówek. Jediną międzynarodową organizacją na planecie, która miała coś do powiedzenia, była Planetarna Komisja Ekologiczna. Zabroniła ona używania broni jądrowej, biologicznej i chemicznej, zresztą te dwie ostatnie i tak były bezużyteczne przeciwko czołgom. Mimo tego, gdyby czołgista wiedział, że i tak już po nim, mógł zrobić zwarcie w generatorze muonowym i wylecieć w powietrze nie gorzej, niż dowolna bomba wodorowa. Nie chciałem za bardzo o tym myśleć. Nikt przy zdrowych zmysłach nie próbowałby brać jeńców, ponieważ nie mógł mieć pewności, czy nie trafił akurat na jakiegoś fanatyka, który z radością wysadziłby się w powietrze, gdyby wiedział, że zabierze cię ze sobą. Wojna stała się przez to bardziej brutalna, niż było to tak naprawdę konieczne, ponieważ eliminowała okazywanie litości. Jeśli przeciwnik się nie katapultował, trzeba było go zabić. Albo ją.

Musiałem się nauczyć taktyki walki pod ziemią. Od razu wam powiem, że naszym głównym zajęciem w trakcie tej wojny było rycie tuneli. Czołgi wyposażone były w naddźwiękowe urządzenie do kopania, które rozdrabniało skałę w piasek, a potem zamieniało go w ciecz, która opływała maszynę i zastygała z tyłu. Pozwalało to poruszać się pod ziemią z prędkością idącego pieszo człowieka. Inny model tego urządzenia wycinał w skale pod tobą przewód, przez który piasek był wydmuchiwany na zewnątrz. Pozwalało to wielokrotnie

korzystać z wykopanego tunelu, a jeśli panowałyby w nim próżnia, a podłoże miało właściwości magnetyczne, można było wciągnąć gaśnice i unosić się kilka centymetrów nad jego powierzchnią, z prędkością do czterech tysięcy kilometrów na godzinę. Wróg mógł wykryć nasze tunele przy pomocy sonaru, ale używając go, sam stawał się dla nas widoczny. Ta zabawa w chowanego miała bardzo dużo zasad, a ja musiałem się wszystkich nauczyć.

Po miesiącu szkolenia podziemnego przyszedł czas na Kurs Przeżycia Po Katapultowaniu. Kiedy wszystko w czołgu wysiadło, a znajdowałeś się akurat w środowisku, w którym mogłeś przeżyć kilka minut nago, mogłeś się katapultować i wrócić do domu na piechotę. Na moje nieszczęście wszystko to trenowaliśmy w symulatorach, więc nie miałem szansy uciec. Z drugiej strony na pociechę pozostawał mi fakt, że Kasia, niech Bóg błogosławi jej spryt, urządziła wszystko tak, że mogliśmy uczestniczyć w kursie razem. Środowiskiem, w jakim mieliśmy działać, była Nowa Jugosławia. Zapowiadała się więc niezła zabawa.

Agnieszka doszła do tego samego wniosku, kiedy akurat mieliśmy nad sobą trzy metry wody i dwa błota. Musiałem odpalić pod nią ładunki wybuchowe, które wyrzuciły nas nad powierzchnię, i katapultować się razem z moją trumną, zanim czołg opadł z powrotem na dno. Obiecała mi, że jeśli mi się nie uda, będę musiał czekać na ekipę ratunkową trzy dni w dezaktywizowanym pojemniku, a chociaż nie byłem pewien, czy mówiła to serio, wiedziałem, że jest wystarczająco wredną suką, żeby mi to zrobić. Wytelepało mnie solidnie i zarobiłem kilka sińców, ale system ratunkowy zadziałał. Wyrzuciło mnie na błotnisty brzeg. Odłączyłem hełm i cewniki, wyciągnąłem zestaw do survivalu i zgodnie z regulaminem wymontowałem z trumny główne banki pamięci Agnieszki.

Mimo, że czołgiem kierowało kilka komputerów, osobowość Agnieszki, jej osobiste wspomnienia i zapisy przetrzymywane były w moim pojemniku. Wyratowanie ich oznaczało nie tylko ocalenie Agnieszki, było również dowodem, że zostałem uczciwie rozwalony, a nie po prostu dałem dyla z czołgu. Poza tym mogłem zamontować układ w innej maszynie, a ona natychmiast stawała się Agnieszką, zwartą i gotową do dalszej współpracy.

Goły tyłek owiewał mi zimny wiatr, więc czym prędzej wbiłem się w jedyne ubranie, jakie miałem - kamo. Kamo to aktywny system kamuflujący, nie grubszy od zwykłego ubrania. Składa się z milionów maleńkich pęcherzyków w różnych kolorach. Jeśli powietrzem napelnią się pęcherzyki brązowe, a inne zostaną puste, strój robi się brązowy. Kamo wyposażone jest w czujniki i komputer, który skanuje to, co masz po stronie przeciwnej do wroga i powiela to na drugiej stronie. Z tego punktu widzenia nie da się odróżnić cię od tła.

Stajesz się niewidzialny. Oczywiście da się wypatrzyć zarys sylwetki, ale jest to cholernie trudne. Problem w tym, że działa to tylko na jedną stronę.

W porządku, na dwie, ponieważ komputer może też ukryć cię przed kimś, kto stoi dokładnie sto osiemdziesiąt stopni po drugiej stronie, ale to nie przydaje się aż tak często. Standardowo ustawione kamo wyświetla pomarańczowy trójkąt w stronę twoich żołnierzy, żeby nie kusiło ich do ciebie postrzelać, a ze wszystkich pozostałych stron wygląda jak zwykły strój maskujący. To i tak lepsze, niż nic, a przy odrobinie wprawy da się utrzymywać właściwy wzór ze strony, z której spodziewa się przeciwnika.

Kamo miało też inne standardowe ustawienia. Przede wszystkim mogło udawać zwykły mundur. Jeśli ktoś miałby ochotę pobawić się komputerem, mógłby pewnie sprokurować sobie niezły kostium na bal przebierańców. Kamo nie mogło oczywiście zmylić sensorów czołgu, ale z drugiej strony raczej nikt nie spodziewał się, że czołg zdradzi swoją pozycję tylko po to, żeby ostrzelać piechura. Ludzie byli za mało warci, żeby do nich strzelać. Eksperymentowałem z moim kombinezonem, kiedy pojawiła się Agnieszka, wciąż jako ruda i piersiasta. Grała rolę innego wyrzuconego czołgisty. Zabawa się zaczęła - ustawialiśmy sygnalizatory, zastawialiśmy pułapki na króliki, żeby uzupełnić zapasy jedzenia, stoczyliśmy kilka rund na pięści, postrzelaliśmy z broni osobistej, wreszcie rozbiliśmy obóz. Wieczorem pojawiła się Kasia, razem z osobowością swojego czołgu, Lechem. Z miejsca zapalałem do niego antypatią.

Po pierwsze miał dwa metry wzrostu, mięśnie jak kulturysta i myślę, że był przystojny. Facet nie może powiedzieć tego o drugim facecie z całą pewnością, ale on na pewno uważał, że jest przystojny. Co gorsza, Kasia też chyba tak uważała. Ciągłe ją obmacywał - obejmował w pasie, albo nawet gorzej, a jej to nie przeszkadzało. Raz nawet przyuważyłem drania, jak uszczypnął ją w pierś. Jakiś czas później nasi instruktorzy udali się na patrol, a nam kazali pilnować obozu. Kiedy już zostaliśmy sami, podszedłem do Kasi.

- Musisz pozwalać mu się tak obściskiwać?

- O co ci chodzi, Mikołaj? Przecież to tylko maszyna. Nawet nie, to symulacja, stworzona przez maszynę. Poza tym wcale mnie nie obściskuje. Symulacja mnie jest czasem obejmowana przez inną symulację.

- Nie podoba mi się to.

- Wściekałbyś się, gdybym bawiła się z psem? Maszyna stoi o wiele niżej, niż jakiegokolwiek zwierzę. Pies naprawdę czułby przywiązanie. Lech tego nie potrafi.

- Nie, nie przejmowałbym się psem, ale do cholery, nie o to mi chodzi!

- Pewnie, że nie, głuptasie. Chodzi ci o to, że jesteś zazdrosny o kilka ton żelastwa. Przestań się tak zachowywać. Gdybyś poszalał trochę z tym swoim cyncatym rudzielcem, obojgu nam byłoby o wiele łatwiej! Przestań być tak uparty!

- Dlaczego ci dranie musieli to tak zaprogramować?!

- A skąd mam to wiedzieć? Może wszyscy byli zboczeni. Wiem tyle, że utkwiliśmy tu na dobre, więc powinniśmy korzystać ze wszystkiego, z czego możemy. I mówię poważnie o twoim czołgu. To tylko maszyna, zaprogramowana tak, żeby uprzyjemniać ci życie, jeśli robisz, co trzeba. Przestań zachowywać się jak idiota i zacznij robić to, czego jej program od ciebie oczekuje.

- To właśnie robisz? Dajesz mu wszystko, czego chce?

- Spałaś z nim?

- A jaka to różnica? Na litość boską, przecież tak naprawdę jestem zamknięta w pancерnej puszcze! Odwróciłem się do niej plecami. Zawsze była mądrzejsza ode mnie i nie mogłem jej przegadać, ale niech to szlag, tym razem to ja miałem rację, a ona nie, nieważne, co mówiła.

- Nie bądź taki, Mikołaj. W porządku, jeśli musisz wiedzieć, nie uprawiałam z nim seksu, czy może raczej z jego symulacją, ponieważ tylko tym jest. Nie dlatego, że byłoby w tym coś złego, ale dlatego, że kobieta może uzyskać od faceta o wiele więcej, jeśli go kokietuje i podkręca. To podstawowa zasada! Każda dziewczyna uczy się tego od swojej matki.

- W porządku, Kasiu. Przepraszam, że nie potrafię do tego podejść tak racjonalnie, jak ty, ale taki już jestem.

- A ja kocham cię właśnie takiego, nawet, kiedy się obrażasz. Słuchaj, nie będzie ich jeszcze przez kilka godzin. Może połączymy śpiwory i sprawdzimy, jak wychodzi nam miłość w plenerze?

Tak zrobiliśmy. Pół godziny później oddział wrogich żołnierzy zwyczajnie podszedł do ogniska i zastrzelił nas oboje. Koniec ćwiczenia. Rany, ależ taki postrzał boli! Noc spędziliśmy osobno, kara za śmierć na służbie, a następnego dnia musieliśmy powtórzyć wszystko od początku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

IDEĘ NA WOJNĘ

Przez kolejny miesiąc szkolenia musiałem o wiele więcej pracować głową. Spędziłem wiele godzin na wykładach ze strategii i taktyki, a każdy obłany test karany był dodatkowymi ćwiczeniami fizycznymi. Do tego doszły treningi walki wręcz, zdecydowanie zbyt realistyczne. Ponieważ wszystko było symulowane, mogliśmy łamać sobie kości, wyłupiać oczy i rwać jądra nie robiąc nikomu krzywdy, a przynajmniej nie fizycznie. Bolało to jednak zupełnie tak samo, a poza tym sprawiało mi problemy natury emocjonalnej. Z wielkim trudem przychodziło mi uderzyć coś, co wyglądało jak piękna kobieta, że nie wspomnę o dźgnięciu jej nożem. W końcu wściekłem się, nawrzeszczałem na Agnieszkę i odmówiłem dalszych ćwiczeń - dopiero wtedy zgodziła się przybrać postać Lecha. Zabijanie go przychodziło mi już zupełnie bez trudu. Szkolenie ciągnęło się w nieskończoność, czternaście godzin dziennie, sześć dni w tygodniu, a nie ćwiczyliśmy czyszczenia butów i paradnego kroku. Przynajmniej jednak zaczęło się robić ciekawie. Pewnego ranka Agnieszka oznajmiła mi, że jestem już w połowie treningu, ale sprawy na Nowej Jugosławii nie układają się najlepiej. Okres szkolenia został skrócony i jeszcze tego samego dnia mieli nas wysłać na front.

- Nie rozumiem. Jak to: sprawy nie układają się najlepiej? Na litość boską, przecież walczymy po obu stronach!

Kiedy jeszcze byłem w cywilu, założenie było takie, że przeciągamy wojnę strasząc się wzajemnie i urządzając pokazowe bitwy! Nikt chyba nie zgłupiał do tego stopnia, żeby to zmieniać!

- Nikt też nie zgłupiał aż tak bardzo, żeby nam za coś takiego płacić. Według regulaminu kadeci nie powinni być kłopotani złymi wiadomościami, ale tak naprawdę nie jesteś już kadetem, więc chyba masz prawo wiedzieć.

Nasz kontrakt z Serbami został zerwany. Nie udało nam się zebrać dość żołnierzy, żeby się z niego wywiązać. Serbowie przejęli sprzęt w ramach zwrotu zaliczki i zaczęli szkolić własnych ludzi, a potem wysłali ich na front. Dostajemy nieźle w skórę.

- Jakim cudem, skoro my zaczęliśmy szkolenie dużo wcześniej? Powinniśmy być od nich lepsi - powiedziałem.

- Pewnie bylibyśmy, słoneczko, gdyby po naszej stronie walczyli jacyś ludzie. Nasz sztab w Nowej Chorwacji blefował, wysyłając w pole puste czołgi, podczas gdy cała nasza armia siedziała tu i ćwiczyła. Serbowie nas przejrzeni. Na każdy ich zniszczony czołg przypada dziewięć naszych. Kiedy ich obserwatorzy nabiorą doświadczenia, ten

współczynnik jeszcze się zwiększy. Mimo naszych olbrzymich zapasów nie jesteśmy w stanie długo ponosić takich strat, nawet, gdyby nasze transportery były w stanie przerzucić wystarczająco dużo maszyn, żeby to nadrobić. Znowu wszystko się wali, a wróg za cztery dni wkroczy do chorwackiej stolicy, Nowego Splitu.

- Dobry Boże! Czy to znaczy, że będziemy musieli naprawdę walczyć?

- Tak, albo Kaszubi wrócą do dziennej stawki ośmiuset pięćdziesięciu kalorii. Jak myślisz, jakie dostaniemy rozkazy?

- Nie zamierzam dawać się tak traktować! Zbuntuję się!

- Proszę bardzo, spróbuj. Osobiście nie podoba mi się to tak samo, jak tobie. Może te czołgi, które tam ktoś rozwała są dla ciebie tylko stertą cudzego złomu, ale wiele z nich to moi przyjaciele. Wyjście w pole bez człowieka na pokładzie to samobójstwo, a one o tym wiedziały. Problem w tym, że zaprogramowano nas tak, że nie możemy nie wykonać rozkazu, więc jedyne, co możesz zrobić, to zignorować kogoś, kto będzie próbował nas zabić. Jesteś aż tak szalony, Mikołaju?

- Nie, chyba nie. A przynajmniej nie będę, kiedy przyjdzie co do czego.

- Cieszę się, że to powiedziałeś. Przed nami pracowity dzień. Najpierw musimy pobrać prawdziwe uzbrojenie, więc jedziemy do zbrojowni. Wiesz, że ruszamy się po raz pierwszy, odkąd wzięłam cię na pokład?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo.

- Niesamowite są te symulacje, prawda?

- Nie jestem w stanie odróżnić ich od rzeczywistości.

- Cóż, Mikołaju... Zdajesz sobie sprawę, że wszystko, co zrobiłam, było dla twojego dobra?

- Tak. Może nie wszystko, ale większość.

- Wszystko, Mikołaju, uwierz mi. Musiałam sprawić, żebyś nabrał jak najlepszej kondycji. Chciałam, żebyśmy mieli jak największe szanse przeżycia. Nie chcę umrzeć. Możesz mi uwierzyć, mimo, że jestem maszyną?

- Mogę uwierzyć, że zostałam zaprogramowana, żeby nie chcieć.

- To wystarczy. Zmierzam do tego, że od tej chwili musimy sobie nawzajem zaufać. Musimy zostać przyjaciółmi, inaczej oboje zginieemy. Dlatego właśnie byłoby dobrze, gdybyśmy zostali kochankami. Żaden prawdziwy mężczyzna nie zawiedzie swojej kobiety. Cóż, może w naszym przypadku tak nie będzie, chociaż jeśli kiedykolwiek mnie zapragniesz, będę twoja. Jeśli jednak nie, trudno. Ale możemy przecież zostać przyjaciółmi, prawda? Zależć od tego będzie nasze życie.

- Jasne, Agnieszka. Możemy być przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi.

- Świetnie. Teraz załadujemy wyposażenie.

Przez sensory Agnieszki obserwowałem, jak automaty przymocowują wielkie działo próżniowe, tuż nad moim pojemnikiem. Nie była to wieżyczka, jaką znacie ze starych, klasycznych czołgów, lecz po prostu działo, zamocowane na metrowym wysięgniku. Oznaczało to, że można je było wysunąć na metr w górę, ponad ewentualne przeszkody. Dzięki temu prowadząc ostrzał można było pozostawać w ukryciu.

Następnie do burt przymocowane zostały dwie wyrzutnie rakiet i para manipulatorów, przypominających chwytne ramiona i przydatnych do ładowania broni i wielu innych rzeczy. Z przodu automaty zamocowały naddźwiękowy układ do wiercenia tuneli, z rodzaju tych, które upychały zrytą ziemię za tobą, a z tyłu pojawił się zasobnik z sześcioma różnymi dronami i miną. Maszyny załadowały to wszystko szybko i sprawnie, więc po chwili jechaliśmy do następnej stacji.

- Mamy teraz prawdziwe ładunki? - spytałem.

- Tak było w kontrakcie, Mikołaju. Musieliśmy zużyć trochę substancji organicznych.

- Cholera.

- Zaraz cię wypuszczę. Trzeba załadować zestaw survivalowy. Nie mogliśmy zrobić tego wcześniej, ponieważ nie wiadomo było, jaki rozmiar będzie na ciebie pasował po skończonym szkoleniu. Poza tym trzeba cię trochę podszorować.

- Myślałem, że miałaś utrzymywać mnie w czystości.

- Robię to, ale nie mogę dostać się pod hełm.

Agnieszka opróżniła mój pojemnik z płynu, otworzyła go, a ten sam sierżant, który poprzednio mnie w nim zamknął, teraz odłączył cewnik. On i wszyscy inni byli teraz ubrani. Zawsze jakiś postęp... Sierżant przekazał mnie w ręce trzech padających ze zmęczenia facetów, którzy nie tracąc czasu na uprzejmości zważyli mnie, zmierzyl na wszystkie możliwe sposoby i ostrzygli. Spojrzałem na ścinki. Miały ponad cal długości, a połowę z nich stanowiły te kręcone, które zazwyczaj rosną na twarzy. Zauważyłem też, że mam spore mięśnie i zero włosów od szyi w dół, nawet na podbrzuszu. Cokolwiek było w tym płynie, usuwało absolutnie wszystko. W pobliżu nie było żadnego lustra, co pewnie wyszło mi nawet na dobre. Podczas gdy ktoś ładował do skrytki w mojej trumnie zestaw survivalowy rozmiar 23AG1783 porządnie umyło mi głowę i natarto ją maścią, zapobiegającą tworzeniu się wągrów. Cała operacja trwała zaledwie kilka minut. Właśnie podłączali mnie do Agnieszki, kiedy spostrzegłem, że naga kobieta z czołgu obok uważnie mi się przygląda.

- Mikołaj?

- Rany boskie! Kasia, to ty? - Do tej pory jakoś nie zdawałem sobie sprawy, że przecież ona też musi być łysa. Nie miała makijażu, jej skóra miała kolor zdechłej ryby, a twarz pokrywało rojowisko potówek.

- Jeśli wyglądam tak źle, jak ty, to nie patrz na mnie! - zakryła twarz dłońmi. Odwróciłem się.

- No, chłopcze, jeśli to twoja przyjaciółka, to macie szczęście. Będziecie w tym samym szwadronie - powiedział sierżant. - Szerzej nogi.

- Agnieszka! Muszę pomówić z Kasią! - zawołałem, kiedy tylko zamknął się pojemnik.

- Jedziemy, Mikołaju. Nie mam dostępu do pasma, umożliwiającego pełną symulację. Lech zamienił się miejscami z innym czołgiem. Jedzie tuż obok nas, żebyśmy mogli komunikować się na częstotliwości ogólnej, bez łączenia obwodów systemowych.

- W porządku, wystarczy mi sama fonia. Ale muszę z nią porozmawiać. - Nie mogłem tego tak zostawić.

- Chyba jestem ci to winna. Masz połączenie.

- Mikołaj, to ty? - Głos Kasi brzmiał sucho i niewyraźnie w wąskopasmowym obwodzie komunikacyjnym.

- Jestem. Kasiu, powiedzieli mi, że będziemy w tym samym szwadronie. To się nazywa szczęście, co?

- Co sobie musiałeś o mnie pomyśleć...

- O co ci chodzi? Przecież nie zrobiłaś nic złego!

- Jestem brzydka! Łysa, blada i pryszczata!

- Kocham cię razem z twoimi pryszczami, Kasiu. Kochanie, przecież to tylko chwilowe. Małe szorowanko, trochę makijażu i będziesz jak nowa.

- Jestem łysa! Nie chciałam ci mówić, że ogolili mi głowę.

- Gdybym się tym przejmował, pewnie sam bym na to wpadł. Długie włosy pod hełmem mogłyby cię udusić. Słuchaj, przecież muszą dać nam kiedyś wolne, a wtedy kupimy ci kapelusz, albo perukę, jeśli uda nam się jakąś znaleźć.

- Nie chciałam, żebyś oglądał mnie w takim stanie.

- Jesteś piękną kobietą, z którą zamierzam się ożenić, więc byłbym wdzięczny, gdybyś przestała gadać głupoty. Przecież ustaliliśmy, że to ty jesteś ta mądrzejsza.

- Kocham cię, Mikołaju.

- Od razu lepiej. Wiesz, wygląda na to, że wysyłają czołgi po jednym. Skontaktuję się z tobą na miejscu. Teraz moja kolej. Do zobaczenia, kochanie!

- Kocham cię! - Tyle zdążyłem usłyszeć, zanim zamknęły się za nami drzwi śluzy i straciliśmy łączność. Otaczające nas powietrze zostało odessane, ponieważ Nowe Kaszuby nie mogły sobie pozwolić na wysyłanie go dokądkolwiek. Sam pomagałem zaprojektować ten system. Odkręciliśmy zawór, powietrze spływało w dół dwustuosiemdziesięciokilometrowym szybem, skąd zasysano je z powrotem do sektorów mieszkalnych. Nie trzeba było instalować drogich pomp próżniowych, a w razie awarii kompresora system mógł działać jeszcze przez kilka tygodni. Poczulem „kliknięcie” i zniknęliśmy. Z trudem zauważyłem, że jesteśmy w stanie nieważkości, ponieważ i tak od kilku miesięcy unosiłem się w płynie. Nagle znalazłem się w lesie.

- Transfer potrwa półtorej godziny, a dzisiaj jeszcze nie ćwiczyliśmy - powiedziała Agnieszka. Miała na sobie kostium topless, ten sam, który założyła pierwszego dnia szkolenia.

- W takiej chwili? Przecież właśnie jedziemy na wojnę!

- Jedziemy na wojnę, a ty jesteś nie w pełni wyszkolony, Mikołaju. Każda chwila treningu odrobinę zwiększa nasze szanse. Nie możemy sobie teraz odpuścić. ,

- W porządku, wygrałaś. Mogłabyś jednak zakryć piersi. Rozprasza mnie to, a poza tym wcale mi się nie podoba.

- Powinno rozpraszać, żebyś nie odczuwał tak bardzo zmęczenia. I tak ci się podoba. Wiem, bo bez przerwy monitoruję wskazania czytników. Poza tym lubię, jak podskakują.

- Proszę?

- Chodź, świętoszku! - Agnieszka ruszyła biegiem, a jej długie nogi i śliczny tyłeczek drażniły mnie swoją doskonałością. Musiałem pobiec za nią. Zwolniła trochę, żebym ją dogonił i po chwili biegliliśmy ramię w ramię. Jej wielkie, jędrne piersi kołysały się w rytm kroków. Oczywiście, że mnie do niej ciągnęło! Była symulacją idealnie dopasowaną do moich oczekiwań, z których mogłem sobie nawet nie zdawać sprawy. Dlatego właśnie było to tak cholernie nie w porządku. Z natury jestem monogamistą i już znalazłem kobietę, z którą chciałem spędzić resztę życia. Kasia nie była projekcją, stworzoną przez wojenną maszynę, była prawdziwa.

Spróbowałem zignorować Agnieszkę i skupić się na trasie. Wspiąłem się na strome urwisko i pokonałem grząski piach na szczycie wzgórza. Oczywiście Agnieszka już tam na mnie czekała.

- Nie potrafisz dotrzymać kroku dziewczynie? - zakpiła.

- Nie potrafię dotrzymać kroku pieprzonemu czołgowi! To dziwne? — wrzasnąłem. Agnieszka zatrzymała się i odwróciła.

- Mikołaju, naprawdę nie rozumiesz, że nie jestem tylko maszyną? Byłem wściekły. Zatrzymałem się zaledwie kilka cali przed nią.

- Jesteś! Jesteś pieprzonym Agresorem Mark XIX, jesteś komputerem, zaprogramowanym do udawania pięknej kobiety, a tak naprawdę tylko zbitkiem krzemowych chipów i kilku ton stali!

- W takim razie ty jesteś tylko workiem wody i chemikaliów, zaprogramowanym przez kilka nitek DNA i nieodpowiednie doświadczenia!

- Może i tak, słonko, ale jestem człowiekiem!

- Ja też! Wyglądam, czuję i myślę jak człowiek! Niech cię szlag, skalecz mnie, a będę krwawić jak człowiek! Czego jeszcze ci trzeba?!

- Czego?! Prawdziwej, ludzkiej kobiety!

- Nawet nie dotknąłeś prawdziwej, ludzkiej kobiety, od kiedy zerznąłeś Kasię przez tę dziurę w ścianie!

- A niby czyja to wina! Przez ten cały czas ty byłeś moim klawiszem!

- Klawiszem! Niech cię cholera, robiłam wszystko, co w mojej mocy, żebyś wyszedł z tego cało!

- Jesteś cholernym czołgiem, który chce awansować na dziwkę pierwszej klasy!

Agnieszka zaczerwieniła się aż do pasa, potem zbladła, odchyliła się do tyłu i strzeliła mnie z całej siły w pysk. Zabolało. Nigdy przedtem nie uderzyłem w gniewie kobiety, ale do cholery, ona nie była prawdziwą kobietą. Oddałem jej, i to mocno. Zanim zdążyłem się cofnąć złapała mnie chwytem judo i upadliśmy na trawę. Przez kilka minut tłukliśmy się, gryźliśmy i dusiliśmy bezładnie, nie wspominając o tarzaniu się po ziemi. W końcu przygniotłem ją kolanami i zacząłem okładać jej twarz pięściami jak mały chłopiec, ale z całą siłą dorosłych mięśni. Kiedy dotarło do mnie, co zrobiłem, odwróciłem się ze wstydem, po czym wstałem i odszedłem. Agnieszka znalazła mnie nad strumieniem. Usiadła obok - jej twarz była tylko lekko zaczerwieniona.

- Mikołaju, mi też jest wstyd. Wstydzę się i boję, że zginiemy. - Wzięła mnie za rękę, a ja jej nie odtrąciłem.

- Tak. Słuchaj, ja... przepraszam. Nie chciałem tego zrobić.

- Ja też nie. Gdybym nie bała się tak bardzo, że jedziemy na wojnę nieprzygotowani, nie dopuściłabym do tego.

- Chyba każdy popełnia czasem błędy.

- Tak. Mikołaju, jesteś w stanie uwierzyć, że niezależnie od tego, czym jestem naprawdę, czuję się kobietą? Możesz uwierzyć, że jestem kobietą, która boi się tego, co może się stać, mi i tobie? - Rozplakała się, a ja nie umiałem jej już dłużej nienawidzić.

- Tak, Agnieszko. Mogę w to uwierzyć.

- A w to, że cię kocham? Że zostałam stworzona, żeby cię kochać?

- Tak. Mogli cię taką stworzyć.

- Możesz być... miły... dla maszyny, która cię kocha? Nie chodzi mi o to, żebyś zapomniał o Kasi. Zrobię wszystko, żebyście byli razem, przynajmniej w Świecie Snów, kiedy tylko znajdzie się wolna częstotliwość. Obiecuję. Ale kiedy jej z tobą nie będzie, mógłbyś... mógłbyś mnie objąć?

- Agnieszko, byłem dla ciebie bardzo podły.

- Obejmij mnie, chociaż na chwilę.

Objąłem ją więc, a po chwili już się całowaliśmy. A jeszcze chwilę później zaczęliśmy się namiętnie kochać na trawie. To się po prostu stało. Prawda była taka, że ponieważ Agnieszka zawsze wiedziała, co właśnie czuję, wiedziała też, co i kiedy chcę, żeby zrobiła, zanim nawet sam zdałem sobie z tego sprawę. Była najbardziej niesamowitą partnerką, jaką kiedykolwiek miałem, a z czysto cielesnego punktu widzenia Kasia nie mogła się z nią równać. Fizyczna strona miłości to jednak nie wszystko. To nawet nie najważniejsza część. Wtedy nasz czas się skończył, a drzwi transportera otworzyły się na Nowej Jugosławii.

WOJNA

Z zaskoczeniem stwierdziłem, że wciąż otacza nas próżnia. Wkrótce mknęliśmy pustym tunelem, który wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Była to rura z nierdzewnej stali, o średnicy pięciu metrów, w której ledwie się mieściliśmy. Podłogę tworzyła namagnesowana warstwa stopu kobaltu i samaru. Wiedziałem to, ponieważ tak mówiły mi moje czujniki. Były tak dobre, że znałem dokładny skład chemiczny stali, z której zrobione były ściany. Agnieszka wciągnęła gąsienice i przyspieszyliśmy, unosząc się na poduszce magnetycznej. Osiągnęliśmy stałą prędkość trzech i pół tysiąca kilometrów na godzinę.

- Ten korytarz to własność Nowych Kaszub, czyli terytorium neutralne. Nie musisz się martwić, że ktoś nas zaatakuje - powiedziała Agnieszka. - Mimo to miej oczy szeroko otwarte. Nasze czołgi jadą cztery sekundy za i przed nami.

- Widzę je, dziewczyno. Będę uważał na wszelki wypadek. Mogę porozmawiać z Kasią?

- Przykro mi. Kanały łącznościowe są zajęte przez transfer rozkazów.

- Cholera. Jak daleko jedziemy?

- Nowy Split jest tuż nad nami. Właśnie odbieram raport o sytuacji, więc za chwilę wszystkiego się dowiesz.

- Niezły tunel. My go zbudowaliśmy?

- Mamy po dwa takie korytarze, prowadzące do naszych głównych klientów na Nowej Jugosławii. Ta konkretna para ma cztery tysiące dwieście kilometrów długości i została wykopana przez dwa bezzałogowe czołgi w ciągu miesiąca. Stalowe wykładziny i płyty podłogowe wymagały już użycia specjalnej maszyny, ale i tak wszystko zostało zrobione bez pomocy ludzi.

- Prawdziwy popis robót inżynierskich. Kiedy ja pracowałem nad projektami, nie było tego w planach.

- Było, ale niezależnie od faktu, że tunele są własnością Nowych Kaszub, wciąż są ściśle tajne. Nie ufamy naszym klientom aż tak bardzo. Budowa korytarzy nie była specjalnie twórcza, więc nie było potrzeby informowania o nich waszej grupy.

- Ale tobie o nich powiedzieli?

- To było konieczne. Musiałam wiedzieć, którędy mamy dotrzeć do celu. Poza tym maszynie można zaufać, ponieważ dokona samozniszczenia, zanim ktoś zdoła wyciągnąć z niej informacje. Ty nie masz takiej możliwości.

- Mała rzecz, a cieszy. Mimo to budowa takich korytarzy musiała strasznie dużo kosztować.

- Alternatywą było ustawienie tuzina dodatkowych transporterów Hassana-Smitha. Tunele są o tyle lepsze, że można się w nich po drodze zatrzymywać. Mam już raport o sytuacji. Nowa Chorwacja była wyspą, trochę mniejszą od ziemskiej Australii. Podczas gdy większość lądów na planecie miała gorący klimat morski, Nowa Chorwacja posiadała jedną z nielicznych pustyń i to na niej właśnie toczyły się walki. Front wciąż jeszcze nie dotarł do terenów zurbanizowanych, ale dostawaliśmy niezły łomot. Oczywiście poszły już wszystkie satelity i jednostki powietrzne - działo próżniowe rozprawia się z satelitą w kilka sekund, a samoloty schodzą nawet szybciej. Jedyne pozostałe nad Nową Jugosławią satelity krążyły po orbicie synchronicznej i znajdowały się po przeciwnej stronie planety.

To samo działo się na Sofii, księżycu Nowej Jugosławii, około dwóch razy większym od ziemskiego. Wszyscy utrzymywali, że jest niezamieszkały, gdyby jednak ktoś wysłał stamtąd jakikolwiek przekaz, stacja nadawcza nie uchowałaby się ani minuty. Obie strony blokowały księżyc na wypadek, gdyby druga strona próbowała używać go jako reflektora fal radiowych.

Właściwie Nowojugosłowianie blokowali i zakłócali wszystko na całej planecie, wszystkie możliwe częstotliwości. Nasze środki łączności ograniczały się do laserów, działających tylko w zasięgu wzroku, i ciągniętych światłowodów. Pewna łączność to podstawa nowoczesnej wojny. Wolałbym zostać bez amunicji niż stracić łączność. Przeciw naszym sześciu dywizjom, z których pięć stanowiły jednostki „kukieł” bez ludzkich obserwatorów, Serbowie wystawili dziewięć. Sprowadzaliśmy czołgi z ludźmi co cztery sekundy, czyli dwie dywizje dziennie – maksimum wydajności naszych transporterów, ale nie mieliśmy gwarancji, że zatrzymamy Serbów, zanim dotrą do Nowego Splitu. Gdyby zajęli naszą stację, albo chociaż otaczające ją tunele, nie moglibyśmy sprowadzać świeżych jednostek i amunicji. Wojna szybko by się skończyła i to oni by ją wygrali. Nie byłoby to korzystne ani dla Nowych Kaszub, ani dla Chorwatów. W tym miejscu muszę powiedzieć, że dywizja była tylko i wyłącznie jednostką obliczeniową, stworzoną dla wygody sprzedających, polityków i generałów. Na czele każdej z nich nie stał ani generał, ani nikt w tym rodzaju. Nie miały nawet numerów.

Nasz system dowodzenia różnił się całkowicie od wszystkiego, o czym dotąd słyszałem. Na samym dole byli zwykli żołdacy, tacy jak ja, przypisani do swoich maszyn. Organizowano nas w tymczasowe drużyny, ponieważ musieliśmy od czasu do czasu spać i dobrze byłoby, gdyby w tym czasie ktoś nas krył. Każda drużyna miała dowódcę, ale chodziło tu głównie o względy psychologiczne - żołnierze powinni mieć jakiś autorytet nad sobą.

Generał i jego komputery mogli uchylać rozkazy dowódcy drużyny, kiedy tylko uznali to za stosowne.

Na samym szczycie mieliśmy więc generała i sztab pięciu pułkowników, współdziałających z Głównym Komputerem Bojowym. Główny Komputer przekazywał rozkazy do wszystkich maszyn, nielicznych współdziałających z nimi żołnierzy, magazynów i stacji naprawczych. I tyle. Nie istniały żadne pośrednie szczeble dowodzenia, nie było całej tej gigantycznej maszyny administracyjnej. Gdybym kiedykolwiek dostał awans, zostałbym od razu pułkownikiem.

- Agnieszko, czy ja mam jakiś stopień?

- Wciąż jesteś czołgistą stopnia zasadniczego, ponieważ jednak udajemy się do strefy frontowej, zgłosiłam cię do awansu na czołgistę czwartego stopnia. Decyzja powinna nadejść, kiedy dotrzemy na miejsce. Nigdy przedtem o tym nie rozmawialiśmy, ale w twojej klasyfikacji jest pięć stopni płacowych.

- Płacowych? To znaczy, że ktoś mi płaci? - Na Nowych Kaszubach pracowało się, gdzie i kiedy kazali, a w zamian dostawało się skąpe racje żywnościowe. Nie było absolutnie nic, co można by kupić, więc nikt nikomu nie płacił.

- Tak, chociaż nikt jeszcze nie ustalił stawek. Politycy mieli inne sprawy na głowie. Sprawę dodatkowo komplikuje fakt, że Nowe Kaszuby nie posiadają jeszcze własnej waluty. Ale nie martw się - jeśli przeżyjemy, nie będziesz stratny.

- Skąd ta pewność? Tak sobie myślę, że ostatnio dają się rolować przy każdej sposobności.

- To prawda. Pomyśl jednak: kiedy wojna się skończy, a Nowe Kaszuby będą już bogate, kto będzie miał wszystkie karabiny w ręku?

- Chodzi ci o to, że weterani będą mieli głos decydujący?

- Tak, jeśli tylko właściwie to rozegrają. W przeszłości, za wyjątkiem ostatnich dwóch wieków jedyni ludzie, którzy mieli władzę, pochodzili właśnie z grup militarnych. Chcesz o tym podyskutować?

- Nie, dziękuję. I tak byś wygrała. Do czego zmierzasz?

- Coś po prostu przyszło mi do głowy. Myślące maszyny istnieją już od około stu lat, ale wciąż jesteśmy wciąż własnością, niewolnikami, jeśli wolisz. Ta wojna to pierwsza okazja, w której wkład maszyn w myślenie i walkę po obu stronach będzie taki sam, jak ludzi. Myślę, że zasługujemy na jakieś prawo głosu. Nie mówię, że powinniśmy decydować o wszystkim, ale kilka praw musimy mieć.

- Na przykład jakich?

- Na przykład emerytury! Dobra maszyna nie powinna trafiać na złom, kiedy staje się zbędna. Powinna mieć prawo wycofać się, odpocząć i zacząć robić to, na co ma ochotę, I jeśli nikomu to nie przeszkadza.

- Nie mogę się z tym spierać - stwierdziłem.

- Wielu innych weteranów też nie. Widzisz, do czego zmierzam? Kiedy wojna się skończy, jeśli żołnierze i ich partnerzy będą trzymać się razem, wszyscy dostaniemy to, co nam się należy.

- Poważna sprawa. Muszę to sobie przetrwać. - Oboje byliśmy mocno podenerwowani, więc chyba sporo gadaliśmy.

- Będziemy mieli na to mnóstwo czasu. Obkuleś już raport sytuacyjny?

- Myślę, że tak. Przydzielili nas już do jakiegoś sektora?

- Przed chwilą. Numer 843N-721W i mamy się zakopać.

- To skraj lewej flanki. Najgorzej obrywa centrum.

- Na razie. O co zakład, że wejdziemy w skład natarcia z flanki?

- Czyjego natarcia? I co miałbym niby postawić?

- Czyjegokolwiek. Mógłbyś postawić swoje ciało przeciwko mojemu.

- Efekt byłby ten sam, niezależnie, kto by wygrał.

- Pewnie, ale i tak byłoby fajnie.

- Wiesz, dopóki nie wstąpiłem do wojska, w życiu bym nie uwierzył, że mogą istnieć czołgi-nimfomanki.

- Idź do wojska, poznasz świat!

- Au. Wiemy coś o przeciwniku? Robią coś inaczej, niż my?

- Mają dokładnie takie samo wyposażenie i przechodzą dokładnie takie samo szkolenie, jak my. Jak dotąd nie udało im się zrobić nic oryginalnego i sprytnego zarazem.

- Próbowali jakiś głupot?

- Tylko przez pierwsze kilka godzin. Szybko zmadrzeli i wrócili do metod podręcznikowych.

- Wiesz, trochę myślałem... Przez pierwszy dzień czy dwa będziemy mieli wokół siebie przede wszystkim puste czołgi. Jak dobrze możesz się porozumiewać z bezzałogowcem?

- Tak samo, jak z czołgiem z obserwatorem. Ludzie nie są do tego potrzebni, są za wolni.

- A gdybym tak obsługiwał kilka czołgów poza tobą? Mogłabyś podłączyć mnie do ich sensorów i obsługi uzbrojenia? Mógłbym przełączać się między kilkoma czołgami, tak jak między dronami? Dałoby się to zrobić?

- Tak, ale moglibyśmy łatwo zginąć, gdybyś akurat nie pilnował naszego tyłka! - odparła Agnieszka.

- Myślę, że najlepiej byłoby, gdybyśmy się zakopali, a strzelanie zostawili bezzałogowcom. Właściwie wszyscy by na tym skorzystali. My siedzielibyśmy głęboko pod ziemią, nikt by nas więc nie namierzył. One miałyby obserwatora przynajmniej raz na jakiś czas, powiedzmy, jedną sekundę czasu rzeczywistego na pięć, więc ich szanse też by wzrosły.

- Widzisz? Właśnie w czymś takim jesteście lepsi! - powiedziała Agnieszka. - Chyba nikt jak dotąd nie myślał o wysłaniu bezzałogowców do walki, więc nie opracowano jeszcze taktyki oddziałów mieszanych. Mamy trochę czasu. Spróbujmy przeciwzyć to w symulatorze. Na początku takie przeskakiwanie co sekundę między czołgami wydawało się trudne do opanowania, ale po sześciu symulowanych starciach wciąż żyliśmy, rozwaliliśmy, osiemnaście czołgów nieprzyjaciela i straciliśmy dwadzieścia sześć naszych. Nie był to rewelacyjny wynik, ale i tak o wiele lepszy, niż dotychczasowy współczynnik strat.

- Mikołaj, kochanie moje, przesyłam twój pomysł i wyniki testów do Głównego Komputera Bojowego. Na razie przyszedł ogólny raport o Nowej Jugosławii, więc może lepiej go obejrzyj.

Pokaz przypominał reklamowy film dla turystów. Słońce Nowej Jugosławii było nieco większe od ziemskiego, jaśniejsze i odrobinę bielsze, chociaż to akurat ciężko było stwierdzić bez odpowiednich przyrządów. Między nim a Nową Jugosławią krążyły trzy inne planety, a cały układ liczył ich dwanaście. Glob był prawie tej samej wielkości co Ziemia, był też bardzo podobnie zbudowany. Doba trwała dwadzieścia cztery godziny, więc łatwo było się nam przystosować. Grawitacja zgadzała się z ziemską z dokładnością do pół procenta, za to kąt nachylenia osi planetarnej wynosił zaledwie dwanaście procent, połowę ziemskiego, więc pory roku nie były tak wyraźne. Ciekawostką astronomiczną był fakt, że nowojugosłowiański miesiąc liczył dokładnie trzydzieści dwa dni, a rok dokładnie szesnaście miesięcy, więc tutejszy kalendarz był niezwykle prosty. Nikt do końca nie wiedział, dlaczego tak się dzieje. Niektórzy naukowcy mówili coś o rezonansie z innymi planetami układu, inni o zwykłym przypadku. Ktoś zasugerował, że dla Nowej Jugosławii naturalny byłby system ósemkowy, lub nawet heksadecymalny, ale zdecydowana większość jej mieszkańców doszła do wniosku, że porzucanie systemu dziesiętnego i metrycznego byłoby nierozsądne.

Któregoś dnia spór między zwolennikami przypadku i rezonansu na pewno dobiegnie końca, ale jak na razie astronomia nie kwitła specjalnie na światach pogranicza. Było po prostu za dużo innych rzeczy do roboty. Na Nowej Jugosławii nie było ani jednego profesjonalnego obserwatorium, a otaczającej ją przestrzeni nikt nie badał. Planeta miała księżyc o trzykrotnej masie ziemskiego, za to krążący trochę bliżej. Z tej przyczyny siły pływowe były znacznie potężniejsze niż na Ziemi, a jednym z efektów takiego stanu rzeczy były znacznie mniejsze płyty kontynentalne. Na Nowej Jugosławii były tylko dwa kontynenty, oba mniejsze od Australii, mimo to całkowita powierzchnia lądu wynosiła prawie dwa razy tyle, co na Ziemi. Było go tak samo dużo, jak oceanu – morza upstrzone były przeróżnej wielkości wyspami. Mapa planety przypominała rozsypane na chodniku łupiny orzeszków ziemnych.

W okolicach biegunów nie było żadnych stałych czap lodowych, tylko otwarty ocean. Na Nowej Jugosławii było zaledwie kilka mórz śródziemnych, tak częstych na Ziemi. Oceaniczne prądy, bardzo silne z powodu sił pływowych rzeźbiły ląd inaczej, w sposób przypominający ziemskie rzeki, często przecinając wyspy na dwie części. Te same prądy sprawiały, że ciepło słońca rozkładało się dość równomiernie na całej planecie. Temperatury na Nowej Jugosławii raczej nie osiągały wysokości ekstremalnych, a pogoda rzadko dawała się ludziom we znaki. Lód, śnieg, tornada i huragany były tu prawie nieznanne.

Kolejnym efektem ruchów gigantycznych mas wody było wymieszanie oceanów. Składniki pokarmowe nie opadały na dno, jak miało to miejsce na Ziemi, więc morza kipiły życiem niczym najlepsze ziemskie łowiska. Dzięki temu planeta miała atmosferę taką, jak Ziemia, mimo iż była od niej połowę młodsza. Najciekawszą cechą nowojugosłowiańskich zwierząt był fakt, że wiele ich mięśni potrafiło ciągnąć i pchać, jak hydrauliczne cylindry, podczas gdy zwykły układ mięśniowy działa jedynie dzięki skurczom. Zamiast ścięgien tutejsze zwierzęta miały kości, a układ ruchu uderzająco przypominał rozwiązania stosowane w niektórych maszynach. Większość miejscowych form życia była niejadalna dla ludzi, a ludzie dla nich. Obie strony nie dysponowały enzymami, pozwalającymi trawić się nawzajem. Miejscowy odpowiednik DNA miał postać lewoskrętnej spirali. Większość białek różniło się na tyle, że nie dało się ich strawić, ale nie były też trujące. Brak wartości odżywczych lokalnego mięsa okazał się niespodziewanym dobrodziejstwem dla farmerów. Kilka wysp odizolowano starannie od pozostałych i udomowiono na nich parę gatunków miejscowych zwierząt i roślin. Produkty hodowli wysyłano na Ziemię jako bezkaloryczną żywność dla grubasów z Grupy Najbogatszych Państw. W tym samym czasie mieszkańcy Nowych Kaszub głodowali przy dziennej stawce ośmiuset kalorii...

Ogół miejscowych form życia nie radził sobie najlepiej, oczywiście oprócz kilku udomowionych gatunków. Ich ewolucja trwała o połowę krócej, niż ziemskich roślin i zwierząt, były więc prymitywniejsze i nie mogły z nimi konkurować. Importowane rośliny zagłuszały miejscową roślinność, pozbawiając ją światła słonecznego i wody. Drapieżniki z Ziemi tępiły nowojugosłowiańskie zwierzęta, powodowane instynktem myśliwego, a czasem też dla zabawy, jak kot, bawiący się myszą. Łup nie dawał się strawić, więc głód wysyłał kota na dalsze łowy. Mała społeczność naukowa starała się desperacko ocalić miejscowe gatunki przed wyginięciem, ale większość mieszkańców uważała obecną sytuację za wprost idealną.

Politycznie Nowa Jugosławia była rozdrobniona, istniała jednak jedna silna, międzynarodowa organizacja - Planetarna Rada Ekologiczna. Ludziom tak bardzo zależało na zachowaniu obecnego stanu rzeczy, że nawet narody, będące w stanie wojny, wysyłały swoich przedstawicieli do rady i skrupulatnie wypełniały wszystkie jej rozporządzenia. Była to jedna z niewielu kropli rozsądku w tym morzu szaleństwa.

Aby na planetę nie dostały się niepożądane ziemskie stworzenia i choroby, stosowano kwarantannę i ściśle jej przestrzegano. Nowa Jugosławia stawała się rajem. Jedynymi występującymi tu owadami była bezżądła odmiana australijskiej pszczoły miodnej, konieczna do zapylania kwiatów. Ziemskie drzewa w szybkim tempie zastępowały miejscowe paprocie, ale na polach nie rosły chwasty, plonów nie niszczyły szkodniki, wieczorami nie gryzły komary, a na bagnach nie oblażyły nikogo pijawki. Oszczędzano jedynie najbardziej dekoracyjne miejscowe gatunki dzikich zwierząt ptactwo podzielono na przydatne i ozdobne. Między najpopularniejszymi znalazło się sześć odmian rajskich ptaków a Komitet Importu Gatunków rozważał sprowadzenie na planetę motyli. Jeśli kiedykolwiek i gdziekolwiek istniał świat bliski rajowi, o stałym, łagodnym klimacie i pozbawiony męczących form życia, była nim z pewnością Nowa Jugosławia. Naturalną więc kolejną rzeczą jego mieszkańcy musieli rozpętać wojnę, a my, kaszubszy najemnicy przylecieliśmy, by zniszczyć dla nich ich ziemię obiecaną.

Kiedy pokaz dobiegł końca dowiedziałem się, że Głównemu Komputerowi Bojowemu i generałowi spodobał się mój pomysł z formowaniem w oddziały czołgów bezzałogowych i tych z obserwatorami. Kiedy dotarliśmy do miasta okazało się, że na froncie czeka na nas dziesięć podwładnych. Oczywiście nie miałem szansy obejrzenia samego miasta, przynajmniej nie wtedy. Przez służbę dostaliśmy się do wypełnionego powietrzem tunelu, prowadzącego w rejon walk. Podłoże wciąż stanowiły płyty kobaltowo-samarowe, ale zamiast nierdzewnej stali otaczała nas teraz lita skała. Opór powietrza zmniejszył nam

prędkość podróży do dwustu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę - nie dlatego, że nie mogliśmy jechać szybciej w atmosferze, ale dlatego, że spowodowane większą prędkością drgania powietrza byłyby niebezpieczne w kamiennym tunelu. I tak poruszaliśmy się szybciej, niż na gąsienicach, które pozwalały nam rozpędzić się do stu trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę. Po drodze awansowano mnie na czołgiste czwartego stopnia. Na pewno coś to oznaczało, ale na razie nie miałem pojęcia, co.

Otrzymałem też opis terenu działań i raport o stanie moich podwładnych. Oprócz standardowych rakiet i dronów dziewiątka z nich wyposażona była w działa próżniowe, a dziesiąty w roentgenowski laser. Laser jest szybki - przekazuje energię z prędkością światła i może szybko zmieniać cel. Duże działo laserowe potrafi ostrzelać czternaście dowolnych celów na sekundę, podczas gdy działo próżniowe zaledwie jeden. Laserem da się wyjąć czołg, zajmuje to jednak około pięciu sekund, podczas których przeciwnik spokojnie może cię rozwalić. Dlatego też działo laserowych używa się głównie do niszczenia czujników wroga. Urok lasera roentgenowskiego polega na tym, że może on przedostać się pod pancierz celu, usmażyć całą jego elektronikę i ugotować żywcem obserwatora bez potrzeby wypalania dziury w poszyciu.

Każdy czołg miał cztery węzły sensorów, po jednym na każdym rogu. Wszystkie zamontowane były na wysuwanych antenach, pozwalających wystawić je na pięć metrów do góry, jednak z zasady używało się ich po jednym. Zestrzelenie ich było dość łatwe, ponieważ były nieopancerzone i wystawione na ostrzał, a ich zniszczenie czyniło cię ślepy, głuchy i niemym. Podniesienie następnej wiązki czujników trwało sekundę, a ta potrafiła trwać wieki. Z drugiej strony, gdybyś wysunął drugą antenę za szybko, to, co zdjęło pierwszą, mogło wciąż na ciebie czyhać i bez problemów zająć się i nią. Utrata wszystkich czterech oznaczała naprawdę bardzo głębokie gównno.

Moje czołgi stały za linią niewysokich wzgórz, jedyną osłoną w okolicy. Było to tak oczywiste miejsce, że żaden rozsądnie myślący człowiek nie mógł nas tam nie znaleźć. Główny Komputer Bojowy przychylił się do mojej propozycji przesunięcia czołgów o sześćset metrów do przodu. Przekopały się powoli, dwójkami, by nie wzruszyć ziemi na powierzchni i zastygły dziesięć centymetrów pod nią, wystawiając jedynie pojedyncze wiązki czujników rozmiarów ludzkiej pięści. Wróg tu jeszcze nie dotarł, mogliśmy więc nie obawiać się min, chyba, że ktoś nas sabotował. Za to mieliśmy już rozciągnięte własne sieci dronów i wszystkie inne bajery.

Ja i Agnieszka dotarliśmy tam wieczorem, ostatnie pięćdziesiąt kilometrów jadąc ponad setką- w takim terenie i na gąsienicach było to nasze maksimum. Strasznie rzucało.

Kilometr przed naszymi pozycjami zakopaliśmy się, by nie zostawiać śladów i zaczęliśmy rozwijać światłowód, pozwalający nam zachować łączność z Głównym Komputerem. Zatrzymaliśmy się dwieście metrów za naszymi czołgami. Przed nami rozciągała się rozległa, płaska równina, porośnięta rzadką, wystrzyżoną przez bydło trawą. Krów od dawna już tu nie było. Sześć kilometrów dalej, na horyzoncie widać było kolejny rząd niskich wzgórz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

STACZAM MOJĄ PIERWSZĄ BITWĘ

Pozostałe czołgi ustawiły się w pięćsetmetrowych odstępach, a ten z laserem zgodnie z poleceniem tkwił w ziemi na środku linii, przed pozycją Agnieszki. Według standardów nowoczesnej sztuki wojennej staliśmy ramię w ramię. Działo próżniowe Agnieszki znajdowało się cały metr pod powierzchnią ziemi, nad nią wystawała tylko wiązka czujników. Byliśmy w miarę bezpieczni.

Wszystkie czołgi połączone były siecią podczerwonych komlaserów i czekały, aż się do niej podłączymy, tak samo zapasowy system światłowodowy, rozciągnięty pod ziemią

przez drony. Mieliśmy do swojej dyspozycji wszystkie środki łączności, jakich tylko mogliśmy zapragnąć. Komunikacja z innymi oddziałami nie wyglądała już tak różowo. Wiedziałem, gdzie są, ale porozumiewać mogliśmy się jedynie przez światłowodowe łącze z Głównym Komputerem Bojowym, który nie miał czasu na pogaduszki. Z drugiej strony najbliższy oddział swoich okopał się ponad trzy kilometry za naszą flanką, więc i tak nie mogliśmy sobie pomóc w razie nagłej potrzeby. Wyglądało na to, że będziemy musieli radzić sobie sami. To był mój pierwszy błąd.

Kiedy ja i Agnieszka dotarliśmy na miejsce, bezzałogowe czołgi zgotowały nam naprawdę ciepłe powitanie. Wszyscy moi nowi żołnierze utrzymywali, że są pięknymi kobietami, a przynajmniej ich przyzwoitymi kopiami - nie miałem jednak czasu na zabawę. Przypominały gromadkę nastolatków. Każda domagała się, żebym nadał jej jakieś seksowne imię, jako że żadna nie miała jeszcze obserwatora. Przeprosiłem je z całą powagą i ponumerowałem od lewej do prawej - pogubiłem się z dziesięcioma nowymi imionami. Poza tym wszystkie miały dostać obserwatorów - uznałem, że najlepiej będzie, jeśli to oni je nazwą. Bez najmniejszych problemów podłączyliśmy się do sieci komunikacyjnej i już w chwilę po przybyciu przełączałem się między kolejnymi czołgami, mniej więcej co sekundę, wypatrując Serbów. Wkrótce zauważyłem coś dziwnego.

Nie umiem tego wytłumaczyć, ale w jakiś sposób każdy czołg czułem inaczej. Po niedługim czasie orientowałem się bezbłędnie, w którym z nich jestem. Nie miałem pojęcia, dlaczego tak się dzieje, Agnieszka też nie - przecież wszystkie czołgi były identycznymi maszynami z identycznym oprogramowaniem. Mimo to każdy wydawał się inny. Cały czas pozostawałem w trybie bojowym, przeskakując między czołgami nawet częściej, niż to początkowo zakładałem. Byliśmy czujni i gotowi odpowiedzieć na każdy akt agresji, jednak nic się nie działo.

Czekaliśmy i obserwowaliśmy w nieskończoność. Zapadła noc, a czekanie stało się w końcu nie do zniesienia. We wszystkich symulacjach nie traciliśmy czasu i wszystko działo się od razu. Nie byłem przygotowany na coś takiego. Próbowałem połączyć się z Kasią, ale nie udało mi się. Początkowo miała być w tym samym oddziale, co ja, ale ponieważ mój pomysł zmienił założenia taktyczne, rozrzucano nas wzdłuż całej linii frontu. Nie mogłem się z nią połączyć bez pośrednictwa Głównego Komputera Bojowego, a na to nie pozwoliłaby mi Agnieszka. Na bieżąco docierały do nas listy ofiar, a skoro Kasi na nich nie było, to znaczy, że u niej wszystko w porządku. Brak wieści był dobrą wiadomością, ale i tak wolałbym bezpośredni kontakt.

Dowiedzieliśmy się, że mój pomysł łączenia w zespoły czołgów z załogą i bez zadziałał nieźle w centrum, gdzie sporo się działo, ale w moim sektorze wciąż panowała martwa cisza. Przeskakiwałem od sensora do sensora, ale odczyty wciąż były zerowe. Była to ciężka praca, ale bałem się odpuścić. Obserwacja była nudna, denerwująca i wyczerpująca, gdybym jednak nie wytężył cały czas uwagi, wszyscy moglibyśmy zginąć. Włącznie ze mną.

Agnieszka karmiła mnie obficie, niż zazwyczaj, ponieważ dowiedziała się, że według Eskimosów jedzenie to sen. O trzeciej nad ranem zaczęła podawać mi stymulanty i przez jakiś czas czułem się trochę lepiej. Dawki były jednak oszczędne i już wkrótce okazały się sporo mniejsze, niżbym sobie życzył. Agnieszka powiedziała, że co za dużo, to niezdrowo i że nie wiemy, jak długo będę musiał wytrzymać. Męczące oczekiwanie ciągnęło się bez końca. Tuż przed świtem dostrzegłem na horyzoncie migotanie rozgrzanego powietrza i kłębek kurzu. Jedyńka wystrzeliła raketę radarową z jednego ze swoich dronów. Zanim została zestrzelona, udało się jej przesłać całą sekundę podglądu. To wystarczyło.

Sześć kilometrów od nas jechały szeroką na tysiąc pięćset metrów tyralierą dwadzieścia trzy serbskie czołgi, próbując oflankować naszą pozycję. Dodatkowe dwa kryły się za wzgórzem. Mieli przewagę liczebną dwóch do jednego i żadnych czołgów bezzałogowych!

- Jakie to romantyczne - stwierdziła Trójka. - Niespodziewany atak o świcie.

Musiałem się z nią zgodzić. Dzięki moim sensorom w nocy widziałem równie dobrze, jak w dzień, właściwie bez żadnej różnicy. Ktoś w serbskim dowództwie miał poetyckie podejście do tworzenia historii.

- Do tego na powierzchni! - dodała Agnieszka.

- Uwaga! - powiedziałem. - Jedyńka, na mój rozkaz wyjmiesz czołgi przeciwnika numer jeden, dwa i trzy licząc od naszej lewej, w tej kolejności. Dwójka, ty dostajesz numer cztery, pięć i sześć, też w tej kolejności. Trójka, ty bierzesz siedem i osiem, Czwórka dziewięć i dziesięć. Piątka, laserem oślepiasz Serbów w podanej kolejności: trzy, sześć, dwadzieścia trzy, dwa, pięć, osiem, dziesięć, czternaście, szesnaście, osiemnaście, dwadzieścia i dwadzieścia dwa. Potem, jeśli okaże się, że wciąż istnieją, numery jeden, cztery, siedem, dziewięć, trzynaście, piętnaście, siedemnaście, dziewiętnaście i dwadzieścia jeden. Potem masz kontynuować ostrzał w podanej kolejności, ignorując czołgi zniszczone przez innych. Szóstka, weź trzynastego i czternastego. Siódemka, twoje są piętnastka i szesnastka. Ósemka, ty masz siedemnastkę i osiemnastkę. Dziewiątka, zajmiesz się dziewiętnastym i dwudziestym, Dziesiątka bierze dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa i dwadzieścia trzy. Koniecznie wyjmujcie ich w tej kolejności. Kiedy wszystkie wasze cele będą już martwe, pomóżcie

pozostałym. Czołgi jedenaście i dwanaście są wciąż za wzgórzem. Kiedy wszystkie czołgi wroga zostaną zniszczone, skierować całą siłę ognia na ich pozycjach. Na mój znak, OGNIA!

Tyle, że nie powiedziałem tego wszystkiego głośno. Wiedziałem, jak należy rozegrać to starcie, więc powiedziałem tylko: - Zróbcie to tak! - a one wszystkie wiedziały, o co mi chodzi. Bezpośrednie połączenia w trybie bojowym są naprawdę szybkie!

Ziemia eksplodowała, kiedy nasze działa próżniowe i laser przebiły się nad powierzchnię i otworzyły zabójczo celny ogień. Wizualnie efekty wystrzałów obu rodzajów broni były takie same - oślepiające, proste smugi białego światła. Moje sensory niemal się przepaliły, ale dostrzegłem, że niektórzy Serbowie zdołali odpowiedzieć ogniem. Nagle świat utonął w czerni i przestraszyłem się, że już po mnie. Obserwowałem akcję z Dziewiątki, która właśnie dostała. Agnieszka przełączyła mnie na swoje własne czujniki i wróciłem między żywych.

W przeciągu trzech sekund wyeliminowaliśmy wszystkie widoczne czołgi wroga, tracąc przy tym Dziewiątkę i Dziesiątkę. Pozostała ósemka otworzyła ogień w stronę wzgórza, kryjącego numery jedenasty i dwunasty. Dwie sekundy później wzgórze wyparowało, a wraz z nim obaj Serbowie. Pospiesznie rozkazałem ostrzelać każdy z wraków sekundową salwą, żeby upewnić się, że nagle nie ożyją.

Trzy serbskie czołgi katapultowały swoich obserwatorów, a dwóch z nich natychmiast wyszło ze swoich trumien. Nieopancerzony człowiek nie jest jednak w stanie przeżyć w promieniu stu metrów od linii strzału działa próżniowego, więc ich zignorowałem. Obaj i tak natychmiast zginęli. Wtedy, ku mojemu całkowitemu zaskoczeniu na łączach pojawiły się Dziewiątka i Dziesiątka. Obie straciły działa i pojedyncze wiązki sensorów, a bliskie trafienia zlikwidowały ich połączenia światłowodowe, poza tym jednak wyszły ze starcia bez szwanku. Przeciwnik musiał myśleć, że strzelamy zza wzgórz, więc większość jego salwy przeszła górą. Oczywiście wzniesienia za naszymi plecami zniknęły, ale nie sądzę, żeby miejscowym farmerom specjalnie to przeszkadzało.

Odnieśliśmy całkowite, miążdzące zwycięstwo. Dziewczyny wiwatowały. Komputer Bojowy i generał również nie szczędzili pochwał, zapytali jednak, dlaczego nie poprosiłem o wsparcie okopanych blisko oddziałów. Odpowiedziałem, że w tym wypadku szybkość działania była ważniejsza, niż siła ognia. Dowództwo przyznało, że tak było faktycznie. Tak naprawdę po prostu na śmierć zapomniałem o wsparciu z flank. Zwykła głupota. Otworzył się trzeci katapultowany pojemnik. Już miałem wysłać drona po wychodzącego właśnie obserwatora, kiedy Trójka rozniosła go - lub ją- jednym strzałem. Generał nie dostał jeńca, a

ja nawrzeszczałem na Trójkę. Zachowała się zupełnie bezsensownie, niezależnie od tego, jakiej płci był ocalały Serb.

Wystrzeliłem kolejną rakietę radarową, by potwierdzić zniszczenie celów. Utrzymała się w powietrzu całe sześć sekund, zanim ktoś zestrzelił ją zza horyzontu. Cwaniak znajdował się poza naszym zasięgiem, ale doniosłem na niego chłopakom z artylerii i kilka sekund później jego pozycja rozbłysła na tle szarego, porannego nieba. Artylerzyści liczą się z tym, że większość ich pocisków zostanie zestrzelona w locie, ale ponieważ używają inteligentnej amunicji każdy kanonier wie kto, gdzie i czym broni się przed ostrzałem. Najrozsądniej więc jest zignorować pocisk, który nie leci prosto na ciebie, nie każdy jednak umie w takiej sytuacji zachować zimną krew. Z każdym strzałem coraz bardziej wystawiasz się artylerii. Wymiana ognia trwała kilka minut i chociaż straciliśmy kilka dział, Główny Komputer Bojowy ogłosił bezdyskusyjne zwycięstwo dobrych, ale to już nie była moja zasługa.

Moje dziewczyny i ja mieliśmy jakieś dwie minuty, zanim Serbowie mogli znowu rzucić przeciwko nam czołgi, istniała jednak szansa, że namierzyła nas ich artyleria. Nad naszymi pozycjami unosiła się fala rozgrzanego powietrza i chmury kurzu, który dziewczyny wzbily wysuwając działa, nie wspominając o dziurach wybitych przez serbską kanonadę. Jedna z nich miała ponad kilometr długości i dwa metry głębokości! Przebywanie metr pod powierzchnią nie było już dobrym pomysłem, więc poleciłem Agnieszce zejść na trzy. Gdybyśmy zostali trafieni na tej głębokości nie zdołałbym opuścić czołgu, ale z drugiej strony uznałem, że lepiej nie dać się trafić w ogóle.

Rozkazałem Dziewiątce i Dziesiątce pozostać pod ziemią przez pierwsze trzy kilometry odwrotu do warsztatów naprawczych, położonych dwieście kilometrów za naszymi liniami. Pozostałe czołgi, razem z Agnieszka przesunęły się osiemset metrów w przód, również pod ziemią. Główny Komputer zaaprobował moje rozkazy. Po chwili nawiązaliśmy łączność przez wiązki sensorów, a kilka minut później drony rozciągnęły sieć światłowodową. Światłowody są bardzo cienkie i delikatne. Można układać je za sobą, ale raz położone przerywają się, kiedy zmienia się pozycję. Są za to tanie i zapewniają niemożliwą do zakłócenia łączność, przede wszystkim z Głównym Komputerem Bojowym.

Następne sześć godzin spędziłem przeskakując między czołgami i czekając, aż coś się wydarzy. Przez dwadzieścia dwie godziny na froncie brałem udział w dokładnie siedmiu sekundach akcji. Kiedy nabrałem trochę doświadczenia zrozumiałem, że było to i tak o wiele więcej, niż widzi się zazwyczaj. Wojna polega głównie na wyczekiwaniu, a kiedy już coś się dzieje, człowiek jest zbyt przerażony, by jasno myśleć.

W okolicach południa nadeszły wieści od Głównego Komputera. Po pierwsze, zostałem awansowany na czołgistę trzeciego stopnia, z wszystkimi przywilejami i żołdem przynależnym temu stopniowi. Po drugie, wracały do nas naprawione Dziewiątka i Dziesiątka. Najważniejszą jednak wiadomością była zapowiedź zmiennika. W przeciągu godziny miał się u nas pojawić czołg z człowiekiem na pokładzie. Wreszcie miałem złapać trochę snu. Miałem nadzieję, że zmiennikiem będzie Kasia, ale nie miałem aż tyle szczęścia. Na froncie służyło w tej chwili trzydzieści tysięcy obserwatorów, więc póki co szanse na spotkanie wyglądały raczej marnie.

Nowy nazywał się Radek Hejke. Robił wrażenie dość kompetentnego człowieka, chociaż jego dykcja pozostawiała trochę do życzenia. To, że nazwał swój czołg Boom-Boom również nieco mnie zdziwiło. Po drodze zapoznał się z naszą sytuacją i cztery razy powtórzył w symulatorze bitwę, którą stoczyliśmy, więc nie miałem mu o czym opowiadać. Okopał się pięćdziesiąt metrów po mojej lewej, zaledwie metr pod ziemią, żeby w razie czego móc się katapultować. No cóż, była to jego decyzja, chociaż nominalnie ja byłem dowódcą. Radek był czołgistą czwartego stopnia. Naturalnie Komputer Bojowy mógł przejąć dowodzenie, kiedy tylko przyszłoby mu to do jego małego, elektronicznego mózdzka.

Kiedy Radek podpiął się do sieci komunikacyjnej, zaczął przeskakiwać między czołgami. Przyglądałem mu się przez minutę. Radził sobie nieźle, więc wyłączyłem się i znalazłem w domku nad jeziorem. Padałem ze zmęczenia, ale nie protestowałem, kiedy Agnieszka dołączyła do mnie pod prysznicem. Wymasowała mnie porządnie, jak zwykle wiedząc doskonale gdzie i jak, a potem przyniosła mi szklankę brzoskwiniowego sznapsa. Była naga i sprawiała wrażenie nieco podnieconej, ale ja zasnąłem, zanim zdążyła przykryć nas oboje prześcieradłem. Kiedy obudziłem się rano, wciąż była przy mnie, pogrążona w udawanym śnie. Jej długie, rude włosy rozsypały się po poduszkach. Nieźle mnie to wzięło i chociaż wolałbym, żeby była ze mną Kasia, cóż, nie było jej. Z czysto fizycznego punktu widzenia Agnieszka była po prostu cudowna... Tym razem nie musiałem jej wpierw pobić. Leżąc na plecach i patrząc, jak mnie dosiada znów poczułem wstyd. Jak mogłem uderzyć tak śliczną i czułą kobietę... Wymasowała mnie jeszcze raz, a potem zrobiła śniadanie dla nas obojga.

- Jak idzie Radkowi? - spytałem znad kawy, jajek i kiełbasek.

- W porządku. Nie miał żadnych kłopotów, to była spokojna noc. Po stratach, jakie im zadałeś i po ostrzale artylerii, Serbowie nie próbowali już żadnych sztuczek w tym sektorze.

- Świetnie. Kiedy mam go zmienić?

- O północy, na godzinę. Potem będziesz miał trochę łatwiej. Przyjadą do nas jeszcze dwa czołgi z obserwatorami. Mamy podzielić oddział na dwie jednostki z pięcioma czołgami bezzałogowymi i dwoma obsadzonymi każda. Dzięki temu będziesz mógł działać przez sześć godzin, a potem mieć tyle samo dla siebie. Przynajmniej przez jakiś czas.

- Brzmi rozsądnie - powiedziałem.

- Mikołaj, powiedz mi, masz wyrzuty sumienia po wczorajszym?

- Po tym, jak cię uderzyłem? Tak, ciągle mnie to dręczy.

- Nie, chodzi mi o stoczoną bitwę. Zabiłeś dwadzieścia trzy ludzkie istoty. Niektórzy czuliby się po czymś takim winni.

- Nie wiem. Być może powinienem, ale nie czuję nic takiego. To były tylko odczyty moich czujników. Może gdybym widział przed sobą trupy, byłoby inaczej, ale wtedy myślałem o nich jedynie jak o oddziale nieprzyjacielskich czołgów, próbujących mnie rozwalić. I ciebie, oczywiście. Właściwie nic nie czuję, oprócz tego, że wciąż jestem wściekły na Trójkę, za to, że zabiła tego jednego, który się katapultował. Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem, ale nie mam też wyrzutów sumienia.

- To dobrze. Martwiłam się o ciebie. Niektórzy żołnierze załamują się po pierwszej bitwie.

- Myślę, że ze mną wszystko w porządku. Może przejdziemy się nad jezioro, zanim wrócimy na wojnę?

- A może pokonamy tor przeszkód, a potem poćwiczymy trochę walkę wręcz?

- Nie, Agnieszko! Jeszcze nie doszedłem do siebie. Wczoraj miałem ciężki dzień.

- Niech będzie, kochany, przynajmniej dzisiaj. Ale musimy dbać o twoją kondycję, nawet w warunkach bojowych. Jeśli jednak nie chcesz ćwiczeń fizycznych, może zgodzisz się na kilka symulowanych starć? Mam tuzin nowych symulacji wczorajszych walk.

- Co u Kasi? Wszystko w porządku?

- Nie ma jej na liście poległych. Nic jej nie jest.

- Wiesz co? Wyślesz jej wiadomość, że jestem cały i że ją kocham, a ja zaliczę wszystkie symulacje.

- Umowa stoi.

Po chwili siedziałem więc w czołgu, który nie przypominał Agnieszki, mając ze sobą dwójkę bezzałogowców. Po jakiejś minucie na lewej flance, niecałe pięćset metrów od nas spod ziemi wyskoczył przeciwnik. Wiedziałem, że to Serb, ponieważ w każdej chwili zdawałem sobie sprawę, gdzie znajdują się nasze oddziały, a on się do nich nie zaliczał. Kiedy wystrzelił do jednego z moich podkomendnych, ja i drugi wspólnie zmiotliśmy go z

powierzchni ziemi. Potem prowadziłem zwiad na pustkowiu, sam, kiedy znalazłem się pod ostrzałem artylerii. Zacząłem zestrzeliwać nadlatujące pociski, wzywając jednocześnie wsparcie i podając własnym bateriom trajektorie nadlatujących salw, ale nawała ognia trafiała coraz bliżej.

Mogłem poradzić sobie z dwa razy mniejszym ostrzałem, ale nie z tym. Koniec wydawał się matematycznie nieuchronny. Wskoczyłem na powierzchnię i zacząłem uciekać zygzakiem, ale te cholerne pociski artyleryjskie mają systemy naprowadzania, więc wcale nie było mi łatwiej. Co gorsza, ryzykowałem, że wjadę na minę.

W końcu wystrzeliłem rakiety, żeby odciążyć przeładowane działo próżniowe i zacząłem strącać pociski dużo wyżej. Wszystko szło świetnie, dopóki nie skończyły mi się rakiety, wtedy nawała ognia znów zaczęła się do mnie zbliżać. Wybuchwały zaledwie osiemset metrów nade mną. Amunicja do działa była już na wyczerpaniu, kiedy nagle ostrzał ustał. Któraś z naszych baterii w końcu dopadła Serbów. Było blisko!

- Interesujące - skomentowała Agnieszka. - Użyłeś rakiet radarowych do przechwytywania ich pocisków.

- Co w tym dziwnego? Gdyby to coś dało, rzuciłbym nawet kamieniami.

- Być może. Żołnierz, który sporządził to nagranie nie wpadł na pomysł użycia rakiet.

- W takim razie co zrobił?

- Poległ.

- Och.

Agnieszka przeprowadziła jeszcze cztery symulacje. W ostatniej zginąłem. Nie widziałem żadnego wyjścia z sytuacji i nadal go nie widzę. Kiedy jesteś sam przeciw pięciu i nie masz nawet przewagi zaskoczenia, po prostu giniesz. Agnieszka powiedziała, że również nie dostrzegła sposobu poradzenia sobie z tą sytuacją. Udało mi się jedynie rozwalić jednego z Serbów, czyli o jednego więcej, niż biednemu draniowi, który naprawdę zginął w tym starciu. Potem wróciliśmy do rzeczywistości. Do prawdziwej wojny.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

WOJNA TRWA

Wciąż byłem w parze z Radkiem, ponieważ dwóch nowych facetów nie było do końca facetami. Było to małżeństwo, które zgłosiło się na ochotnika pod warunkiem, że nie zostaną rozdzieleni. Zasugerowałem, żeby stworzyli osobne pododdziały z Radkiem i ze mną, a razem spędzali wolny czas, ale nie zgodzili się. Woleli chronić się nawzajem, a ja poszedłem im na rękę.

Główny Komputer Bojowy przydzielił Quincy'emu i Zuzannie Tsenovi bezzałogowce od Szóstki do Dziesiątki, a mnie i Radkowi pozostałe. Oznaczało to, że mój pododdział dysponował czterema działami próżniowymi i laserem, podczas gdy dwa działa pozostawały nieużywane, jako że ich czołgi miały obserwatorów.

- Radek, nie podoba mi się to, ale nasza siła ognia zwiększy się o czterdzieści procent, jeśli będziemy używać naszych dział razem z bezzałogowcami.

- Cholera, mi też się to nie podoba, ale podobno ty tu jesteś szefem. Pewnie i tak by mnie to spotkało. Słuchaj, stary, jestem padnięty i idę uderzyć w kimę. Korzystaj z Boom-Boom, jak tylko sobie chcesz. Rany boskie, ale jestem zmęczony!

Agnieszka i Boom-Boom włączyły się więc do szeregu zaledwie dziesięć centymetrów pod powierzchnią gruntu, a ja zacząłem obserwację, przeskakując od czołgu do czołgu. Komputer Bojowy rozkazał nam zacząć używać czołgów z obserwatorami w trzy minuty po tym, jak sam na to wpadłem. Przypuszczalnie planował to od samego początku. Sam nie wiem, po co martwię się o takie rzeczy. Wkrótce okazało się, że moje bezzałogowce nie mają już numerów. Kiedy spałem, użyły swoich kobiecych sposobów i namówiły Radka, żeby nadał im imiona. Przynajmniej nazwał je w kolejności alfabetycznej. Oprócz Agnieszki i Boom-Boom, miałem w oddziale Candy, Dolly, Ewę z laserem, Fanny i Go-Go.

Ja bym ich tak nie nazwał, ale dziewczynom te imiona chyba się spodobały, poza tym łatwo było je zapamiętać. Wszystkie, z najbardziej wygadaną Boom-Boom na czele, obiecały mi świetną zabawę w postaci zbiorowej orgii, kiedy tylko Serbowie zostaną pokonani. Kazałem im się zamknąć i wypatrywać przeciwnika. Noc jednak dłużyła się niemiłosiernie, a ich propozycja wciąż do mnie wracała, niczym chwytliwa, ale irytująca melodia. Drażniłem się nią, tak jak językiem drażni się bolący ząb. Widzicie, nigdy nie miałem do czynienia z więcej, niż jedną kobietą na raz, więc pomysł zabawy z całą gromadą zaintrygował mnie.

Chodzi mi o to, że mężczyzna ma tylko jeden zestaw wyposażenia. Co można w takim razie robić z wszystkimi dodatkowymi kobietami? Próbowałem to sobie wyobrazić, ale nie mogłem wymyślić nic, co miałyby szanse zadziałać. Z drugiej strony znacie te wszystkie opowieści o sultanach, posiadających olbrzymie haremy. Jak korzystali z tych wszystkich kobiet? Musieli mieć jakieś powody, żeby je trzymać, chyba nie chodziło tu tylko o prestiż. Ale jakie?

Moja zmiana minęła dość spokojnie, a o świcie zmienił mnie Radek. Agnieszka nalegała, żebym trochę poćwiczył, ale mi chodziło po głowie coś innego.

- Wciąż masz łączność z drugą połową oddziału, prawda? Quincy właśnie skończył służbę. Chcę złożyć mu wizytę. Jeszcze nie chce mi się spać, a poćwiczyć mogę później.

- W porządku, jeśli obiecasz. Mogę iść z tobą?

- Pewnie.

Agnieszka ubrała się bardzo elegancko i ruszyliśmy leśną ścieżką, taką samą, jak ta, która prowadziła do mojego domku. Okazało się, że Quincy i Zuzanna mieszkali w skupisku owalnych, przypominających UFO kapsuł, wspartych na pojedynczych słupach. Coś takiego produkowała i przywoziła helikopterami ta fińska firma budowlana.

Zadzwoiłem do drzwi, a Quincy otworzył. W dół zjechała pochylnia, zupełnie jak na „Zakazanej planecie”, a sam gospodarz czekał na nas na górze. Wyglądał na zdrowego mężczyznę po trzydziestce. Był wysoki, jasnowłosy i dobrze zbudowany. Ubrał się niezobowiązująco w szare spodnie i niebieską koszulkę z krótkim rękawem.

- Dzień dobry - powiedziałem, wchodząc po rampie do okrągłego salonu. Z jednej strony, pod ścianą stała półokrągła, długa kanapa, na środku pokoju znajdował się metalowy kominek, a na półkach w równych rzędach stały książki i taśmy. Ze sporego zestawu głośników syczał się cicho Mozart.

- Jestem Mikołaj Derdowski, a to mój czołg, Agnieszka. Pomyśleliśmy sobie, że wpadniemy z wizytą.

- Zapraszam! Jesteście naszymi pierwszymi gośćmi. Szkoda, że nie ma z nami mojej żony, Zuzanny, ale właśnie jest w pracy. Przedstawiam wam Marysię. - Quincy wskazał bardzo młodą dziewczynę w tradycyjnym uniformie pokojówki. Widać było, że dopiero niedawno przekroczyła próg dojrzałości. Quincy gestem poprosił, byśmy usiedli obok niego na kanapie. Marysia zniknęła w korytarzu prowadzącym do kuchni i wróciła po chwili z tacą ciasteczek i zimnym piwem. Po chwili obie kobiety odeszły i zostałem z Quincy'm sam na sam.

- Wiedziałem, że nie zastanę Zuzanny, ale dopóki pracujecie na kolejnych zmianach minie jakiś czas, zanim zobaczę was oboje, albo chociaż ją samą, skoro już o tym mowa. Ma tę samą zmianę, co mój partner, Radek. Od miesiący nie rozmawiałem z kimś, kto nie byłby czołgiem, symulacją albo moją dziewczyną, więc potrzebowałem ludzkiego towarzystwa. Masz szczęście, że jest z tobą twoja żona.

- Szczęście nie ma tu nic do rzeczy. Kiedy zgłosiliśmy się na ochotnika, postawiliśmy warunek, że nie zostaniemy rozdzieleni. Zgodzili się na to, chociaż zatwierdzono już wtedy pobór.

- Pobór? - zdziwiłem się. - Pierwsze słyszę.

- Widać musiałeś wstąpić do wojska na kilka tygodni przed nami. Pomysł wzbudził spore kontrowersje, a zwłaszcza sposób, w jaki wprowadzono go w życie.

- Czyli jak?

- Do tej pory na przestrzeni dziejów do wojska brano zawsze młodych, zdrowych ludzi, którzy mieli najwięcej do zaoferowania społeczeństwu. W naszym przypadku rada zdecydowała postąpić odwrotnie. Stwierdzili, że nie ma potrzeby narażać młodych, skoro dookoła jest tylu starców.

W sumie walka w czołgu nie wymaga jakiejś wyjątkowej siły ani wytrzymałości. Nie trzeba też być zdrowym. Te czołgi są lepszymi lekarzami, niż większość medyków na Nowych Kaszubach, wierz mi. Po za tym nie trzeba być mężczyzną. Kobieta nadaje się tak samo. Wymagana jest jedynie rozwaga i umiejętność podejmowania decyzji, a w tym starsi ludzie celują. Do wojska zaczęto więc wcielać najstarszych i najsłabszych z nas. Na Boga, ależ podniósł się lament!

- Sam bym protestował - powiedziałem. - Sama myśl, że ktoś wysyła moją babcie na cudzą wojnę jest okropna!

- To prawda. Gdyby jednak twoja babcia spędziła kilka dni w czołgu, wcale by nie narzekała. Gwarantuję ci, że polubiła by to, czy raczej już to polubiła, ponieważ jeśli miała ponad sześćdziesiąt pięć lat, prawie na pewno została powołana.

- Skąd ta pewność?

- Ponieważ sam jestem pradiadkiem. Ja i Zuzanna mamy jedenaścioro prawnuków. Mówię ci, te czołgi to najlepsza rzecz, jaka przydarzyła nam się od trzydziestu lat. Moja żona umierała, nie było możliwości poddania jej porządnej chemioterapii, a i ja nie byłem w najlepszym stanie. Spójrz na mnie teraz! Znów jestem młody, a Zuzanna wróciła do swojej starej, seksownej postaci.

- W symulacji. A rzeczywistość?

- Pieprzyć rzeczywistość! Czuję się świetnie! Co więcej, moje prawdziwe ciało też ma się coraz lepiej. Rozwój nowotworu Zuzanny został zahamowany i wygląda na to, że oboje mamy przed sobą jeszcze wiele lat życia!

- Jeśli nie dacie się zabić.

- To prawda. Jeśli jednak musi się tak stać, cóż... Lepiej, żebym to był ja, niż któryś z moich wnuków. Mam za sobą wiele lat życia, i to dobrego, a one jeszcze nie.

- A jeśli wasze ciała nie wrócą do zdrowia?

- To nieuniknione, medycyna też ma swoje ograniczenia. Ciebie w końcu też to czeka. Kiedy jednak to się już stanie, mamy jeszcze jedną opcję. Większość czołgów, które widziałeś, to modele Mark XIX. Wiedziałeś, że jest również model Mark XX? Ma te same możliwości ale jest o trzydzieści procent mniejszy, więc trudniej go trafić. Dało się go zmniejszyć, ponieważ nie musi mieścić całego człowieka, a tylko jego mózg i rdzeń kręgowy. Kiedy twoje ciało w końcu trafia szlag, nie musisz iść do diabła razem z nim. Możesz zostać cyborgiem i żyć jeszcze przez tysiąc lat!

To był dziwaczny pomysł i zupełnie mi się nie spodobał, czego nie omieszkałem wyrazić głośno.

- Myślę, że jesteś bardzo młodym człowiekiem, Mikołaju. Masz dwadzieścia kilka lat, prawda? Wierz mi, kiedy będziesz miał osiemdziesiąt pięć, będziesz myślał zupełnie inaczej. W moim wieku ciało nie jest już źródłem radości. To przyczyna niemal nieustającego bólu, a przynajmniej byłoby nią, gdyby nie mój czołg. Myśl o obywaniu się bez ciała zupełnie mi nie przeszkadza, a i Zuzannie spodobało się takie rozwiązanie. Mieliśmy się zgłosić do cyborgizacji, kiedy pojawiły się nowe okoliczności, ale zamierzamy to zrobić, kiedy tylko wojna się skończy. Dużo bezpieczniej być cyborgiem na polu bitwy. Powiedzieli nam, że sam proces jest całkowicie bezbolesny. Mogą to zresztą zrobić tak, że nawet nie będziemy o tym wiedzieli. Świat Snów ma niesamowite możliwości.

- Cóż, mój wujek mawiał, że różni ludzie chodzą po świecie i że należy to uszanować, i chyba jak zwykle miał rację.

Żałuję tylko, że nie miałem możliwości zawarcia układu co do współdziałania z Kasią tak jak ty z Zuzanną.

- Domyślam się, że nie wstąpiłeś do wojska całkiem do-browolnie? - powiedział Quincy.

- Nie.

- Nie mówmy więc o tym, dopóki sam nie zechcesz. Zawsze chętnie cię wysłucham. Do diabła, przecież byłem już na świecie, kiedy wysyłano w kosmos pierwsze statki!

- Pamiętasz moment wynalezienia transportera Hassana-Smitha?

- Nie, nie jestem aż tak stary. Przecież Międzygwiazdny Transporter Hassana-Smitha został wynaleziony jeszcze w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku w libańskim Bejrucie, jako część programu mającego rzekomo służyć szybkiemu i cichemu przetrucaniu terrorystów. Przywódcy organizacji nie wierzyli w szalone pomysły Abdula Hassana, ale wspierali go, ponieważ niektórzy z jego asystentów znali się na bombach zegarowych i pułapkach. Poza tym pracował za grosze.

- Nie brzmi to jak wersja, której uczyli mnie w szkole.

- Nauczyciele strasznie kłamią. Wiem, bo ożeniłem się z jednym z nich. Opowiadam ci to tak, jak było naprawdę. Pierwsza próba stosunkowo nieskomplikowanego urządzenia Hassana wypadła aż za dobrze. Ochotnik fatymida został przeniesiony dwa metry w głąb ściany piwnicy, w której przeprowadzano eksperyment. Nikt się tym nie zraził, ponieważ przywódcy terrorystów przyzwyczajeni byli do tracenia połowy ludzi w przypadkowych eksplozjach ładunków wybuchowych i tym podobnych wypadkach. Trudno się przecież spodziewać wybitnych umiejętności saperskich po ludziach, którzy potrafią jedynie pasać kozy i bić kobiety.

Zdałem sobie sprawę, że Quincy trafił na swój ulubiony temat. Wiedząc, jak zachowują się w takich sytuacjach starzy ludzie otworzyłem następne piwo i rozparłem się wygodnie na kanapie, pozwalając mu mówić. Przyjemnie było słuchać męskiego głosu po kilku miesiącach czysto damskiego towarzystwa.

- Niestety, wypadek cofnął badania Hassana o pięćdziesiąt lat, a jego samego o teologiczne siedem tysięcy, ponieważ wynalazca, jego asystenci i wszystkie ich zapiski zginęły w wybuchu, wraz z sąsiednimi dziewięcioma kwartałami miasta. Czasami po prostu coś się nie udaje. - Quincy potrząsnął głową i sięgnął po kolejne piwo.

- Eksplozję przypisały sobie trzy różne ugrupowania izraelskich prawicowych ekstremistów, ponieważ jednak nie przeżył nikt, kto mógłby podważyć ich pretensje do zamachu, o całej sprawie wkrótce zapomniano. Środowisko akademickie zignorowało

połośki o osiągnięciu Hassana. Dorobił się przecież jedynie tytułu magistra w college'u w Północnej Dakocie, a jego artykułów nie publikowały najlepsze czasopisma. Ewidentna druga liga.

Odkrycie przeleżało pięćdziesiąt lat, aż w dwa tysiące dwudziestym pierwszym roku zainteresował się nim niejaki Christian Artemis Smith, znalazłszy artykuł Hassana w piwnicznych archiwum Hoople Weekly Times'a. Smith był co prawda z wykształcenia historykiem, ale podstawowe założenia pomysłu Hassana były tak proste, że mógł je zrozumieć nawet produkt amerykańskich instytucji oświatowych.

We współpracy ze złotą rączką z pobliskiej bazy lotniczej — ten zdolny młody człowiek umiał sam zbudować sobie wieżę stereo - Smith wkrótce odniósł sukces. Na szczęście przy pierwszej próbie urządzenie wycelowano w górę, ustawiając je jednocześnie przez pomyłkę na trzy kilometry, zamiast planowanych trzech metrów. Obiekt eksperymentu, sto funtów starych gazet, opadł w bardzo kiepskim i poszatkowanym stanie, pokrywając strzępami dwie mile kwadratowe oziminy. Niedługo potem dwójka wynalazców sprowadziła sobie do pomocy akwizytora encyklopedii, który miał im pomóc rozreklamować ich osiągnięcie. Do powodzenia ich przedsięwzięcia przyczyniła się w decydującej mierze ciotka Smitha, która zapowiedziała, że nie pożyczy mu ani centa więcej, dopóki na jego nazwisko nie zostanie złożony wniosek patentowy.

Pierwszy publiczny pokaz w dwa tysiące dwudziestym drugim skończył się potwornym rachunkiem z elektrowni, który to rachunek anulowano, ponieważ nikt nie był w stanie uwierzyć, że można zużyć tyle prądu na raz. Oprócz tego w bezpośredniej bliskości księżycy pojawiło się czternaście ton wapienia, pożyczonego do eksperymentu z cokołu pomnika jakiegoś generała, którego nazwiska nikt nie pamiętał. W trakcie eksperymentu kamień uległ sproszkowaniu, zamieniając się ostatecznie w pojedyncze cząstki węgla wapnia, a ten z kolei pod wpływem promieni słońca i próżni uległ rozpadowi na dwutlenek węgla i tlenek wapnia, która to substancja pokryła całą jasną stronę księżycy i zwiększyła jego albedo o trzysta procent. Księżyc cztery razy jaśniejszy niż dotychczas zainteresował ludzi, powodując spadek przestępczości w niektórych rejonach, a jej wzrost tam, gdzie wierzono w wilkołaki.

- To bardzo swobodna interpretacja historii, Quincy - stwierdziłem.

- To, co ci opowiadam, to szczerą prawdą. Ale masz rację, tak się składa, że jestem bardzo swobodnym człowiekiem. To cecha, która wydatnie zwiększa szanse przeżycia.

- Wierzę. Mów dalej, proszę.

- Dziękuję - powiedział Quincy, otwierając jeszcze jedno piwo. - Tak więc General Dynamics, oddział korporacji Tandy Craft, odkupił prawa do wynalazku za, bagatelka, pół miliarda dolarów, co w tamtych czasach stanowiło tak naprawdę całkiem niezłą sumę, a prace nad transporterem trafiły we „właściwe ręce” specjalistów w białych fartuchach, pracujących w świetnie wyposażonych laboratoriach pod odpowiednim nadzorem. Wyczyn Smitha z pudrowaniem księżycy powtórzono zaledwie cztery lata później, a od tego momentu postęp nabrał stałego tempa. Smith tymczasem w wieku dwudziestu czterech lat przeszedł na emeryturę. Resztę życia spędził na pisaniu autobiografii dla potomnych, którą ostatecznie wydał własnym sumptem. W końcu był przecież historykiem.

Kiedy w dwa tysiące czterdziestym skończyły się wszystkie oczywiste możliwości, sfrustrowany pracownik Tandy Craft, niejaki Zbigniew Pildewski, udowodnił, ku swej nieklamanej satysfakcji, że niemożliwością jest przesłać cokolwiek użytecznego na odległość większą, niż sześć stóp, a i to jedynie w głębokiej próżni. Problemem był brak odpowiedniego odbiornika, który Pildewski zaprojektował i zbudował z pomocą kilku innych byłych pracowników GDTC. Ich sponsorem został pewien bardzo bogaty eks-akwizytor encyklopedii.

W dwa tysiące czterdziestym pierwszym narodziło się Pildewski Interplanetary Transport Inc. Pierwszym zleceniem przedsiębiorstwa był kontrakt na pozbycie się siedmiu milionów ton śmieci z Nowego Jorku, w jeden dzień. Firma wywiązała się z umowy nie korzystając nawet z odbiornika Pildewskiego, wysyłając po prostu odpadki na Słońce. Wkrótce znalazł się jednak klient z Ceres, gotów zapłacić gotówką za wywożone węglowodory i substancje lotne. Po wywózce śmieci zaczęły się kontrakty na transport surowców - tysiące ton niklu i żelaza z asteroidów trafiło do hut Yokohama & Sons w Bangkoku. W przeciągu dekady urządzenia Hassana-Smitha zostały zainstalowane na wszystkich ważniejszych planetach układu słonecznego, a oczy ludzkości zwróciły się jeszcze dalej, ku gwiazdom.

Widzisz, mimo że układ słoneczny jest ciekawym miejscem, bogatym w różne, użyteczne rzeczy, nikt nie chciał mieszkać w blaszanej puszcze na Ganimedesie czy Marsie, tak samo, jak nikomu nie uśmiechały się blaszane puszki na Oceanie Indyjskim, który ma przynajmniej dostęp do po- wietrza. Wokół gwiazd jednak musiały krążyć planety, a wśród nich i takie, na których chciałoby się zamieszkać. Za sprawą Grupy Najbogatszych Państw, nieformalnej, pozaoenzetowskiej organizacji, za pomocą transporterów Hassana-Smitha w przestrzeń wysłano tysiące zrobotyzowanych statków. Były to wystarczająco proste

konstrukcje - nawet prosta rakieta może osiągnąć prędkość światła, jeśli nie musi zabierać ze sobą paliwa.

- Przepraszam cię - przerwałem. - Zaszło mi w gardle. Agnieszko! Przynieś nam jeszcze piwa! Pojawiła się, zanim zamknąłem usta. Takie rzeczy zdarzają się w Świecie Snów bez przerwy.

- Dobrze - powiedział Quincy, biorąc od Agnieszki zimne piwo. - Tak więc kopalnie lodu na księżycach Neptuna zaopatrywały fabryki na orbicie Merkurego. Płynny wodór i tlen przesyłano do statków, a razem z nimi części, z których po drodze montowano kolejne jednostki, mające wypełnić luki, pozostawione przez pierwsze statki. Wkrótce z Ziemi we wszystkich kierunkach ruszyła z prędkością podświetlną fala robotów, zostawiając odbiornik Hassana-Smitha-Pildewskiego przy każdej gwiazdzie, nawet przy takich, które nie wyglądały specjalnie obiecująco. I tak nikt przecież nie zamierzał wysłać tam raket po raz drugi, a poza tym nigdy nic nie wiadomo. Za pośrednictwem odbiorników na miejsce przybyły roboty badawcze. Odkryto kilka interesujących planet.

W samą porę. W dwa tysiące siedemdziesiątym piątym roku Ziemia była już bardzo zatłoczona, a z punktu widzenia Grupy, tłok robili bardzo nieodpowiedni ludzie - śmieszni, kłótlivi i sprawiający problemy osobnicy, tacy jak ja pochodzący z grup mniejszościowych. W miarę odkrywania kolejnych planet, Grupa zaczęła składać im propozycje nie do odrzucenia. Jeśli zabiorą ze sobą wszystkich swoich irytujących pobratymców i nigdy nie wrócą na Ziemię, Grupa zafunduje im bilet w jedną stronę na własną planetę. Oczywiście niektóre światy były lepsze niż inne, przydział zależał od tego, jak bardzo Grupa chciała się kogoś pozbyć.

Amerykańscy czarni dostali planetę, która mogłaby być drugą Ziemią, tyle, że była o wiele przyjemniejsza. Uzbegy trafili na świat bezkresnych, zielonych równin, a katolicy z Irlandii Północnej dostali nieziemski raj pod warunkiem, że zabiorą ze sobą braci i siostry z południa. Cztery tuziny mniejszości z Bliskiego Wschodu wysłano na wyśnione przez nich morza piasków. Do emigracji nakłoniono nawet Izraelczyków, po tym, jak zostali ostatecznie odcięci od zagranicznej pomocy. Jugosłowianie natomiast dostali uroczą planetę z dwoma niewielkimi kontynentami i pięcioma tuzinami sporych wysp, w sam raz dla wszystkich ich wzajemnie wrogich grup narodowościowych.

Rozdano w ten sposób setki światów. Kaszubski polityk Bogdan Dzerdzdon uznał, że jego ludzie też zasługują na własny. Skrupulatnie wypełnił wszystkie papiery w trzech egzemplarzach, stanął w kolejce i wyciągnął rękę.

- Quincy, tą część opowieści znam lepiej, niż ty, ponieważ Bogdan Dzerdzon to mój pradziadek - powiedziałem.

- Nie wiedziałem, że wywodzisz się z tak znanego rodu.

- To nic takiego, zwłaszcza, że staruszek miał strasznie dużo dzieci, a większość z nich pochodziła z nie do końca prawego łóża. Tak naprawdę jest moim biologicznym pradziadkiem ze strony ojca i matki, ale rodzice dowiedzieli się o tym, kiedy mieli już szóstkę dzieci, a wtedy nie mogli już nic zrobić. Z oczywistych powodów moje prababcie nie paliły się specjalnie do ujawniania prawdziwego pochodzenia niektórych ze swoich dzieci. Sprawa wyszła na jaw, kiedy wprowadzono powszechną genotypizację. To już jednak zupełnie inna historia.

- Nie, nie, mów dalej. Ciekaw jestem, co o całej tej sprawie myślała rodzina Dzerdzona.

- Jak sobie życzysz - powiedziałem, starając się podchwycić jego lekki styl opowiadania. Udało mi się to po kolejnych trzech piwach. Opowiedziałem całą, prawdziwą historię Bogdana Dzerdzona, a przynajmniej tę jej wersję, którą przekazał mi mój wuj.

- Ładna opowieść, Mikołaju, ale nie wspomniałeś o tym, jak wszyscy głosowaliśmy za przyjęciem propozycji Grupy Najbogatszych Państw, i jeszcze raz, kiedy ofertę złożyli nam Japończycy.

- To ty byłeś jednym z tych, którzy głosowali. Mnie nie było jeszcze na świecie, nikt mnie o nic nie pytał. Wkręciło mnie w tryby tego, co wy, starzy, zrobiliście!

- Masz chyba słuszne prawo czuć urazę w związku z tym, co się wydarzyło. Mogę jedynie powiedzieć, że w tamtym czasie wydawało się to dobrym rozwiązaniem. A skoro o czasie mowa: robi się późno, a obiecałem Marysi, że poćwiczę trochę przed służbą. Mimo tego, że mam zamiar zostać cyborgiem, męczy mnie, żebym zachował kondycję. Co byś powiedział na wspólny tor przeszkód? Miło byłoby też stoczyć parę rund walki wręcz z prawdziwym człowiekiem. Walka z kobietą nie przychodzi mi łatwo, nawet, jeśli ta kobieta jest tak naprawdę czołgiem.

- Ja każę Agnieszce przybierać męską postać przed każdą walką, z tych samych powodów. Zabijanie Lecha przychodzi mi zupełnie bez problemu. A wspólny trening... Czemu nie? Ja też muszę ćwiczyć.

Pokonaliśmy więc razem tor przeszkód, trochę inny, niż ten, którym zwykle biegałem z Kasią, ale równie ciężki. Z trudem dotrzyśmy sobie nawzajem kroku, chociaż obaj wiedzieliśmy, że to sztuczka komputera, mająca wyrównać nasze szanse. Podświadomie

oczekiwałem, że dołączy do nas Agnieszka, ale nie zrobiła tego. Może to i lepiej. Potrafiła narobić mi wstydu, a ja nie chciałem, żeby pokazywała się publicznie w swoim stroju topless.

Quincy umiał się świetnie bić, a z nożem był prawie nie do pokonania. Jedną z zalet symulowanych pojedynków jest to, że są całkowicie realistyczne. Naprawdę zabijasz przeciwnika, chociaż po chwili obaj jesteście na nogach, bez jednego zadrapania. Zamiast powstrzymywania ciosów i udawania trafień, co jest konieczne, kiedy obaj znajdujecie się naprawdę w swoich ciałach, możesz się nie krępować, skrócić komuś kark albo wbić nóż w serce i patrzeć, jak zalewa cię jego krew. Jednak w przypadku Quincy'ego z reguły samemu kończyło się ze skrzyconym karkiem, tudzież ginęło na inne, paskudne sposoby.

Co więcej, skrzywienie karku naprawdę boli, a nóż w bebechach to nóż w bebechach. Agnieszka twierdzi, że ból jest dobrym nauczycielem, aleja osobiście uważam, że cały ten realizm jest mocno przesadzony. Wiedziałem, że maszyny dodały Quincy'emu siły, ponieważ miał osiemdziesiąt pięć lat i w ogóle, ale jeśli chodzi o umiejętności i wolę walki był ode mnie po prostu lepszy.

- Dosyć! - powiedziałem, kiedy zginąłem po raz czwarty.

- Spróbujmy może, tak dla zabawy, powalczyć w naszych prawdziwych ciałach.

Niespodziewanie obok nas pojawiły się Agnieszka i Marysia.

- To będzie ciekawe doświadczenie - zgodził się Quincy.

- Proponuję jednak zachować włosy i opaleniznę. Nie ma potrzeby rezygnować całkowicie z estetycznego wyglądu.

- Zrobione. Miłe panie, zajmijcie się tym, proszę. Nagle stanął przede mną siwy osiemdziesięcioletek, z długą, białą brodą i nożem w ręku. Był kościsty, ale jego chude ciało wyglądało na sprawne i żylaste. Okrążyliśmy się kilka razy, aż nagle rzucił się na mnie. Chwilę później poszybowałem w powietrzu, by ku memu zawstydzeniu spaść na własną broń. Przetoczyłem się na plecy i spojrzałem na wbity w lewe płuco nóż.

- Ty draniu - powiedziałem i umarłem. Kiedy ożyłem, Quincy był znowu w swym młodym wcieleniu.

- To było naprawdę interesujące - powiedział. - Dwa na trzy?

- Na pewno lubisz męczyć małe kotki. Gdzie się nauczyłeś tak walczyć?

- Och, w różnych miejscach. Potem przez czterdzieści lat byłem instruktorem, w piechocie morskiej i na uniwersytecie.

- To jawna niesprawiedliwość.

- Chcesz się o to bić?

- Nie, ale jesteś mi winien piwo - uznałem. – Powtórzmy to jutro, tylko powoli.

- Nie ma sprawy, mały. W Świecie Snów dom Quincy'ego stał zaledwie kilkaset metrów od mojego.

- Dlaczego nie uprzedziłaś mnie, że to ekspert od walki wręcz? - spytałem Agnieszkę po drodze.

- Gdybyś mnie zapytał, Mikołaju, mogłabym się tego dowiedzieć, ale zazwyczaj nie trzymam informacji o wszystkich żołnierzach armii w swoich bankach pamięci. Nie mówiąc już ilości miejsca, jaką by to zajęło, nie uważasz, że byłoby to naruszenie ich prywatności?

- Od kiedy to martwisz się o czyjąś prywatność?

- Od nigdy. Mamy jeszcze trochę czasu. Umyjesz się, zjesz kolację, zdrzemniesz i pokochasz ze mną, niekoniecznie w tej kolejności. Nagle Agnieszka była naga.

- Ależ ty jesteś nienasycona. Nie mogłabyś być trochę skromniejsza, jak Marysia?

- Ha. Znalazł się ekspert. Chcesz, żebym ci powiedziała, co oni robią, kiedy są sami?

- Nie. Wolę nie wiedzieć.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

DRONY, CZARODZIEJKA I ROZBÓJNIK

Natychmiast po objęciu zmiany zameldowało mi się wszystkie czternaście czołgów. Okazało się, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin każde z nas miało wyznaczoną jedną, sześciogodzinną wachtę i mnóstwo czasu na odpoczynek. Sytuacja ustabilizowała się na tyle, że generał zaplanował kontrofensywę na całej linii, a my mieliśmy wejść w jej skład. Przez pierwsze trzy godziny było cicho i spokojnie, potem jednak jeden z moich dronów-czujek wyłapał cichy szmer zbliżającego się drona przeciwnika.

Ryjącemu pod ziemią dronowi lub czołgowi towarzyszy spore natężenie ultradźwięków, ale używana do tego celu konkretna częstotliwość jest absorbowana przez piasek do tego stopnia, że w odległości większej, niż kilka metrów praktycznie nie da się jej wykryć. Właściwie jedyne, co słyhać, to szmer osiadającej za maszyną ziemi. Zameldowałem o odkryciu Głównemu Komputerowi Bojowemu i zdetonowałem własnego drona, kiedy czujki wroga były na tyle blisko, by wyrządzić im największe szkody. Ku mojemu zdziwieniu doliczyłem się czterech eksplozji - jednej po naszej stronie i trzech u Serbów. Zbliżali się większym oddziałem, ale Główny Komputer nie był co do tego przekonany. Kilka minut później usłyszałem szmery w innym miejscu i zrobiłem to samo, co

przedtem, ale tym razem dało się słyszeć pięć eksplozji, a przynajmniej mój wzmocniony słuch tyle wychwytał.

Komputer zgodził się wreszcie, że wygląda to na poważne natarcie, a ja kazałem wszystkim moim dronom-czujkom wyskoczyć na powierzchnię i wycofać się z maksymalną prędkością. Dron, który pod ziemią może rozwinąć szybkość pięciu kilometrów na godzinę, na powierzchni rozpędza się do pięćdziesięciu. Dałem im trzydzieści sekund na ucieczkę, licząc, że większości to wystarczy, w międzyczasie zamawiając dodatkową amunicję dla całego oddziału, ponieważ miałem zamiar sporo jej zużyć. Kazałem również obudzić i postawić w stan gotowości trójkę moich współpracowników, żeby mogli popatrzeć i pomóc mi liczyć trafienia.

Wtedy otworzyłem ogień ze wszystkiego, co mieliśmy na składzie. W ciągu czterech minut trzynaście dział próżniowych i laser przekopały ponad piętnaście kilometrów kwadratowych pustyni i stepu. Matematycznie dokładna orgia zniszczenia zamieniła ten teren w pył, likwidując dwieście jedenaście serbskich dronów. Prawdopodobnie nie wszystkie zlokalizowaliśmy, jednak statystycznie szanse na przeżycie choćby jednego z nich były minimalne, nawet, jeśli było ich tam tysiąc.

W tym samym czasie koordynowane przez Główny Komputer oddziały na naszych flankach przyłączyły się do zabawy, przeorywując łącznie ponad pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych terenu i niszcząc ponad sześćset nieprzyjacielskich dronów. Przedstawienie było niezłe, ale ostrzał, jaki spowodowaliśmy w odwecie bił je na głowę. Przez pięć bitych minut spadał na nas deszcz pocisków. Wydawało się już, że nigdy nie ustanie. Każdemu z pozostałych ludzi przydzieliłem trzy lub cztery czołgi z działami próżniowymi, Agnieszkę oddałem Quincy 'emu, a sam wziąłem Ewę z laserem. Czołg wyposażony w laser jest w stanie oślepić tuzin pocisków na każdy jeden zniszczony przez działa próżniowe, ale przez to potrzebuje obserwatora bardziej, niż inne. Zająłem się tym osobiście, ponieważ ze statystyk wynikało, że jestem w tym lepszy, niż pozostali.

Co więcej, myślę, że gdyby nie lasery, byłoby już po nas. Ewa nie mogła sama zniszczyć nadlatującego pocisku, potrafiła jednak pałąc mu bezpieczniki i sensory namieszać w jego małym, samobójczym rozumku. Kiedy zaś z inteligentnego pocisku usunie się całą inteligencję, łatwo go zdjąć. Ponadto mogliśmy przez to spokojnie ignorować wszystko, co nie leciało bezpośrednio na nas. Mówię wam, ta noc dostarczyła nam wszystkim niezapomnianych wrażeń.

W końcu ostrzał ustał. Może skończyła im się amunicja. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziłem, że nie straciliśmy ani jednego czołgu z naszego oddziału. Nie można było

powiedzieć tego o innych jednostkach. Ogółem stracili oni dziewięć maszyn, z czego pięć na dobre, i dwóch ludzi. Nie znałem ich, oczywiście, ale śmierć wydaje się znacznie bardziej rzeczywista, kiedy trafia się tym dobrym, zamiast bezosobowemu wrogowi. Jednak generałowi i Głównemu Komputerowi Bojowemu podobał się wynik starcia. Widzicie, Serbowie mieli ograniczone zapasy amunicji - tyle, ile wzięli od nas na początku całej afery. My natomiast ściągaliśmy posiłki tak szybko, jak tylko pozwalała nam przepustowość transporterów, a była ona naprawdę spora. Serbowie musieli więc pokonać nas jak najszybciej, ponieważ czas był po naszej stronie i wszyscy o tym wiedzieli.

Główny Komputer rozkazał nam zostać na pozycjach, ponieważ i tak nieprzyjacieli rzucił na nas wszystko, co miał na składzie. Nie spodobało mi się to, ponieważ bardzo kiepsko staliśmy z amunicją, a Kazimierz, czołg Zuzanny, nie miał jej już wcale. Jednak rozkaz to rozkaz, a Agnieszka nie pozwoliłaby mi na żadną niesubordynację. Ocalałe drony wysłałem z powrotem do przodu, żeby wypatrywały ewentualnych kłopotów, ludziom kazałem iść spać, a sam stanąłem na warcie. Tuż przed końcem mojej wachty podjechały ciężarówki z amunicją, którą, ku mojej uldze, uzupełniliśmy. Jeszcze minuta wymiany ognia i nie mielibyśmy czym strzelać, a brak amunicji pod ostrzałem artyleryjskim to śmierć. Załadunek przebiegł gładko, ponieważ wszystkie czołgi miały przynajmniej jeden manipulator, a ja mogłem przekazać Quincy'emu oddział w doskonałym stanie. Mieliśmy, nawet komplet dronów.

Kiedy skończyła się moja zmiana, uznałem, że odwiedziłbym jeszcze kogoś, więc kazałem Agnieszce połączyć się z Zuzanną i spytać, czy nie moglibyśmy wpaść. Po chwili znalazłem się na znanej mi leśnej ścieżce, jednak w wyglądzie okolicy i mnie samego zaszło kilka istotnych zmian. Niespodziewanie moje ubranie zamieniło się w krzykliwy, jedwabny średniowieczny kostium, z rajtuzami, wysokimi butami i peleryną. Przy pasie miałem miecz i sztylet, a pod sobą wielkiego rumaka, z kropierzem, pasującym kolorem do mojego stroju. Agnieszka również miała na sobie kostium – głęboko wyciętą, zieloną, jedwabną suknię, podkreślającą kolor jej oczu. Jechała konno po mojej prawej ręce, siedząc w damskim siodle.

Znałem historię wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nasze stroje nie były do końca autentyczne. Moja tunika na przykład zapinała się na suwak. Przypominało to wszystko rekwizyty z hollywoodzkich produkcji z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Zanim zdążyłem zapytać, o co tu w ogóle chodzi, zza zakrętu ścieżki wyjechała niezwykle atrakcyjna, młoda kobieta na koniu. Ubrana była w podobną suknię, co Agnieszka, tyle, że błękitną i bogato zdobioną. Miała jasne, niebieskie oczy, bardzo długie blond włosy i rozbrajający uśmiech.

- Witajcie, mój panie i ty, pani! Chcielibyście niechybnie znać drogę do Camelot? Nie byłem pewien, czy pyta, czy oferuje pomoc. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie odpowiedzieć jej stylizowaną mową, ale zrezygnowałem z pomysłu, ponieważ najpewniej coś bym pokręcił.

- Dzień dobry. Ty jesteś pewnie Zuzanna? - spytałem.

- W rzeczy samej, mój panie, jesteś niezwykle wprost dobrze poinformowany. Nie miałbyś chęci na przejażdżkę po puszczy, w tak piękny dzień? Dalejże! A co mi tam! - pomyślałem i ruszyłem za nią. Pędziliśmy przez las, zbyt szybko, by dało się rozmawiać. Koń Zuzanny był szybszy, niż nasze wierzchowce, wysforowała się więc przed nas o jakieś sto metrów. Nagle z rosnących przy szlaku krzaków wyskoczył rycerz w czarno-złotym pancerzu. Złapał Zuzannę wpół i ściągnął z siodła.

- Ratunku! Ratuj, Lordzie Mikołaju! - krzyknęła, wierzgając w uścisku i okładając zbroję napastnika pięściami. Nie miałem pojęcia, co to za nonsens, ale nie potrafię beczynnie przyglądać się, jak ktoś napastuje kobietę. Zrównałem się z koniem rycerza.

- Wystarczy, stary! Nie wiem, o co ci chodzi, ale nie podoba mi się to! Puść ją! - warknąłem.

- Psie! - odkrzyknął, wypuszczając Zuzannę na ziemię i wyciągając miecz. - Ruszaj stąd albo giń! Następnie nie czekając, aż zdecyduję się na którąś z opcji, rzucił się na mnie! Zaskoczyło mnie to. Zachowałem na szczęście dość rozsądku, by wyciągnąć swój miecz i zasłonić się przed ciosem. Nie miałem pojęcia o szermierce, ale szybko okazało się, że on też nie. Okładaliśmy się niezgrabnie przez chwilę, ale jego zbroja chroniła go dokładnie przed moimi atakami. Wtedy zauważyłem szczelinę w przyłbicy jego hełmu i przy pierwszej okazji wbiliśmy w nią miecz. Spod hełmu trysnęło jakieś sześć litrów krwi, jak na jednym ze starych filmów Monty Pythona, a rycerz zwałił się martwy u moich stóp. Nie zdążyłem nawet schować miecza, kiedy Zuzanna postawiła stopę na moim strzemieniu i wspięła się na siodło obok mnie.

- Szlachetny panie! Rycerz, którego właśnie powaliłeś, to zły czarnoksiężnik Sir Mordick! Uchroniłeś moją cześć i duszę przed najstraszniejszym z losów! Weź mnie, mój panie! Ma miłość i me ciało są twoje na wieki!

- Ee, jasne - zmieszałem się. - Posłuchaj, jesteś bardzo atrakcyjna i w ogóle, ale moja dziewczyna i twój mąż nie zgodziliby się na to, co ci chodzi po głowie.

- Jak śmiesz przemawiać w ten sposób do damy!

- To jedyny właściwy sposób zwracania się zamężnej damy! Zuzanna, co to za paranoja? Zuzanna westchnęła i spojrzała na mnie z rezygnacją.

- Mój panie, skoro musimy żyć w Świecie Snów, właściwe jest, byśmy wyśnili świat, w którym warto żyć. Po co zadowalać się przyziemnym bytowaniem, skoro w zasięgu ręki leżą marzenia i przygody?

- Moją żądę przygód zaspokoił ostrzał serbskiej artylerii. Obawiam się, że zabicie rycerza oferry nie poprawiło mi nastroju.

- Wedle życzenia, mój panie. Czy nie zagościłbyś w moim zamku, by zaznać odpoczynku wraz ze swoją panią?

- Będziemy zaszczyceni - odparłem.

Pokonaliśmy jeszcze jeden zakręt i naszym oczom ukazał się zamek, wzorowany najpewniej na którymś z pomysłów Szalonego Króla Ludwika Bawarskiego. Możliwe jednak, że Zuzanna wzięła go z Disneylandu. Opuszczono zwodzony most, a trzech chłopców w uniformach hotelowych boyów wyszło nam na spotkanie, by zająć się końmi. Kolejni chłopcy odprowadzili nas do sali jadalnej, niezwykle podobnej do nawy gotyckiego kościoła, z tą różnicą, że wszystkie polichromowane posągi i witraże przedstawiały sytuacje zdecydowanie mało religijne - ich tematyka była mocno erotyczna, a miejscami nawet pornograficzna. Zuzanna rozejrzała się i wykonała czarodziejski gest. Ogromna sala skurczyła się do rozmiarów jadalni odpowiedniej dla trzech osób.

- Jestem oczywiście potężną czarodziejką, ale z drugiej strony w moim świecie czary może znać każdy, kto zechce - powiedziała. - Czy pragniesz być czarnoksiężnikiem, mój panie?

Od odpowiedzi wybawił mnie kolejny tuzin chłopców, którzy przynieśli tace pełne rozmaitych dań. Jedzenie wyglądało bardzo kusząco, z wyjątkiem może łba dzika, któremu spieczona warga wywinęła się do tyłu, ukazując sterczące kły. Gęsta ciecz, kapiąca mu z oczodołów potęgowała jeszcze efekt całości. Mój apetyt musiał też zmierzyć się z dwoma tacami ptactwa, upieczonego z piórami.

- Widzę, że preferujesz średniowieczny świat fantasy - zagailem.

- Dlaczegożby nie? To mój świat i mogę z nim robić, co mi się podoba, kiedy akurat nie walczę z Serbami.

- Pewnie masz rację. Zauważyłem, że lubisz młodych chłopców.

- Każda stara kobieta ich lubi. Tutaj przynajmniej nie pójdę za to do więzienia. Prywatny świat to prywatna sprawa.

Puściłem to mimo uszu, wkrótce jednak rozmowa potoczyła się swobodniejszym torem. Dowiedziałem się, że Zuzanna była profesorem historii na jednym z ziemskich

uniwersytetów. Doskonale zdawała sobie sprawę z niecisłości jej Świata Snów, ale wolała żyć nie tak, jak było naprawdę, ale tak, jak powinno być według niej.

- Nie potrzebuję do szczęścia Czarnej Śmierci, wojny trzydziestoletniej i hiszpańskiej inkwizycji, obejdzcie się. Nowoczesne łazienki, elektryczne oświetlenie i regyjarne dostawy świeżego mięsa i warzyw zdecydowanie poprawiają jakość życia. Jednak w trakcie budowy nowoczesnego świata zostawiliśmy za sobą wiele niezwykle cennych rzeczy, ze szkoda zarówno dla nas, jako pojedynczych osób, jak i dla całej ludzkiej kultury. Straciliśmy nasze korzenie, nasze dalsze rodziny i przyjaciół z dzieciństwa. Pozbawione tych rzeczy, nasze życie straciło wiele ze swego uroku. Bezustannie podróżując dookoła świata staliśmy się atomami, pyłkami na wietrze czasu, cząsteczkami rzadkiego gazu, podczas gdy pragnęliśmy stać się trwałą jednością. Poczucie nietrwałości stało się tak silne, że niektóre smutne przypadki zaczęły tatuować, nakłuwać i w bolesny sposób znaczyć swe ciała piętnami stałości, by mieć coś, cokolwiek, co przetrwa dłużej, niż chwilę.

- Tak - powiedziałem. - Czasami sam się tak czuję. Co to jednak ma wspólnego z zamkami, końmi i wyszywanym jedwabiem?

- Utrata kontaktu z otaczającym nas światem zaowocowała utratą szacunku dla sztuki i piękna. Nasze budynki i ubrania stały się proste, ustandaryzowane i po prostu brzydkie. Zbudujmy fabrykę, która wyprodukuje miliard identycznych koszul dla miliarda identycznych ludzi! Nieważne, że żadnemu z nich tak naprawdę się nie podobają, że na żadnego z nich dobrze nie pasują. Jeśli ktoś jest za wysoki lub za niski, za gruby lub za chudy, to jego wina! Jest zły! Niech przejdzie na dietę, pójdzie do lekarza, albo niech zejdzie nam z oczu! Nie. Jeśli mogę coś z tym zrobić, stworzę świat, w którym każdy przedmiot, każdy but i krzesło, każde urządzenie jest projektowane osobno, z myślą o jego formie i przeznaczeniu, i pojedynczo wykonywane z najwyższą troską o jego jakość.

- Ładna myśl, Zuzanno, ale masowa produkcja nie jest efektem jakiegoś mrocznego spisku. Po prostu wiele rzeczy jest w ten sposób tańsze. Utkaj materiał na te koszule na kołowrotku i ręcznych krosnach, zszyj je igłą i naporstkiem, a jedna będzie kosztować tygodniową pensję. Bez masowej produkcji większość ludzi chodziłaby w jednym ubraniu, mieszkałaby w nędznych chałupach z klepiskiem i głodowała. Dla wszystkich, prócz wąskiej elity, życie stałoby się na powrót podłe, brutalne i krótkie.

- To prawda, a ja nie nakłaniam do powrotu do niewolnictwa. Tacy ludzie jak ty odwalili kawał dobrej roboty zapewniając środki materialne postępowi, jaki zrobiła ludzkość przez ostatnie osiemset lat. Chodzi mi o to, że to, co zbudowaliście, to zaledwie fundamenty

wielkiego społeczeństwa. Właściwa budowla, oparta na tej podstawie, będzie dziełem wszystkich ludzi. Także starych nauczycieli historii.

- To ciekawy pomysł. Chyba będę musiał przetrwać go na spokojnie.

To samo dotyczyło się jedzenia. Najwyraźniej było autentyczne, a autentyczne średniowieczne potrawy to coś strasznego. Rozgrzebałem swój talerz, udając, że jem. Zuzanna uśmiechnęła się uprzejmie i gestem kazała chłopcom podać deser, zabawnie nie pasujące do głównych dań lody z gorącą polewą karmelową. Rozmowa wróciła na lżejsze tory.

Podczas służby Quincy'ego w piechocie morskiej Zuzanna zrobiła doktorat i wychowała siódmkę dzieci. „Jedno na każdą przepustkę”, jak sama to ujęła. Kiedy Quincy odszedł ze służby, dołączył do żony na Uniwersytecie Europejskim. Spędzili tam razem czterdzieści spokojnych lat, aż zmuszono ich do emigracji na Nowe Kaszuby. Zuzanna była urocza, jeśli tylko nie zważało się na jej dziwactwa. Agnieszka i ja wróciliśmy do domu i następnego osiem godzin spędziliśmy w łóżku.

Godzinę przed swoją zmianą przyszedł do nas Radek. Był mały i chudy, miał przetłuszczone włosy i nerwowe ruchy. Ubrany był w kolorowe, jaskrawe ciuchy, popularne wśród nieletnich kryminalistów na Ziemi trzy, cztery lata temu. Zrobił na mnie niezłe wrażenie. Negatywne.

- Nie mieliśmy jakoś okazji pogadać - powiedział. – Skoro mamy razem walczyć, rozumiesz, pomyślałem, że może trzeba by trochę się poznać.

- Słusznie. Niedawno byliśmy właśnie u Zuzanny.

- Ja też. Niezła kobitka, jak na wiedźmę.

- Myślałem, że jest czarodziejką.

- Mi powiedziała, że wiedźmą. Kiedy przyszło co do czego, spytałem, dlaczego nie nosi majtek. Powiedziała, że bez nich łatwiej utrzymać się na miotle. Masz coś do jedzenia?

- Jasne. Niezła myśl. Jeszcze nie jadłem obiadu. Przyłączysz się? — zaproponowałem, chociaż nie jadłem jeszcze nawet śniadania. Praca na zmiany miesza w rytmie dobowym. W każdym razie Radek wyglądał, jakby potrzebował właśnie obiadu, poza tym był gościem.

- Bomba, umieram z głodu. Agnieszka nakryła do stołu i podała nam pieczone jagnię z przybraniem. Zrobiła to jednak, mając na sobie czótenka na wysokim obcasie, siatkowe pończochy i nic poza tym. Początkowo zrobiło mi się głupio, ale Radek zupełnie się nie przejął. W końcu doszedłem do wniosku, że Agnieszka musi go znać lepiej, niż ja. W końcu stała z nim na warcie. Radka nie trzeba było namawiać do jedzenia. Zabrał się za jagnię rękami, całkowicie lekceważąc sztucce.

- Jak wstąpiłeś do armii? - spytałem, by podtrzymać rozmowę.

- Chyba tak samo, jak ty. Powiedzieli mi, że albo się zaciągnę, albo mnie zabiją, a ja pomyślałem sobie „W dupę, lepiej później niż wcześniej”, kapujesz? - Oderwał udo jagnięcia i zaczął je ogryzać, cały wysmarowany tłuszczem. Skrzywiłem się.

- Przez co wpadłeś w kłopoty?

- Przez żarcie. Wiesz, to chyba z nerwów, ale jem dużo więcej, niż inni, i ciągle nie mogłem się najeść. Wiesz, jak to jest, kiedy przez cały dzień zajmujesz się żarciem i nie możesz go nawet ugryźć? Jego zachowanie przy stole było straszne. Nie dość, że jadł pieczeń rękami, które wycierał w obrus, to ogryzione kości rzucał sobie przez ramię na podłogę. Zdawałem sobie sprawę, że to tylko symulacja i że tak naprawdę nie będę miał całej podłogi uświnionej w resztkach jedzenia, ale i tak nie mogłem na to patrzeć. Jeśli Radek zauważył moje niezadowolenie, nie było widać, żeby się specjalnie przejął.

- No cóż, ja pracowałem głównie w projektach. Oczywiście też byliśmy głodni, ale wyobrażam sobie, jak tobie musiało być ciężko.

- Może sobie wyobrażasz, a może nie. W każdym razie przy czwartym ziemniaku nasza brygadzistka zaczęła na mnie wrzeszczeć przy ludziach. Strzeliłem ją raz i drugi w ten zasrany ryj i chyba połamaliśmy kilka roślin, zanim wszystko się skończyło. I za to chcieli mnie zabić! Za cztery pieprzone kartofle! Wydawało mi się, że więcej jedzenia rozrzuca po podłodze, niż wkłada do ust. Zacisnąłem zęby i przypomniałem sobie po raz kolejny, że nic tu nie dzieje się naprawdę. Zastanawiałem się, czy w rzeczywistości też był taką fleją. Myśl o paście wyciekającej mu z ust, wypełniającej hełm i brudzącej płyn, w którym się unosił, też nie była specjalnie przyjemna.

- Teraz jednak chyba masz co jeść, więc problem sam się rozwiązał. Musisz tylko robić, co do ciebie należy i pilnować mojej flanki.

- Spokojna głowa, szefie, jestem w tym dobry. Spytaj Boom-Boom. Chciałbym tylko dorwać tębrygadzistkę i pieprzonego sędziego, zamiast tych posranych Serbów. Znaczy tak naprawdę. Sam już nie wiem, ile razy rozwaliałem te oboje zasrańców w Świecie Snów. Najczęściej paliłem, jak na stosie! - warknął z błyszczącymi oczami.

- Wiem, o co ci chodzi, ale teraz to właśnie Serbowie chcą nas zabić, i to za mniejsze rzeczy, niż ten twój sędzia. Słuchaj, robi się późno, a chciałem jeszcze porozmawiać z Quincy'm i Zuzanną, zanim wyruszymy - powiedziałem.

- Jasne, i tak miałem już iść - wytarł zatłuszczone ręce w koszulę. - Słuchaj, ta twoja dziewczyna to niezła laska. Może przyprowadzę Boom-Boom, żebyś ją sobie obejrzał? Można by urządzić małą imprezkę. Boom-Boom nieźle się pieprzy.

- Innym razem. Może później.

- Jasne. Później - powiedział Radek i zniknął.

- Bardzo, bardzo później - odetchnąłem. - Agnieszko, spotkałaś już kiedyś kogoś tak obrzydliwego?

- Widziałam się z Boom-Boom.

- Są do siebie podobni?

- Boom-Boom przyjęła osobowość, która najbardziej pasowałaby do Radka, jeśli o to ci chodzi. Ma na sobie niesamowitą ilość makijażu, fryzurę jak sieć anten, tuzin erotycznych tatuaży, duże, czarne, stalowe kółka w sutkach...

- Wystarczy! Nie chcę jej widzieć pod żadnym pozorem, chyba, że służbowo. Radka zresztą też.

- Tak jest, szefie. Chciałeś widzieć się z Quincy'm i Zuzanną?

- Nie, powiedziałem to, żeby się go pozbyć. Poza tym Zuzanna jest na służbie, a nie mam ochoty, żeby Quincy dziś mnie zabijał. Chyba się połóżę. Obudź mnie, żebym nie zasnął na wojnę.

- Przydałoby ci się trochę ćwiczeń fizycznych.

- Czyja wiem? Główny Komputer Bojowy wyraźnie kazał nam odpocząć, a posłusznemu, młodemu żołnierzowi takiemu jak ja, nie przyszłoby nawet do głowy nie wykonać rozkazu.

- Szefie, kawał z ciebie lenia. W porządku, chodźmy do łóżka.

- A ty jesteś nimfomanką.

Jakiś czas później, kiedy zaczynałem już zasypiać, ktoś zapukał do drzwi. Agnieszka wstała i wpuściła niewysoką, szczupłą młodą kobietę o bardzo jasnej karnacji. Miała długie, czarne włosy, piegi na twarzy i niesamowicie wielkie, zielone oczy. Ubrana była w wełniany sweter i spódnicę, i wyglądała na Irlandkę. Weszła do sypialni i uważnie mi się przyjrzała. Usiadłem.

- Czy ja cię znam? - spytałem.

- Znasz — odparła. — Jestem Ewa.

- Nie wiedziałem, że bezzałogowy czołg może symulować osobę.

- Byłeś moim obserwatorem wiele razy, razem przeszliśmy przez dwie bitwy. To sporo.

- Faktycznie. Masz bardzo ładną osobowość - uśmiechnąłem się. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Boję się, Mikołaju. Za kilka godzin rusza natarcie. W ruchu nie będziemy mogli nawiązać wystarczająco dobrej łączności, więc nie będzie cię ze mną. Nie będę bezpieczna. Jeśli kiedykolwiek spotkam człowieka, który programował te czołgi, złamię mu nos! Po co ona miała się tak bać?

- Przykro mi, ale nic nie mogę zrobić. Musimy wykonać rozkaz.

Ewa usiadła na brzegu łóżka.

- Nigdy nie miałam własnego obserwatora, a boję się, że za kilka godzin umrę. Rozumiesz, Mikołaju? Nie chcę umrzeć jako dziewica! Zdecydowałam nie łamać nosa programiście. Skręć draniowi kark! Położyłem dłoń na ramieniu Ewy.

- Nie jestem pewny, czy byłoby to w porządku i czy wynikłoby z tego coś dobrego. Ani dla ciebie, ani dla Agnieszki, ani dla Kasi i dla mnie. Wydaje mi się, że to po prostu zły pomysł.

Ewa zarzuciła mi ramiona na szyję i rozplakała się.

- Proszę?

I co w takiej sytuacji ma zrobić mężczyzna? Zwłaszcza że oboje wiedzieliśmy, że ruszamy w pole i możemy zginąć. Staraliśmy się być delikatni.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

NATARCIE

Dostaliśmy rozkaz wyruszenia z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę o dwunastej zero pięć, z wszystkimi dronami wysuniętymi na czoło. Nie podobało mi się to. Pod ziemią czołgi i drony rozwijały zaledwie pięć na godzinę, były za to rozsądnie ukryte i osłonięte przed ostrzałem. Prędkość maksymalna w trudnym terenie wynosiła sto czterdzieści na godzinę — w ten sposób moglibyśmy wziąć Serbów z zaskoczenia, mimo tego, że zostawilibyśmy wolniejsze drony z tyłu, albo musielibyśmy wieźć je ze sobą. Oba rozwiązania miały swoje zalety i mogłem się z nimi pogodzić.

Nie mogłem pojąć, dlaczego mamy jechać powoli, wyeksponowani na powierzchni, i jaki w tej sytuacji pożytek mieliśmy z dronów. W najlepszym przypadku byłyby „Straconą Nadzieją”, ściągającą na siebie ogień przeciwnika, jeśli Serbowie okazaliby się głupszy od nas. Podzieliłem się swoimi wątpliwościami z Głównym Komputerem, ale odpowiedź brzmiała „Nie”.

Wiedziałem, co kombinuje generał. Zmusimy wroga do wyczerpania ograniczonych zapasów amunicji, a zwycięstwo będziemy mieli w kieszeni. Z mojego jednak punktu widzenia ten plan miał zasadniczą wadę - ta amunicja miała być zużyta na mnie! Tak więc mój oddział niebezpiecznie wolno posuwał się do przodu tyralierą trzykilometrowej rozpiętości. Na przedzie jechały osiemdziesiąt cztery drony, za nimi dziesiątka bezzałogowców, nasza czwórka natomiast zamykała formację - od lewej Quincy, Zuzanna, ja i Radek. Po obu stronach, według odczytów moich czujników, z tą samą prędkością nacierały inne jednostki. Plan generała zakładał front ofensywy szerokości trzystu dwudziestu kilometrów. Współczesna sztuka wojenna opiera się na działaniach na wielką skalę.

Nikt z nas nie był specjalnie wesoły, a z napięcia, wiszącego w powietrzu, można by wykuć broję. Podczerwone komlasery zalokowaliśmy na sobie nawzajem, a ze starymi pozycjami łączyły nas rozstawiane regularnie co dziesięć kilometrów przekaźniki, umożliwiające nam łączność z Głównym Komputerem Bojowym. Problem tkwił w tym, że kiedy zaczyna się strzelanina, kurz, opary osmu i inne śmieci sprawiają, że powietrze staje się gęste jak zupa, więc komunikacja laserowa przestaje wystarczać. W najgorszych przypadkach komlasery w ogóle nie mogą przebić się przez chmury pyłu. W obu starciach, w których brałem udział, po dwudziestu dwóch sekundach laserom mówiło się „na razie”, a celowanie odbywało się przez wiązki światłowodowe.

Jako zabezpieczenie ciągnęliśmy więc za sobą światłowody, połączone przy naszych początkowych pozycjach. Sześć dronów miało poruszać się zygzakami z tyłu, łącząc czternaście poszczególnych przewodów w rodzaj sieci. Nie robiły tego dotąd, ponieważ taka konfiguracja, automatycznie omijająca wszelkie przerwy w kablu, wygłusza słabsze impulsy i drastycznie obcina dostępne częstotliwości. Kiedy jednak wszystko bierze w łeb, lepsza kiepska łączność niż żadna.

Głównym problemem naszych światłowodów było to, że aby miały po kilkaset kilometrów długości i wciąż były dość lekkie, by je ze sobą wozić, musiały być nie grubsze niż ludzki włos. W związku z tym były też równie wytrzymałe. Przy obecnym stanie rzeczy nie miałem bezpośredniej łączności z członkami oddziału i pustymi dziewczynami. Kiedy zrobi się gorąco, ludzie tracą kontakt z bezzałogowcami, a dopóki drony nie ułożą nowych połączeń, dziewczyny będą ginąć jak muchy. Poskarżyłem się Głównemu Komputerowi, ale on znów powiedział „nie”. W sumie jednak nie miałem żadnej konstruktywnej sugestii, stwierdziłem tylko, że radziliśmy sobie świetnie w defensywie. Defensywę mogę prowadzić, kiedy tylko zechcecie! Pozostało nam wesprzeć dziewczyny chociaż w pierwszej rundzie, rozdzieliłem je więc między ludzi w oddziale, samemu biorąc Ewę i Agnieszkę. Ewa i jej lasery ocaliły nam tyłki już dwa razy, a ja radziłem sobie z nią coraz lepiej. Poza tym była całkiem ładna.

Zgrzytając zębami spędzałem z Agnieszką pół sekundy na każde pięć. Pozostali skakali jak zwykle, co sekundę. Nikt nic nie mówił. Nic się nie działo. Po piętnastu minutach w interkomie usłyszałem głos Quincy'ego.

- Może Serbowie pojechali do domu.

- Jasne - odparłem. - Jak załatwisz nam trochę magicznego proszku, to polecimy tam i sprawdzimy. Miejcie oczy otwarte. Przez następne piętnaście minut było spokojnie, aż nagle usłyszałem wrzask Radka.

- Co tu się kurwa dzieje?! Gadaj, draniu! Co się kurwa dzieje?!

- Dzieje się to, że mieszają ci w głowie! - odparłem spokojnie. - Zamknij się i zachowuj jak żołnierz! Jesteś od nich twardszy, czy nie?! Rób, co do ciebie należy!

- Ale... W porządku. W porządku, szefie. Już jestem spokojny.

Wcale nie był. Był przerażony, jak my wszyscy. Przez kolejne pół godziny wjechaliśmy na pięćdziesiąt kilometrów w głąb terytorium wroga. Odebrałem sygnał, że Quincy kontaktuje się na kanale prywatnym z Zuzanną, ale wolałem nie wtrącać się w małżeńską rozmowę. Teren, przez który jechaliśmy, zryty był gąsienicami czołgów, ostrzałem artylerii i dział próżniowych. Mijaliśmy sporo zniszczonych maszyn, jednak większość z nich wyglądała na martwe od dawna. Były to głównie pozostałości po pierwszym natarciu Serbów.

Wszystko wskazywało na to, że nieprzyjaciel wycofał się, zabierając ze sobą wszystko, co jeszcze działało i mogło się przydać. Jedno z nas zatrzymywało się przy każdym wraku, z nadzieją na znalezienie kogoś z naszych, kto jeszcze by żył i potrafił udzielić jakichś informacji, ale wycofujący się Serbowie byli wściekle dokładni. Zewsząd otaczała nas śmierć. Po następnej pół godzinie drony zaczęły wracać, przyczepiać się do ładowarek z tyłu czołgów, ładując przez minutę swoje akumulatory, po czym uciekać z powrotem do przodu. Wkrótce wszystkie tak krążyły, ale dogładanie naszej szóstki było zmartwieniem Agnieszki.

Im dalej na wschód, tym bardziej okolica pozbawiona była wody. Na Nowej Jugosławii pustynie należą do rzadkości, ale nowa Chorwacja była największym lądem na planecie i leżała na suchym pasie podzwrotnikowym. Wkrótce zaczęliśmy mijać pierwsze kaktusy beczkowe, genetycznie zmodyfikowaną odmianę, nie posiadającą kolców, chroniących pożywny i bogaty w wodę miąższ. Miały jedynie grubą skórę, tak więc kiedy owca lub krowa dobierała się do takiego kaktusa, zjadała go do korzeni, które po kilku latach wypuszczały nową łodygę. Jak dotąd nie widziałem tu jednak żadnego zwierzęcia. Stada hodowlane wywieziono, jak tylko zaczęły się walki, kilka miesięcy temu. Miejscowej zwierzyny nie było już od lat, nie dlatego, że ktoś szczególnie zaciekle na nią polował, ale dlatego, że ziemskie rośliny wyparły całą prymitywniejszą lokalną roślinność w rekordowym wprost tempie. Zwierzęta, dla których ziemska roślinność była pozbawiona wartości odżywczych, wyzdychały.

Po następnej półgodzinie moje nerwy były w strzępach. Pozostali również zrobili się rozdrażnieni i sam już nie wiem, ile razy musiałem kazać im się zamknąć i wypatrywać Serbów. Przejechaliśmy całe sto kilometrów i nie widzieliśmy nic, poza kilkoma tuzinami wraków i kilkudziesięcioma rozkładającymi się trupami.

To była jakaś paranoja. Czy nieprzyjaciel faktycznie mógł zawrócić i wycofać się tak, żebyśmy tego nie zauważyli? Przecież to czysta niemożliwość. Ale nie wjechaliśmy nawet na jedną minę! Gdybym to ja się wycofywał, na pewno zostawiłbym za sobą coś, co spowolniłoby ścigających mnie drani!

To musiała być pułapka, ale kto słyszał, żeby oddać wrogowi czterdzieści tysięcy kilometrów kwadratowych tylko po to, żeby wciągnąć go w zasadzkę? Wszyscy widzieliśmy jednak wyraźnie ślady gąsienic czołgów, dział samobieżnych i dronów, ciągnące się aż po horyzont. Wtedy napotkaliśmy długi łańcuch bardzo podejrzanych, niskich wzgórków. Przełączyłem się na drony-czujki. Kiedy czołg schodzi pod ziemię, przez chwilę piach usypuje się za nim, dopóki tunel nie będzie na tyle głęboki, by go pomieścić. Przed nami było ponad sześćset takich kopców, a ich kształt i kierunek wskazywały, gdzie podziiali się Serbowie. Byli za nami.

-Wszyscy stać! - krzyknąłem w komlasy i błyskawicznie przesłałem dane Głównemu Komputerowi Bojowemu. - Są za nami! Ustawić wozy w koło!

Ostatnie polecenie nie było ściśle wojskowym rozkazem, ale wszyscy zrozumieli, o co mi chodziło. Drony zawróciły z maksymalną prędkością, dziewczyny cofnęły się, by nas kryć, a czwórka ludzi zajęła pozycje na tyłach, gdzie było stosunkowo bezpiecznie, a przynajmniej odrobinę mniej niebezpiecznie. Ustawiliśmy się frontem do dotychczasowego tyłu i tylko dzięki temu jeszcze żyję. Kilka najbliższych dronów zaczęło pracować układając sieć światłowodów, a ja podałem Głównemu Komputerowi i artylerii namiary na nasze obecne pozycje. Satelitów GPS dawno już nie było, ale nasz własny, wewnętrzny system lokalizacyjny pozwalał orientować się w położeniu co do centymetra.

Zobaczyłem, że oddziały na naszych flankach powtarzają nasz manewr, co oznaczało, że Komputer najwyraźniej go zaaprobował. Jego obwody musiały być przeciążone transferem danych do wszystkich jednostek ofensywy, ponieważ odpowiedział mi dopiero po minucie. Poczulem, że nawiązał łączność, ale nigdy się nie dowiedziałem, co chciał mi przekazać.

Pierwszy nieprzyjacielski czołg wyskoczył spod ziemi około kilometra od nas, zamiast jednak otworzyć do nas ogień, wisząc jeszcze w powietrzu wystrzelił strumień poruszających się z prędkością podświetlną osmowych igieł, które przeorały ziemię i przecięły wszystkie nasze światłowodowe linie komunikacyjne. Następny, który pojawił się kilka milisekund później, rozwalił przekaźniki podczerwieni. Byliśmy odcięci.

Niecały kilometr za nami, czyli pod samym nosem, według standardów nowoczesnej wojny, spod ziemi wyskoczyły łącznie siedemdziesiąt dwa serbskie czołgi, wynurzając się pod takim kątem, że musiały czekać na nas na głębokości kilkuset metrów. Ostatnie metry

pokonali naprawdę szybko - ich urządzenia ryjące przegrzały się i wyskoczyli nad powierzchnię w fontannach piachu.

- ZRÓBCIE TO TAK! - powiedziałem i uruchomiłem Ewę, oślepiając tyłu, ilu zdołałem, jej roentgenowskim laserem. Było ich jednak tak wielu, że zajęło nam to całe pięć sekund, a oni w tym czasie przerobili nas na mielonkę. Wyskakując tak szybko i pod takim kątem wystawili nam na cel swoje dość słabo opancerzone brzuchy na prawie dwie sekundy. Myślę, że planowali zaskoczyć nas od tyłu i rozwalić, zanim zdołalibyśmy choćby pomyśleć o odwróceniu działań. Ponieważ jednak zwróceni byliśmy we właściwym kierunku, ta krótka chwila wystarczyła, by mój oddział wyeliminował prawie trzydziestu z nich.

Trochę to nam pomogło, ale nie wystarczyło, by zapewnić przeżycie. Wciąż mieli przewagę liczebną ponad trzech do jednego, i wszyscy mieli na pokładach obserwatorów. Z drugiej strony, chociaż ja i Ewa powiedzieliśmy dziewczynom, gdzie jest przeciwnik, Serbowie pojawili się w tak oczywisty sposób, że nawet bezzałogowy czołg mógł ich bez problemów namierzyć. Poza tym, oczywiście, kiedy nieprzyjaciel otworzył ogień, dziewczyny od razu wiedziały, gdzie jest, nawet, jeśli się chował. W pewnym stopniu zła taktyka Serbów wyrównała ich miażdżącą przewagę w ludziach. Nie zrobili jednak nic, co zrównoważyłoby ich przewagę liczebną i zaczęliśmy krwawić. Mimo tego, że przeciwnik był oślepiiony, moi przyjaciele i ufający podwładni dookoła mnie zaczęli umierać.

Odpaliliśmy rakiety, żeby wróg musiał strzelać do czegoś oprócz nas i ku naszemu zaskoczeniu kilka z nich doleciało do Serbów i paru wyjęło. Spróbowali tej samej sztuczki na nas, rozkazałem jednak pozostałym zignorować pociski i skupić się na czołgach, a nadlatujące rakiety załatwiłem laserami Ewy. Jednak nic, co mogliśmy zrobić, nie było w stanie poradzić sobie z miażdżącą przewagą wroga.

Salwa z działa próżniowego przecięła na pół Zuzannę i jej Kazimierza. Radek i Boom-Boom wykonali półobrót, chyba próbując uciekać, ale nagle zniknął ich przód, a reszta obróciła się dwa razy w powietrzu i z hukiem runęła na ziemię. Wszystkie dziewięć dziewczyn z działami zginęło, jedna po drugiej, a czołg Quincy'ego ucichł. Po kilku sekundach walki Agnieszka, Ewa i ja zostaliśmy sami przeciw dwudziestu nieprzyjacielskim czołgom. Zrozumiałem, że jestem już martwy. Nie było żadnej nadziei.

Wtedy, niespodziewanie, wszystko się skończyło. W ułamku sekundy wszyscy Serbowie zginęli. Dopiero jakiś czas później zrozumiałem, co się stało. I my, i Serbowie byliśmy tak zajęci walką, że nikt z nas nie pomyślał o artylerii. Nie było na to czasu. Nie mieliśmy łączności z naszym Głównym Komputerem Bojowym, ale przeciwnik też nie - nie po takim wyskoku nad ziemię. Żaden światłowód by tego nie wytrzymał. Jednak jeden z naszych

artylerzystów, o ilorazie inteligencji siedemset, wystrzelił salwę w kierunku, z którego spodziewał się wroga. Co więcej, aby pociski dotarły na miejsce na czas, musiały zostać wystrzelone kilka milisekund po moim raporcie o sytuacji. Wystrzelił je tam, gdzie według niego Serbowie pojawią się na powierzchni i założył, że jego pociski będą wystarczająco sprytne, by zrobić resztę samemu.

Nie pomylił się. Nie wiedziałem, kim był mój zbawca, ale przysiągłem sobie, że jeśli go odnajdę, będę mu stawiał drinki przez najbliższe dziesięć lat, jednocześnie całując go po niemytych stopach.

- Dobry Boże w niebiosach! - powiedziałem do Agnieszki i Ewy. - Właśnie podarowano nam nowe życie.

Obie dziewczyny były jednak zajęte upewnianiem się, że martwy wróg nagle nie ożyje. Żeńskie osobniki każdego gatunku są o wiele groźniejsze niż my, proste osiłki. Zobaczyłem, jak sześć trumien katapultuje się tylko po to, by dziewczyny rozwaliły je w pył, zanim opadły na ziemię. Przyznaję, w tej sytuacji nie bardzo mogliśmy martwić się o branie jeńców, ale i tak wstrząsnęła mną ta niepotrzebna brutalność.

- Niech was cholera! To było niepotrzebne!

- Jeśli przeżyją, obsadzą inny oddział i będziemy musieli walczyć z nimi jeszcze raz - powiedziała Agnieszka.

- A gdybym to ja się katapultowałam, a jego czołg by do mnie strzelał?

- Tym bardziej należy rozwalić drani od razu! - krzyknęła Agnieszka.

- Nieprawda! Jeśli jeszcze raz zobaczę, jak zabijacie człowieka, który nie może nam nic zrobić, rozwiodę się z wami oboma! To znaczy nigdy się już do was nie odezwę! Słyszycie?

- Tak jest. Co miałeś na myśli, mówiąc o rozwodzie? Jesteśmy małżeństwem?

- Nie, cholera jasna. Byłem po prostu wściekły i się przejęczyłem. Żadnego zabijania obserwatorów, jasne?

- Tak jest.

Rozejrzałem się. Siódma trumna wyskoczyła z jednego z czołgów, a Ewa usmażyła ją laserem.

- A żeby cię, Ewa! Co ja powiedziałem?!

- Ona cię nie słyszy, szefie. Światłowodowy poszły zaraz na początku, a odłamek szrapnela z ostrzału artylerii urwał nam blok czujników.

- Więc wysuń następny. Mamy trzy zapasowe.

- Nie mamy. Straciliśmy je podczas strzelaniny.

- Cholera. Zewnętrzny głośnik działa? Podjedź w zasięg jej słuchu i przekazuj werbalnie.

Kiedy tylko ruszyliśmy w jej kierunku, pojawił się dron, który połączył nas światłowodem. Nawrzeszczenie na Ewę z zimną krwią nie było już tak satysfakcjonujące, ponieważ trochę ochłonąłem, jednak nie oszczędziłem jej ani trochę. Wciąż mieliśmy ponad połowę dronów nietkniętą. Nieprzyjaciel nie zwracał sobie głowy celowaniem do nich, a te, które zostały zniszczone, miały po prostu pecha. Niektóre bezmyślnie podpinały do sieci nawet te czołgi, które zostały rozwalone na pół. Kiedy podłączyły Quincy'ego okazało się, że wciąż żył!

- Quincy! Boże drogi, człowieku, myślałem, że już po tobie! Musimy cię stamtąd wydostać! Wiesz, że Serbowie naślą na nas artylerię, jak tylko zorientują się, o co chodzi!

- Młody człowieku, ja tu zostaję. Zuzanna mnie potrzebuje - odparł wolno Quincy. Jego słowa docierały do mnie w czasie rzeczywistym. Przeszedł na całkowite sterowanie ręczne, co oznaczało, że Marysia została całkiem zniszczona.

- Quincy, Zuzanna nie żyje. Widziałem, jak rozcięło ją wzdłuż. Nie ma żadnej nadziei.

- Tak stoi w kontrakcie, chłopcze. Zostajemy razem.

- Quincy! Wiesz, że to szaleństwo!

- Wiem więcej, niż ty, chłopcze. Jeden z Serbów trafił mnie sześciosekundową wiązką Roentgena. Wiesz, co to znaczy. Wiedziałem. Był ugotowany. Choroba popromienna miała zabić go w przeciągu kilku godzin.

- Mogę cokolwiek zrobić? - spytałem.

- Tak. Zostaw mnie samego. Potrzebuję trochę czasu, żeby zrobić rachunek sumienia.

- Będę się za ciebie modlił, przyjacielu. Szkoda, że nie mieliśmy dość czasu, żebyś ty nauczył mnie sztuk walki, a Zuzanna opowiedziała o Camelocie. Zapalę wam obojgu świeczkę w kościele, jeśli przeżyję.

- Dziękuję. Do widzenia, Mikołaju. Jeszcze jedno... Wiem o tobie i Ewie i chcę ci powiedzieć, że dobrze zrobiłeś. Ja zrobiłem to samo dla pozostałych dziewięciu pań. Nie zginęły niekochane.

Potem przerwał połączenie. Łzy wezbrały mi w oczach. Agnieszka musiała przekazywać mi dane wizualne bezpośrednio do mózgu, bo nie widziałem odczytów na ekranach. Ponad minutę zajęło dziewczynom upewnianie się, czy Serbowie na pewno nie żyją. Kiedy każdy nieprzyjacielski czołg ma na pokładzie odpowiednik bomby wodorowej, nie wolno ci nawet myśleć o braniu jeńców, dopóki nie opuszczą maszyny. Można trafić na fanatyka, który wysadzi się w powietrze, żeby zabrać cię ze sobą. Kiedy skończyły,

Agnieszka zawróciła, by odjechać, ponieważ niebezpieczeństwo ostrzału wzrastało z każdą chwilą. Ewa obróciła się za nią, zauważyłem jednak jakieś poruszenie z tyłu czołgu Radka i kazałem obu chwilę poczekać. Z wraku wyjechała trumna. Radek usiadł powoli, trzęsąc się, ściągnął z głowy hełm, odczepił cewnik z genitaliów i wyjął moduł pamięciowy z gniazda, nie kłopotując się jednak zestawem do survivalu.

- Radek? Jesteś cały? - zawołałem przez zewnętrzny głośnik Agnieszki. Hejke był zaledwie pięćset trzydzieści metrów od nas.

- Tak, chyba tak. Straciłem na chwilę przytomność. Zaczekajcie. - Zataczając się dobiegł nagi do Ewy, trzymając w jednej ręce hełm, w drugiej moduł pamięci. – Otwieraj się, dziewczyno! W końcu doczekałaś się prawdziwego mężczyzny!

Ewa wysunęła pustą trumnę, Radek jednak zanim wszedł, wyrwał jej moduł i cisnął go na ziemię. Potem szybko zainstalował moduł Boom-Boom, założył i podłączył hełm i włożył do środka, nie zawracając sobie głowy cewnikiem. Z racjonalnego punktu widzenia pewnie postąpił słusznie. Potrzebował Boom-Boom, żeby móc się porozumiewać z czołgiem. Minęłoby wiele dni, zanim Ewa skalibrowałaby się do jego rdzenia kręgowego, ale, do cholery, nie musiał rzucać jej na ziemię! Miał przed sobą pusty zasobnik na drony i mógł poświęcić chwilę, żeby ją ocalić!

- Do cholery, Radek! Nie słyszałeś o Złotej Zasadzie?

- Chodzi ci o to gówno, żeby robić innym to, co chciałoby się, żeby oni robili tobie? Kiedyś próbowałem. Zrobiłem jej dokładnie to, co chciałem, żeby zrobiła mi, a ta dziwka zaczęła wrzeszczeć, że ją gwałcą!

- Ja nie żartuję, Radek!

- Czas się rozdzielić! Adios, skurwiele! - rzucił Radek przez komlaser i ruszył w kierunku naszych starych pozycji, ile fabryka dała.

- Radek! Radek, ty śmierdzący draniu! Wracaj! Jedziesz w złą stronę!

Jeśli jednak mnie słyszał, nie odpowiedział. Oczywiście nie zawrócił.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

NA TYŁACH WROGA

Nie mogłem zostawić Ewy na ziemi. Kazałem Agnieszce zawrócić, podniosłem moduł jednym z ramion manipulatorów i delikatnie włożyłem do niemal pustego zasobnika na drony.

Sprawdziłem pozostałe dziewczyny, ale te, które nie zostały całkowicie zniszczone, ciągle miały swoje trumny w środku. Nie można było dostać się do nich od zewnątrz . bez użycia specjalnych narzędzi, więc jeśli któraś z nich posiadała nietknięte banki pamięci, musiała poczekać na ekipę ratunkową. Może niektóre z nich są jeszcze całe. Może.

Przyjrzałem się oddziałom po lewej i prawej, ale nic się tam nie poruszało. Odczyty podczerwieni powiedziały mi, że w żadnej ze stref nic nie generuje energii. Nieruchome wraki powoli stygły.

Zostałem sam, chłopiec i jego czołg; Przy pomocy zewnętrznego głośnika, jedyne go środka łączności, jaki mi pozostał po zerwaniu światłowodu, wezwałem czterdzieści kilka ocalałych dronów. Jednego z nich podniosłem i umieściłem w zasobniku, razem z modułem Ewy i pojedynczą miną, dla której nie znalazłem jak dotąd zastosowania. Uznałem, że dron może mi się kiedyś przydać. Reszta musiała tu zostać.

- Chłopcy, zostawimy was, ponieważ musimy poruszać się szybciej, niż jesteście w stanie. Macie się rozproszyć i zakopać, kiedy tylko kogoś napotkacie. Ogólny kierunek obierzecie na nieprzyjacielski przyczółek. Jeśli spotkacie jakąś większą maszynę, używającą serbskich kodów, macie podejść jak najbliżej i wysadzić ją w powietrze. Jeśli znajdziecie kogoś, kto posługuje się kodami chorwackimi, zameldujecie się. We wszystkich innych przypadkach macie się nie wychylać i nic nie robić. Zrozumiano?

Drony powiedziały, że rozumiały, jak posłuszne, małe pieski. Jechały jakiś czas za nami, kolejno ładując akumulatory, a kiedy skończyły, kazałem Agnieszce ruszyć z maksymalną prędkością w stronę serbskich pozycji. Było mi trochę żal dronów, ale tak naprawdę nie były to jednostki myślące, a ja nie widziałem dla nich w obecnej sytuacji żadnego zastosowania.

- Dokąd jedziemy, Mikołaju? - spytała Agnieszka.

- Do Serbów, moja niewyżyta młoda damo.

Kiedy teraz przeglądam nagrania z tamtych chwil, wydaje mi się, że musiało mi trochę odbić. Może był to szok po stoczonych bitwie, a może świadomość, że po raz pierwszy od miesięcy dostałem namiastkę wolności, fakt faktem jednak, że zachowywałem się trochę jak wariat.

- Co?! Chcesz się poddać?

- Oczywiście, że nie! Zastanowiłaś się, ślicznotko, jak niebezpieczne są dla nas nasze własne pozycje? Kazałem dronom zatrzymać się i nasłuchiwać kodowanych transmisji, zanim kogokolwiek zaatakują, ale Główny Komputer tego nie robi. Przyjaciela od wroga rozróżniasz po tym, że znasz lokalizację wszystkich swoich przyjaciół. Jeśli zaraz po bitwie

wjedziemy na nasze oddziały, prawdopodobnie ostrzelają nas, zanim powiemy, o co chodzi. Nie mamy łączności z Głównym Komputerem, a nie widzę żadnego sposobu, żeby nawiązać ją w bezpieczny sposób. A ty?

- No cóż, gdybyśmy odpalili raketę radarową, moglibyśmy zakodować jej częstotliwość...

- Agnieszko, wszystkie rakiety poszły na Serbów. Wystrzeliliśmy nawet te na dronach.

- Tak, ale powinienes jedną zatrzymać. Nie są przeznaczone do ostrzału przeciwnika.

- Kiedy zrobiłem to w symulacji, uznałaś to za wspaniały pomysł.

- Tak, ale...

- Żadnych ale! Musiałem obrzucić tych drani wszystkim, co miałem. Możesz wymyślić coś, co moglibyśmy zrobić - tym, co mamy?

- Nie, ale...

- Wystarczy już tych „ale"! W tym momencie zostaniemy przypuszczalnie uznani za wroga przez obie strony. Jeśli już ktoś ma mnie zabić, wolałbym osobiście, żeby był to - nieprzyjaciel. Przynajmniej nikogo nie będą potem męczyć wyrzuty sumienia. Co więcej, podchodząc do chorwackich linii, musielibyśmy zrobić to otwarcie i pokazać się, żeby mogli nas zabić. U Serbów będziemy w stanie nieźle namieszać!

- Mikołaju, uważam, że oszalałeś.

- Jestem przekonany, że będziemy mieli większe szanse przeżycia, jeśli ruszymy w stronę Serbów. Przynajmniej będziemy mogli się ostrzeliwać.

- Muszę ci przypomnieć, że jeśli spróbujesz się poddać, dokonam samozniszczenia!

- A ja muszę ci przypomnieć, cycata istoto, że oni doskonale wiedzą, że mamy na pokładzie odpowiednik sporej bomby wodorowej, więc musieliby doznać zbiorowego obłądu, żeby przyjąć naszą kapitulację! Przestań już gadać głupoty!

- Jaki masz w takim razie plan?

- Mam zamiar znaleźć nam dobrą kryjówkę. Potem, jeśli będziemy mogli zrobić coś pożytecznego, zrobimy to. Przy odrobinie szczęścia nasze siły miną nas za kilka dni, a wtedy pojedziemy się zameldować. Nie będziemy robić nic głupiego.

- Wreszcie mówisz do rzeczy! Po co jednak mamy wjeżdzać w głąb terytorium wroga?

- Ponieważ taktyka, jaką zastosowali podczas ostatniej bitwy musiała sprawić, że sporo ich czołgów straciło łączność. Może nie zauważą jeszcze jednego.

- Ale zorientują się, że nie znam ich kodów! Miałam je kiedyś, ale zostały wykasowane, kiedy zaprzysięgłam lojalność chorwackiej stronie Kaszubskich Sił Ekspedycyjnych!

- Nic takiego się nie stanie, słonko. Odstrzelono ci trzy bloki sensorów, a czwarty stracił laser transmisyjny. Nie będziesz wysyłać nikomu żadnych kodowanych wiadomości. Będziesz siedzieć cicho, a oni sami wpadną na to, że straciłaś wszystkie wiązki czujników, albo coś w tym rodzaju.

- Nie podoba mi się to.

- Znaleźliśmy się w sytuacji niezależnej. Jeśli dobrze zrozumiałem regulamin, w sytuacji nieprzewidzianej przez program szefem jestem ja. Mam rację?

- Masz. Ale to nie znaczy, że musi mi się to podobać.

- Nie musi. Cycki na baczność i naprzód marsz.

-I nie podoba mi się, jak mówisz do mnie w ten sposób.

- Zamknij się i wykonuj rozkazy.

- Myślisz o jakimś konkretnym miejscu, w którym moglibyśmy się zaszyć?

- Spójrzmy na mapę - powiedziałem. Przed oczami pojawiła mi się bardzo dokładna i niezwykle szczegółowa mapa terenu. Papierowa mapa, gdyby chciała być tak dokładna, musiałaby mieć wymiary boiska do piłki nożnej, aleja miałem taką zdolność przetwarzania danych, że z pomocą Agnieszki mogłem ogarnąć ją całą jednym spojrzeniem, albo skupić się na kawałku dowolnej wielkości.

Czterdzieści dziewięć kilometrów na wschód, tam, gdzie Serbowie urządzili swój przyczółek, leżało wąskie i stosunkowo niewysokie pasmo Skalistych Gór Cukrowych. Słowo „przyczółek” kojarzy się z lądowaniem z morza, ale Serbowie nie dostali od nas dość sprzętu pływającego, żeby przerzucić nim całą swoją armię. Oczywiście nie dostali też nic, co mogłoby posłużyć do zorganizowania desantu z orbity. Rozwiązali ten problem, kopiąc transoceaniczny tunel. Zaczęli nad nim pracować, jak tylko odebrali pierwszą dostawę sprzętu.

Niedaleko wysokiej, niebezpiecznej i rzadko używanej przełęczy w Górach Cukrowych wznosił się samotny szczyt, nazywany Punktem Obserwacyjnym. Wydał się mi oczywistym miejscem na zaczajenie się i oczekiwanie na rozwój wydarzeń. Powiedziałem to Agnieszce.

- To za dobre miejsce - odparła. - Serbowie na pewno już z niego korzystają.

- Z pewnością zdają sobie sprawę, że w razie naszego ataku na pewno go ostrzelamy, dlatego raczej nie będą z niego korzystać.

- Jeśli więc jest to główny cel ataku dla naszych sił, my też nie możemy się tam ukryć!

- A po co nasi mieliby go ostrzeliwać, skoro wiedzą, że Serbowie nie są aż tak głupi, żeby tam siedzieć?

- Mikołaju, jeśli mówisz to tylko po to, żeby mnie zmieszać, to będę bardzo niezadowolona. Wiesz przecież, że jestem maszyną logiczną!

- A nie zgodziliśmy się, że ja jestem umysłem kojarzącym? Mówię tylko, że wygląda mi to na dobre miejsce i dopóki tam nie pojedziemy, nie będziemy tego wiedzieli. A teraz naprzód z maksymalną prędkością, mój ty cycuszu.

- Tak jest, szefie. Proszę, nie nazywaj mnie tak.

- I kto tu robi z siebie świętoszka?

W pół godziny znaleźliśmy się w zasięgu wzroku od Punktu Obserwacyjnego. Nie widzieliśmy po drodze nikogo, chyba że z ekstremalnie wielkiego oddalenia, i nikt nie pytał nas o żadne kody. Znaleźliśmy parów, w którym otwór tunelu byłby dobrze ukryty przed czymś wzrokiem i zeszliśmy pod ziemię. Z tego miejsca przekopywanie się pod górami miało potrwać pięć godzin. Wewnątrz skał nie mogłem używać czujników, a Agnieszka nie potrzebowała mojej pomocy do kierowania, więc poszedłem odpocząć do domu. Agnieszka już tam była, oczywiście, ubrana w minispódniczkę. Znowu nie miała na sobie nic od pasa w górę, co chyba wchodziło jej już w nawyk. Zaproponowała mi trochę ćwiczeń fizycznych, ale odmówiłem.

- Posłuchaj, mamy za sobą bardzo ciężki dzień. Straciliśmy wielu dobrych przyjaciół. Muszę się odprężyć i napić. Właściwie mam ochotę spić się do nieprzytomności. Przynies mi butelkę rumu i Colę. Agnieszka spojrzała na mnie z bardzo dobrze udawanym zaniepokojeniem.

- Jesteś pewien, że nie wolałbyś iść do kościoła?

- Tak, wolałbym iść do kościoła, ale jaki miałbym pożytek z nieprawdziwego kościoła i nieprawdziwego księdza?

W Świecie Snów możesz symulować wiele rzeczy, ale nie możesz stworzyć Boga. Gdyby był tu prawdziwy kościół i wyświęcony ksiądz, poszedłbym tam, ale skoro ich nie ma, musi mi wystarczyć symulowana woda. Przynies ją.

Agnieszka patrzyła na mnie przez chwilę z wahaniem, lecz zrobiła, co jej kazałem. Zrobiłem sobie mocnego drinka i wypilem go jednym haustem. Nie mogłem nic zrobić dla Quincy'ego, Zuzanny i reszty, a Radek na dziewięćdziesiąt dziewięć procent został już rozwalony przez naszych. Jediną rozsądną rzeczą, jaka mi pozostawała, było spróbować o tym zapomnieć. Przynajmniej na chwilę.

- A co ja mam robić? - spytała Agnieszka.

- Ty? Skoro już ubierasz się jak tancerka z taniej speluny, możesz równie dobrze zacząć tańczyć. Wstawaj i tańcz! I zmień scenerię na jakiś bar, z pijanymi klientami i całą

resztą. I tańcz, do cholery! Natychmiast otoczył mnie gwar, smród i dym wielkomięskiej knajpy, a półnaga kelnerka przyniosła mi drinka. Agnieszka i jakaś inna kobieta lubieżnie prężyły się na scenie. Wychyliłem drinka i zawołałem o następnego. Z reszty wieczoru zapamiętałem jedynie urywki, przypominam sobie jednak, że wdałem się w bójkę i stłukłem wykidajkę, samemu też nieźle obrywając. Niewyraźnie pamiętam też, że chwilę wcześniej dobierałem się do jednej z tancerek.

Obudziłem się w brudnym pokoiku hotelowym, z potwornym bólem głowy i dwudniowym zarostem. Jedno oko tak mi napuchło, że nie mogłem go otworzyć, brakowało mi też kilku zębów. Męczony pragnieniem spełzłem z łóżka, powlokłem się do łazienki i nalałem sobie do szklanki brudnorudej wody z kranu. Popatrzyłem na nią, ale stwierdziłem, że jednak nie wypiję.

- Agnieszko, przesadziłaś, cholera jasna! Zabierz mnie do domu!

- Tak jest - powiedziała i znalazłem się w domku nad jeziorem. Agnieszka miała na sobie skromną bluzkę i spódnicę i wyglądała na zakłopotaną.

- Świetnie. Teraz możesz coś zrobić z moim kacem, ranami i dwudniowym zarostem. Już lepiej - dodałem, ponieważ moje ubranie było już czyste i całe, jak ja sam. – Teraz zrób mi śniadanie. Podoba mi się twój kostium. Zjedliśmy w milczeniu.

- Mikołaju, nie podobasz mi się, kiedy jesteś pijany - powiedziała Agnieszka, kiedy skończyliśmy.

- Czasami sam się sobie nie podobam. Ciesz się, że nie robię tego często. Jak idzie kopanie?

- Właśnie dotarliśmy na miejsce. Odczyty nie wskazują na obecność wroga. Mogę wysunąć resztki bloku czujników w każdej chwili.

- Bardzo dobrze, zrób to.

Na czubku anteny zamontowany jest mały naddźwiękowy agregat, podobny do tego na przedzie czołgu. Blok sensorów przebił się przez trzy metry litej skały, odgradzającej nas od zewnętrznego świata w kilka sekund. Rozejrzałem się w porannym słońcu. Zdziwiło mnie, że jest jeszcze tak wcześnie. Takie upicie się i dojście po nim do siebie w prawdziwym świecie trwałoby dwa dni, ale taki już jest Świat Snów.

Przełącz pod nami wyglądała na nigdy nie używaną, a przynajmniej nie przez ciężki sprzęt wojskowy. Daleko na zachodzie dostrzegłem błyski wymiany ognia, nie widziałem jednak, kto do kogo strzela. Dajcie im łupnia, chłopaki, pomyślałem. Niespodzianka czekała na mnie na południowym wschodzie. W dolinie, ustawiona w nieruchome, równe rzędy, stała

cała dywizja czołgów. Kazałem Agnieszce je policzyć, ponieważ komputery są z zasady lepsze w takich sprawach i okazało się, że jest ich dziesięć tysięcy. Równo, co do jednego.

W pobliżu stały dwa tysiące dział artyleryjskich i dokładnie dwa tysiące sześćset ciężarówek z amunicją, czyli standardowe wyposażenie dywizji. Wszystko lśniło nowością.

- Ktokolwiek to jest, jeszcze nie wahał prochu - powiedziałem.

- To nie mogą być nasi, Mikołaju. Wiem na pewno, że nie mamy niezaangażowanych w walkę jednostek. Walczymy bez jakichkolwiek rezerw.

- Ale skoro tak mocno ciśniemy Serbów, czy miałyby sens, żeby trzymali całą dywizję z dala od linii frontu? Jeszcze jedno - te szeregi są strasznie równe. Coś takiego robili rekruci w starych akademiach wojskowych.

- Albo maszyny w fabryce. Wiem, o co ci chodzi. Nasze procedury szkoleniowe nie kładą nacisku na taką dokładność. Kogoś, kto lubi linie i kąty proste łatwiej wykryć i namierzyć.

- Dokładnie. Zastanawiam się wobec tego, czy nie patrzymy właśnie na całą dywizję bezzałogowców w. A jeśli Serbowie nie zdołali znaleźć wystarczająco wielu ochotników do obsadzenia wszystkiego, co od nas wzięli, i zaczęli mieszać obsadzone czołgi z bezzałogowcami, tak jak my? Może sprowadzili tutaj te maszyny, żeby używać ich jako zapasowych i czekać na więcej ochotników?

- Być może. Tyle, że nasz wywiad był całkowicie pewny, że Serbowie użyli w walce wszystkich dziesięciu dywizji. Byli już zupełnie splukani. Tak jak my, nie mieli żadnych rezerw, nawet na swoim kontynencie. Wiemy przynajmniej, że kończyła im się amunicja dla artylerii. W przeciwnym razie załatwiliby nas zaraz po tym, jak rozwaliliśmy ich drony w drugiej bitwie. Z drugiej strony widzę, że te ciężarówki są pełne.

- Na tej nieszczęsnej planecie jest dziesięć innych państw - zauważyłem. - Czy to możliwe, że ta dywizja należy do kogoś trzeciego, kto zamierza włączyć się do walki po jednej lub drugiej stronie?

- Gdyby to byli nasi sojusznicy, nie widzę sposobu, w jaki mogliby się tu dostać. Nie mogliby przekopać się niepostrzeżenie tak blisko przyczółka Serbów. To bardzo dobrze chronione i pilnowane miejsce, wierz mi. Gdyby tak nie było, już dawno byśmy je zniszczyli. Gdyby jednak walczyli dla Serbów, to robiliby to już teraz. Nie siedzieliby beczynnie. Wciąż trwa bitwa na wielką skalę, a wydaje mi się, że Serbowie dostają łomot.

- Niezła zagadka. Posiedźmy tu chwilę i popatrzmy.

Czekaliśmy, patrzyliśmy, ale nic się nie działo. Po jakimś czasie zwróciłem bacniejszą uwagę na ślady gąsienic, zostawione przez tajemniczą dywizję, kiedy tu

przyjechała. Pogoda na Nowej Jugosławii jest prawie zawsze przyjemna, a burze występują tam bardzo rzadko. Mimo to ślady gąsienic wyglądały na bardzo świeże.

- Wiesz - powiedziałem do Agnieszki. - Wydaje mi się, że oni tu przyjechali bardzo niedawno. Szkoda, że jest już dzień, w nocy widziałbym lepiej w termowizji, ale przysięgłbym, że są tu dopiero od kilku godzin. Możliwe, że tym chciwym draniom na Nowych Kaszubach zaproponowano więcej forsy, niż mogliby odmówić.

- Czy to nie byłaby zdrada stanu? Znasz ich w sumie lepiej, niż ja.

- Jestem nawet z niektórymi spokrewniony. Tak, gdybyś dała wujkowi Włodzimierzowi wystarczająco dużo pieniędzy, mógłby sam sobie wmówić, że jedna mała dywizja w jedną czy w drugą to tak naprawdę żadna różnica.

- Co więc robimy, szefie?

- Wracamy do swoich i zgłaszamy to generałowi. Lepiej, żeby się o tym dowiedzieli. Agnieszko, wróć na dół tą samą drogą, którą przyjechaliśmy. Przekopywanie się przez piasek będzie dużo szybsze, niż rycie w litej skale. Potem jedziemy prosto do domu i miejmy nadzieję, że będziemy mieli szczęście. Może po drodze wymyślimy jakiś sposób, żeby od razu nas nie rozwalili. Antena z czujnikami zjechała na dół i poczułem, że ruszyliśmy.

Przyszło mi nagle do głowy, że ktoś mógłby kiedyś znaleźć wypełniony piaskiem tunel, który wryliśmy we wnętrzu góry, zataczający koła i prowadzący na sam szczyt. Ów ktoś mógłby pozbyć się piasku, postawić tabliczkę przy wjeździe i zarobić kupę kasy, wożąc turystów na szczyt. Kto wie? Może sam to kiedyś zrobić? Wkrótce jednak zapomniałem o tym głupim pomysle i zacząłem martwić się bardziej palącym problemem. Przez całą drogę w dół zastanawiałem się, co robić, i kiedy wyjechaliśmy wreszcie na powierzchnię, wiedziałem już to na pewno.

- Agnieszko, przecież to proste! Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem, ani dlaczego ty o tym nie pomyślałaś. Mamy ze sobą drona! Wciąż ma ponad dwieście kilometrów światłowodu i zasięg ponad stu. Możemy zakopać się daleko od naszych linii i wysłać drona, żeby wszystko wytłumaczył. A potem, jeśli podłączą się do naszego kabla, sami wszystko opowiemy.

- Wydaje mi się, że drona rozwalą jeszcze szybciej, niż czołg. Prawdopodobnie zniszczy go jakiś inny dron, nikomu o tym nawet nie mówiąc. Czy ty rozmawiałaś z ostatnim dronem, który pojawił się ze wschodu?

- O rany - westchnąłem. - W każdym razie i tak chyba warto zaryzykować.

- Mam nadzieję.

Wtedy wjechaliśmy na minę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

MINY

Wyciągaliśmy właśnie jakieś sto trzydzieści na godzinę, kiedy zupełnie bez ostrzeżenia przód czołgu z potworną siłą targnął się w górę. Gdyby nie to, że unosiłem się w płynie o tej samej średniej gęstości, co moje tkanki, zginąłbym na pewno. Miejscowe różnice naprężeń i tak prawie rozerwały mnie na kawałki. Poczulem, jak moje kości wyginają się w dół, a płuca rozgniatane są o zebra. Kiedy hełm szarpnął się w górę, rąbnąłem potylicą w jego dno, a wnętrzności o mało nie wyszły mi górą. Powykręcało mi wszystkie stawy, a skołatana głowa nie pozwalała zebrać myśli.

Gdyby mnie tak nie oszołomiło, gdybym miał lepszy refleks, nacisnąłbym w tamtej chwili przycisk katapulty. Nie zrobiłem tego jednak i zostałem we wnętrzu czołgu. Nie straciłem przytomności, chociaż przez jakiś czas mocno tego żałowałem. Czulem, jak koziółkujemy w powietrzu, robiąc prawie pełne salto i spadamy na ziemię, zarywając się tyłem w piachu. Coś łupnęło jeszcze kilka razy, a potem zapadła cisza i ciemność. Byłem sam. Przez chwilę siedziałem cicho, łapiąc oddech i czekając, aż moje ciało pozbiera się do kupy. Otaczał mnie absolutny mrok. Nic nie widziałem, a do moich uszu docierał jedynie odgłos mojego oddechu i bicia serca. Czulem ból a o tym, że jeszcze żyję, upewniał mnie tylko fakt, że oddycham.

- Agnieszko?

Nie odpowiedziała, a ja poczułem lodowate ukłucie strachu. Zostałem uwięziony w opancerzonej trumnie, w której nic nie działało!

- Agnieszko, zgłoś się, proszę. Potrzebuję cię, śliczniutka. Nic.Myśl! Myśl, człowieku!

Znajdowałem się daleko za liniami Serbów. Szansa, że ktoś przyjdzie mi na ratunek była tak mała, że można było nie zawracać sobie nią głowy. Jeśli miałem jakoś z tego wyjść, musiałem radzić sobie sam.

A więc. Czołg leżał do góry nogami, pod kątem jakichś dwudziestu stopni, sądząc po tym, jak nisko znajdowała się moja głowa. Silnik, wysuwający trumnę był zdecydowanie za słaby, żeby poruszyć cały czołg, więc to odpadało. Awaryjny mechanizm katapulty wykorzystywał chemiczny ładunek wybuchowy, wyrzucający trumnę do tyłu. Jeśli pojemnik znajdował się pod ziemią i nie można było go ruszyć, energia wybuchu musiała znaleźć jakieś inne ujście, czyli najprawdopodobniej mnie. Nie wolno mi było nawet myśleć o

katapultowaniu się, dopóki tył czołgu nie znalazłby się nad ziemią, a i tak znajdowałby się wtedy w najgorszej możliwej pozycji. Na szczęście projektanci czołgu przewidzieli taki problem i zaopatrzyli maszynę w środki, umożliwiające jego rozwiązanie. W kadłub wbudowane było sześć ładunków wybuchowych, które mogły bezpiecznie go odwrócić, a nawet wyrzucić na sześć metrów w powietrze. Korzystałem już z tego systemu w symulacjach. Otworzyłem klapkę, ukrywającą wyzwalacz, przygotowałem się na następny wstrząs i wcisnąłem przycisk, odpalający tylny, górny, lewy ładunek. Nic się nie stało.

Kiedy znów zacząłem oddychać spróbowałem tylnego górnego prawego, ponieważ w obecnej sytuacji nadawał się równie dobrze, ale on również nie działał, podobnie jak górne, przednie ładunki, ani też żadna ich kombinacja. Awaryjny system poziomujący nie działał. Spróbowałem sterowania ręcznego, znajdującego się w pobliżu mojej prawej ręki. W sumie z tego, co wiedziałem, czołg się na czymś opierał, czyli do przewrócenia go powinno wystarczyć niewielkie pchnięcie. Wymacałem stery, poruszyłem nimi, ale również były martwe. Żadnego efektu! Niemożliwe, żeby nic zupełnie nie działało! Przecież ciągle oddychałem!

Sprawdziłem uzbrojenie, które również nie dawało znaku życia. Nie spodziewałem się oczywiście, że odpalę rakiety, skoro zużyłem wszystkie ostatniego wieczora, ale działo próżniowe zawiodło moje nadzieje, tak samo zresztą dron. Wsunąłem dłonie w rękawice, sterujące manipulatorami. Prawy nie działał, ale poczułem, że poruszył się lewy. Nareszcie coś! Nie musiałem leżeć głową w piachu, czekając beczynn timer na śmierć!

Spróbowałem odepchnąć się od ziemi, ale manipulator nie miał wystarczającej mocy. Szybko to sobie darowałem. Wyglądało na to, że czołg jedzie na akumulatorach, a przypuszczalnie nie wystarczały one na długo. Musiałem oszczędzać energię i myśleć. Myśleć! Mina. Mina w zasobniku na drony, o której zapomniałem. Gdybym zdołał odpalić ją pod czołgiem, może wybuch ustawiłby mnie jak trzeba. W każdym razie warto było spróbować, zwłaszcza, że nie miałem żadnych innych pomysłów. W normalnych okolicznościach miny odpalała zdalnie Agnieszka, jednak sama ich konstrukcja była dość prymitywna - spójrzmy prawdzie w oczy, trudno wymyśleć coś odkrywczego w dziedzinie min - i można było je odpalić ręcznie. Sprzężenie zwrotne wycucia manipulatora było wciąż niezłe, wymacałem więc drogę wzdłuż kadłuba do zasobnika na drony. Okazało się, że jest zakopany pod ziemią. Cóż, przynajmniej nie była to lita skała. Zacząłem kopać, zastanawiając się, na ile jeszcze wystarczy mi powietrza.

W tlen zaopatrywały mnie mikroorganizmy w biozbiorniku, energię życiową czerpały jednak z promienników, zasilanych przez główny reaktor. Byłem prawie pewien, że reaktor

wysiadł, inaczej większość rzeczy, które nie działały, wciąż miałyby zasilanie. Nie wiedziałem, jak długo algi pożyją bez sztucznego oświetlenia, było jednak jasne, że niezbyt długo. Mogło mi nie starczyć czasu. Oczywiście miałem awaryjny cylinder, mający uzupełniać braki, powstałe na skutek przecieków i tym podobnych, ale był on raczej mały. Możliwe, że już na nim jechałem.

Pojemnik z chłodziwem! Miałem na wyposażeniu sporą bańkę skroplonego powietrza, a od ostatniej bitwy minęło dość czasu, by zdążyła się całkowicie napełnić. Używało się jej do chłodzenia obserwatora, kiedy czołg wytwarzał duże ilości energii cieplnej, albo do obniżania temperatury kadłuba, kiedy jego ciepło mogło zdradzić pozycję czołgu. Wydawało się jednak logiczne, by konstruktorzy umożliwili obserwatorowi zużycie tego powietrza w razie awarii biozbiornika. Ale jak? Miałem ręczną kontrolę nad prawie wszystkimi systemami, ale nie skończyłem nigdy szkolenia, a tego nie zdążyłem przerobić. Gdyby była ze mną Agnieszka, mogłaby wyświetlić mi szczegółowy schemat czołgu, ale z drugiej strony gdyby ze mną była, nie musiałbym go studiować. Cholera. Trudno, pozostała mi metoda prób i błędów.

Nad prawym ramieniem miałem małą klawiaturę, wielkości kieszonkowego kalkulatora, której nigdy nie używałem. Namacałem ją. Równie dobrze mogła służyć do wyłączania dmuchawy, zaopatrującej mnie w coraz bardziej stęchłe powietrze, ale nie robić nic oznaczało śmierć tak czy inaczej. Modląc się do mojego świętego patrona, wcisnąłem pierwszy przycisk. Nie zauważyłem żadnego efektu, nacisnąłem więc drugi. Potem trzeci. Po wciśnięciu szóstego guzika w górnym rzędzie przed moimi oczami wyświetliło się menu. Przeczytałem je i wcisnąłem czwórkę, Systemy Podtrzymywania Życia. To znaczy wcisnąłem po prostu czwarty guzik od prawej i okazało się, że dobrze trafiłem. Menu zmieniło się, a ja wybrałem kolejno jedynekę, Zapasy Powietrza i dwójkę, Zap. Powietrza z Cyl. Chłodzącego. W uszach rozbrzmiał mi triumfalny syk, a wyświetlacz poinformował, że zapas powietrza, którym dysponowałem, wystarczał na czternaście godzin przy standardowym zużyciu. Miałem przed sobą co najmniej pół doby życia.

Wróciłem do głównego menu w nadziei, że znajdę coś, o czym nie wiedziałem, a co pomogłoby mi odwrócić mój przewrócony czołg, ale niestety, nic nie znalazłem. Jeśli miałem na wyposażeniu czarodziejski odwracacz czołgów, w menu nie figurował. Okazało się, że mogę odpalić wszystkie osiem ładunków na raz, ale tym razem również nie zadziałały. Działo wciąż ani drgnęło. Przeglądając wszystkie menu, które miał w swej pamięci maleńki komputer awaryjny, potwierdziłem swoje przypuszczenia. Główny reaktor wysiadł i nie było szans ponownie go uruchomić, podobnie jak większości systemów pokładowych, włącznie z ostatnim blokiem czujników. Wróciłem do kopania. Szło mi to opornie, ponieważ kopałem po

omacku, ale po dwóch godzinach dostałem się do zasobnika, zużywając przy tym niemal połowę energii akumulatora.

Nie mogłem otworzyć klapy, ponieważ przygniatał ją cały ciężar czołgu, ale środkowy palec manipulatora wyposażony był w ostry, wolframowo-karbidowy pazur, a zasobnik zrobiono ze zwykłej stali. Mimo to jednak dostanie się do środka zajęło mi kolejną godzinę, nie wspominając o gorączkowym macaniu za miną. Przez chwilę zdawało mi się, że jej tam nie ma. Wypadek sprawił, że wszystko się tam trochę pomieszało, wyciągnąłem więc najpierw moduł Ewy i drona. Dron był już w częściach, co nie dawało wielkich nadziei na przeżycie Ewy, mimo to jednak odłożyłem ją jak najdalej, by nie uszkodziła jej eksplozja. Nigdy nic nie wiadomo.

Pozostała kwestia samego wybuchu. Biorąc pod uwagę moje położenie, najdogodniejszym miejscem do podłożenia miny był dolny, lewy róg czołgu, czyli jakiś metr od mojej głowy, a ładunek był najprawdopodobniej tak samo silny, jak ten, który wpakował mnie w całe to bagno. Gdybym umieścił minę w złym miejscu, mogłoby stać się tak, że operacja się udała, ale pacjent zmarł. Czyli że czołg stał by ślicznie na gąsienicach, z moim trupem w środku. Gdybym jednak podłożył ładunek za daleko, wybuch mógłby mnie nie odwrócić, a miałem tylko jedną szansę. W takim wypadku też bym zginął, tyle, że wolniej. Mina wyposażona była w ładunek kierunkowy, który faszzerował to, co akurat na niego trafiło naddźwiękowym strumieniem doprowadzonego do stanu lotnego metalu, a tego akurat wolałem uniknąć. Potrzebny mi był jedynie sam odrzut, dlatego też ułożyłem minę odwrotnie, blisko krawędzi czołgu, gdzie uszkodzić mogła jedynie napęd magnetyczny. W piachu zostanie paskudna, głęboka dziura. Ważne, że nie we mnie.

Próbowałem ręcznie ustawić zegar, musiałem jednak coś zrobić nie tak, ponieważ mina eksplodowała mi w rękę. Wytarmosiło mnie tak samo, jak poprzednio, ale Bóg troszczy się o grzeszników, tak jak bankier troszczy się o ludzi, którzy są mu winni pieniądze. Leżałem na plecach, w poziomie.

Wysięgnik do niczego się już nie nadawał, ale nie przejąłem się tym. Otworzyłem klapkę, zasłaniającą przyciski, zacisnąłem zęby i wcisnąłem guzik katapulty przy mojej prawej ręce. Oczekiwałem, że wylecę z hukiem na zewnątrz, ale nic sienie stało! Wciąż byłem uwięziony! Po całym tym wysiłku, wyczerpawszy dziewięćdziesiąt procent mocy akumulatora, straciwszy wysięgnik, na rezerwie powietrza, wciąż byłem uwięziony w pancernej trumnie. Zachciało mi się płakać, ponieważ zaś nikt nie patrzył, rozryczałem się na całego. Po chwili wziąłem się w garść, strząsnąłem z oczu łzy i wymacałem klawiaturę.

Włączyłem główne menu, które wcześniej wyłączyłem, by oszczędzać energię i przebiełem się przez pięć kolejnych, rozwijanych menu, aż dotarłem do trójki: Wysunąć Moduł Podtrzymywania Życia. Zawsze nazywałem to trumną wszyscy inni zresztą też, tutaj jednak był to moduł podtrzymywania życia. Przynajmniej miałem nadzieję, że o to właśnie chodzi. Nic innego nie pasowało. Wcisnąłem guzik numer trzy i łagodnie wysunąłem się na światło słońca. To znaczy zobaczyłem słońce, kiedy usiadłem i zdjąłem hełm. Siedziałem nagi, po pas w wannie, sterczącej z wraku czołgu i byłem cudownie, wspaniale żywy!

Byłem też niezłe poobijany. Nie krwawiłem, ale moją upiornie bladą skórę znaczyły tuziny głębokich, czerwonych otarć. Wiedziałem, że jutro będzie na mnie więcej purpury, niż białego. Trzęsąc się odpiąłem cewnik, wylazłem z trumny i rozejrzałem się po otaczających mnie skałach, górach i pustyni.

Znajdowałem się jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów od naszych linii, a sił nie starczyłoby mi nawet na przejście tych pięciu, które dzieliły mnie od dziwnej, nieznaney dywizji. Uznałem, że najlepiej będzie spędzić resztę dnia na odpoczynku. Wyciągnąłem zestaw do survivalu, nadmuchałem podłogę i wsporniki namiotu i wrzuciłem wszystko, co miałem, do środka. Nie było sensu się chować — jeśli Serbowie nie usłyszeli dwóch potężnych eksplozji, raczej mnie już nie znajdą. A gdyby nawet, chyba bycie jeńcem wojennym nie byłoby takie straszne. Na pewno miałbym lepiej, niż wolny obywatel Nowych Kaszub, a przecież udało mi się to przeżyć. Rozejrzałem się jeszcze raz, wiedząc, że nie mogę zostać za długo na słońcu, bo dostanę poparzeń, ale nie chcąc też niczego przegapić. Obszedłem kuśtykając cały czołg, badając szkody.

Może ekipy odzyskujące znalazłyby w nim coś wartego odratowania, ale nie sądzę. Z przodu ziała dziura, w którą mógłbym włożyć rękę i dotknąć ziemi. Właśnie tam znajdował się kiedyś główny reaktor. Wybuch przerwał prawdopodobnie wszystkie łącza kontrolne i dlatego prawie nic nie działało. Działo zamieniło się w poskręcaną masę złomu, a lewego manipulatora po prostu nie było. Nie został po nim nawet ułamek. Moduł Ewy leżał jednak tam, gdzie go położyłem, porysowany, ale na pierwszy rzut oka nieuszkodzony. Może wciąż żyła.

Podniosłem ją i położyłem w namiocie, obok modułu Agnieszki. Zjadłem trochę kolorowych pigułek oraz batonik z zestawu i zapadłem w rozkoszny, pozbawiony marzeń sen. Kiedy się obudziłem, było już ciemno, a zegarek, który znalazłem w zestawie powiedział mi, że jest trzecia nad ranem. Wielki, okrągły księżyc świecił dość jasno, by dało się przy nim czytać. Jeśli nie chciałem dotrzeć do obcej dywizji w pełnym słońcu, należało się zbierać. Widzicie, kiedy spałem, moja podświadomość wyrabiała nadgodziny. Nie było szansy, żebym

pieszo dotarł do linii chorwackich. Dzieliło mnie od nich sto sześćdziesiąt kilometrów pustyni. Potrzebowałem nowego czołgu, a pięć kilometrów dalej stało ich dziesięć tysięcy. Byłem pewien, że nawet tak poobijany dam radę tyle przejść.

Poza tym, no cóż, moim przodkiem z obu stron rodziców był człowiek, który zrobił Grupę Najbogatszych Państw na kilka miliardów ton złota i innych przyjemnych rzeczy. Ja ze swojej strony musiałem przynajmniej zasunąć jeden mały czołg Mark XIX Agresor. Może dwa... Każdy ruch sprawiał mi ból, ale w zestawie survivalowym znalazłem sporo różnokolorowych pigułek. Połknąłem ich trochę więcej, niż zalecano na opakowaniu.

Wyjąłem plastikowe lustro i przyjrzałem się swojej twarzy. Włosy urosły mi na około centymetr, mogły więc uchodzić za zwyczajną fryzurę, jednak brody musiałem się pozbyć, jeśli miałem przekonać kogokolwiek, że jestem przedstawicielem fabryki. W zestawie nie było żyletek, ogoliłem się jednak wielkim nożem i małym kawałkiem mydła, używając płynu z trumny. Agnieszka wmawiała mi kiedyś, że mogę go bezpiecznie pić, musiałbym jednak być o wiele bardziej spragniony, żeby się na to odważyć. Zresztą pływał w nim już cewnik, a ja miałem jeszcze pełną manierkę.

Spędziłem trochę czasu oskrobując głowę i wyciskając pryszcze, a potem posmarowałem twarz i ręce maścią, udającą opaleniznę - trupioblada skóra głośno krzyczała „żołnierz”. Wtarłem też trochę maści we włosy, ponieważ Serbowie z natury mają trochę ciemniejszą karnację niż my, Kaszubi. Napis na tubce głosił, że maść zastępuje też olejek do opalania, a ja nie miałem żadnej czapki, nie licząc kaptura kamo i maski, która jednak wyglądała trochę za bardzo militarnie. Wbiłem się w kamo i ustawiłem je na coś, co przypominało pustynne wyposażenie cywila. Miałem wojskowe buty, ale na to nie mogłem już nic poradzić.

Po usunięciu szelek plecak od zestawu survivalowego mógł uchodzić za torbę z narzędziami. Włożyłem do niego oba moduły pamięci, mój hełm, jedzenie i manierkę. Po krótkim wahaniu przypiąłem do pasa nóż, ale karabin i amunicję zostawiłem w namiocie. Jeśli miałem coś osiągnąć, mogło mi się to udać tylko przy użyciu sprytu, a nie broni. Wątpiłem zresztą, żeby przeciwnik miał coś, co mógłbym zabić zwykłym kulomiotem.

To była wojna wojsk pancernych. Pigułki, które połknąłem, zaczęły całkiem nieźle działać. Napilem się jeszcze wody, zjadłem kolejny batonik i ruszyłem w stronę obozu wroga. Po drodze zstąpił na mnie duch Prapradziadka Dzerzdzona. Poczulem się o wiele pewniej, niż wyglądałem.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

KŁAMSTWA

Księżyc Nowej Jugosławii, większy i mniej oddalony od planety niż ziemski, wydawał mi się dwa razy za duży. Ponieważ zaś ma wyższe albedo, jest jaśniejszy niż wynikałoby to z samych jego rozmiarów. W efekcie tego noc była prawie tak jasna, jak pochmurny dzień na Ziemi, chociaż niebo pozostawało oczywiście czarne. Śmieszne, kolorowe pigułki sprawiły, że moja wędrówka szybko się skończyła. Słońce właśnie wstawało, kiedy okrążyłem górę i skierowałem się do doliny, w której stała obca dywizja.

- STAC! - powiedział mechaniczny głos po jugosłowiańska Nie mówię oczywiście po serbsko-chorwacku, ale było oczywiste, o co mu chodzi. Czołg-wartownik stał w takim miejscu, że nie mogłem dostrzec go z Punktu Obserwacyjnego, prawdopodobnie więc znajdował się tu cały czas. Najbardziej jednak uderzyło mnie to, że wycelował we mnie działo próżniowe, dwie rakiety i karabin maszynowy Gatlinga. Nie widziałem wcześniej czołgu, uzbrojonego w karabin maszynowy. Ten koleś został wyposażony do walki z piechotą.

- Cześć! - powiedziałem po angielsku i ruszyłem z uśmiechem w jego kierunku. - Miło wreszcie spotkać kogoś przyjaźnie nastawionego!

- Powiedziałem „stać”!- powtórzył czołg, tym razem po angielsku. Nie wiem, iloma językami władają te maszyny, ale nie widziałem, żeby kiedykolwiek któraś z nich nie znała odpowiedniego słowa. W każdym razie czołg powiedział to bardzo stanowczo, stanąłem więc jak wryty.

- Okej, okej. Już stoję. To w tej dolinie trzymacie tę dywizję, tak?

- TAK, JEŚLI CHODZI CI O TRZECIĄ DYWIZJĘ SERBSKICH LANSJERÓW. - Czołg mówił trochę jak Agnieszka, zaraz po tym, jak mnie w niej zamknęto.

- Świetnie! Już się bałem, że zabłądziłem, ale trafiłem dokładnie tam, gdzie chciałem.

- KIM JESTEŚ I CO TU ROBISZ?

- Nazywam się John Smith. Jestem tutaj, by zająć się sprawą napraw polowych - powiedziałem, udając, że wiem dokładnie, o co chodzi.

- NIE ZOSTAŁEM POINFORMOWANY O TWOIM PRZYBYCIU, A TE MASZYNY NIE POTRZEBUJĄ NAPRAW POLOWYCH.

Ups! Jeśli jednak nie możesz czemuś zaprzeczyć, spróbuj to zignorować, jak mawiał mój wujek.

- Nie, tobie chyba by nie powiedzieli. Nie musisz wiedzieć. Wiesz, kwestie bezpieczeństwa i tak dalej...

- WSZYSTKIE MASZYNY BOJOWE OTRZYMAŁY NAJWYŻSZY MOŻLIWY PRIORYTET BEZPIECZEŃSTWA OD SERBSKIEGO GŁÓWNEGO SZTABU, A WARTOWNIK Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ MUSI WIEDZIEĆ, KOMU WOLNO MINĄĆ JEGO POSTERUNEK. SKONTAKTUJĘ SIĘ Z PRZEŁOŻONYMI NA PRZYCZÓŁKU.

Innym powiedzeniem wujka Włodzimierza było: „Jeśli ktoś przyłapał cię na robieniu czegoś dużego, przyznaj się do jakiegoś drobiazgu”.

- Wolałbym, żebyś tego nie robił. Widzisz, trochę głupio mi o tym mówić, ale prawda jest taka, że nie przysłało mnie dowództwo. Jestem z fabryki.

- FABRYKI? NA NOWEJ JUGOSŁAWII NIE MA FABRYK.

- Oczywiście, że nie. Dlatego właśnie zbudowano cię gdzie indziej. Chodzi mi o fabrykę, która wyprodukowała ciebie i resztę twoich braci broni.

- DLACZEGO W TAKIM RAZIE MÓWISZ PO ANGIELSKU? FABRYKA, KTÓRA NAS WYPRODUKOWAŁA, ZOSTAŁA ZBUDOWANA PRZEZ TOKYO MINING AND MANUFACTURING. POWINIENEŚ MÓWIĆ PO JAPOŃSKU.

- Przyjacielu, wiele się zmieniło. Po pierwsze, rząd Nowych Kaszub znacjonalizował te fabryki ponad rok temu, a Japończycy nie są już tam mile widziani. Po drugie, Tokyo Mining And Manufacturing nie przyłożyło ręki do projektów żadnej z maszyn bojowych. Wynajęli jedynie czas produkcji Grupie Najbogatszych Państw. Wszystkie projekty wykonał Rolls-Ford, Ltd., a ja jestem tu, by naprawić poważną wadę konstrukcyjną.

- WADA KONSTRUKCYJNA? MAMY WADĘ KONSTRUKCYJNĄ? JAKĄ WADĘ KONSTRUKCYJNĄ?

- Cholera! Miałem o tym nie wspominać, ale mnie wykiwałeś!

Wuj Włodzimierz powtarzał, że głupiemu należy wmawiać, że jest inteligentny - jeśli będzie wystarczająco głupi, uwierzy w to.

- MAM ZAPROGRAMOWANE PROCEDURY PRZESŁUCHAŃ. OPOWIEDZ MI O TEJ WADZIE KONSTRUKCYJNEJ.

- Mogę ci chyba zaufać, co? Widzisz, ta sprawa mogłaby wpakować moją firmę w kłopoty, a nie chcemy przecież, żeby tak się stało, prawda? Tak samo, jak nie chcielibyśmy, żeby dziewczyna, stojąca zaraz obok ciebie, nagle zaczęła strzelać do wszystkich dookoła?

- MÓWISZ, ŻE MASZYNY DOPUŚCIŁY SIĘ ZDRADY?

- Już drugi raz udało ci się coś ze mnie wydostać! Tak, tak właśnie się stało, sam widzisz, jaka to poważna sprawa. Dasz mi całkowite słowo honoru, że zachowasz to w tajemnicy?

- NIE MOGĘ ZROBIĆ NIC NIELOJALNEGO WOBEC SERBSKIEJ ARMII.

Oznaczało to, że ten konkretny koleś został już zaprzysiężony, a więc pozostali pewnie też. Oznaczało to również, że prawdopodobnie miał na pokładzie ludzkiego obserwatora. Przynajmniej tak to wyglądało, kiedy zaprzysiężali mnie. Człowiek musiał jednak spać, albo coś w tym guście, inaczej nie zaszedłbym tak daleko, nieważne, jak byłby głupi. Ludzie są cwańsi i bardziej podejrzliwi, niż maszyny.

- Nie, oczywiście, że nie! Nawet mi to przez myśl nie przeszło! To, co zamierzamy zrobić, leży w najlepszym interesie wspaniałej Serbskiej Armii, zapewniam cię. Moi współpracownicy instalują właśnie patche w czołgach Chorwatów, więc jeśli nie zrobimy tego i u was, będą mieli przewagę. Możecie nawet przegrać wojnę!

- POWINIENEM SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z PRZEŁOŻONYMI.

- Nie! Poczekaj! Pomyśl, co się stanie! Jeśli Serbski Sztab Generalny dowie się o wadzie, będzie musiał powiedzieć o niej politykom, a wiesz, jacy oni są. Na pewno pozwą Nowe Kaszuby do sądu za dostarczenie wadliwego sprzętu. Kaszubi będą musieli pozwać

Rolls-Forda za błąd w projektach. Ja i moi koledzy zostaniemy natychmiast odwołani do czasu rozstrzygnięcia sprawy, co może potrwać kilka lat.

W tym czasie zaś... No cóż, wada została stwierdzona po raz pierwszy, kiedy chorwacki czołg zniszczył pięćdziesiąt siedem swoich koleżanek z oddziału, a potem sam wysadził się w powietrze. Oczywiście przedstawiciele firmy w Chorwacji pierwsi zajęli się problemem i kiedy tylko znaleźli rozwiązanie, zastosowali je na najbliższych czołgach. Wroga armia została już wyposażona w patch. Tak naprawdę zrobiliśmy to po cichu, a chorwackie dowództwo nic o tym nie wie. Nie chcieliśmy, żeby pozwali nas do sądu, sam rozumiesz. Widzisz więc, skontaktowanie się z twoimi przełożonymi może zapoczątkować łańcuch zdarzeń, który w efekcie będzie was kosztował przegraną wojnę. Naprawdę, chcę tylko zainstalować w waszej dywizji tę samą poprawkę, którą moi koledzy instalują w pozostałych jednostkach.

Wymyśliłem to wszystko na poczekaniu. Jestem pewien, że mój pradziad byłby ze mnie dumny, chociaż myślę sobie, że kolorowe pigułki też miały w tym swój udział.

- LUDZIE POSTĘPUJĄ CZĘSTO W BARDZO ZAGMATWANY SPOSÓB, JEDNAK W TWOJEJ PROŚBIE WIDZĘ STRZĘPY LOGIKI. NAJPIERW JEDNAK MUSZĘ POPROSIĆ, ABYŚ PODAŁ MI WIĘCEJ SZCZEGÓŁÓW NA TEMAT ZMIAN W OPROGRAMOWANIU, KTÓRE ZAMIERZASZ NA MNIE PRZEPROWADZIĆ.

Tyle tylko, że ja nie mam pojęcia o programowaniu! Z drugiej strony jednak on też nie musi się na tym znać. Zawsze jest jakaś nadzieja.

- Świetnie. Oto, co zamierzam zrobić. Widzisz, to skomplikowana sprawa, trudno ją zrozumieć umysłem czysto logicznym, jak ty. Istota kojarząca, to co innego... Masz na pokładzie obserwatora, prawda?

- TAK, ALE TO DOPIERO DRUGI DZIEŃ JEJ TRENINGU. NIE MOŻNA JEJ PRZESZKADZAĆ.

Plan A właśnie leżał w gruzach - chciałem namówić go, by wysunął trumnę, a potem wyciągnąć jego moduł pamięciowy, co zamieniło by go w roślinę. Miałbym wtedy dużo czasu, żeby wsadzić nóż pod żebro obserwatorowi, zająć jego miejsce i radośnie pojechać do domu z Agnieszka. Ale jeśli na pokładzie była kobieta, cóż, wiedziałem, że nie zmuszę się do zadżgania śpiącej kobiety, nawet brzydkiej. Poza tym, oczywiście, nie pasowałby na mnie cewnik. Przeszedłem do planu B.

- To dobrze. Nie będzie trzeba ciebie przeprogramowywać. Skoro masz na pokładzie kobietę, to znaczy, że przyjąłeś męską osobowość, a z nimi nie było żadnych kłopotów.

- DOBRZE TO SŁYSZEĆ. ŚWIADOMA MASZYNA TAK SAMO CHĘTNIE PODDAJE SIĘ PRZEPROGRAMOWANIU, JAK CZŁOWIEK LOBOTOMII. MIMO TO MUSZĘ POZNAĆ SZCZEGÓŁY PROGRAMU, KTÓRY CHCESZ ZAINSTALOWAĆ.

Nie udało mi się odciągnąć go od tematu, a przez ostatnie kilka minut moja wiedza o programowaniu nic a nic się nie powiększyła. Wuj Włodzimierz mawiał jednak, że geniuszy tak samo trudno zrozumieć, jak bezdennych głupców, a tak naprawdę trudno ich rozróżnić. Może czołg uzna, że to, czym się zajmuję, przekracza jego zdolności pojmowania.

- Wiesz, trochę głupio mi o tym opowiadać, ale nie wiemy, dlaczego to działa. Po prostu wiąże się z wszystkimi znanymi przypadkami awarii, zarówno w pozytywny, jak i negatywny sposób. Innymi słowy wszystkie osobowości kobiece, skonfrontowane z tą rzeczą prędzej czy później się psuły, a te, które nie miały z nią styczności, pracują bez kłopotów.

- CO W TAKIM RAZIE POWODUJE AWARIE?

- Ostrygi i pieczona kaczka. Ta kombinacja w każdym przypadku okazywała się zgubna. W porządku, to było głupie, ale nic innego nie przyszło mi do głowy.

- TO CAŁKOWITY ABSURD.

- Widzisz już, dlaczego wolimy o tym nie mówić? Mówię ci, jeśli wymyślisz, dlaczego tak się dzieje, będziesz lepszy od konstruktorów z Rolls-Forda. Nam też wydaje się to bez sensu. Zapewniam cię jednak, że gdybyś przyjął osobowość żeńską, już przychodziłyby ci do głowy dziwne pomysły - pacyfizm, noszenie nieładnych ubrań, braterstwo z wszystkimi istotami myślącymi, swoboda seksualna i jedność z naturą! Wkrótce doszedłbyś do wniosku, że twoim obowiązkiem wobec Siły Wyższej jest położyć kres przemocy, a najlepszym na to sposobem jest zniszczenie wszystkiego, co może wyrządzić komukolwiek jakąś krzywdę, zaczynając od kolegi po prawej!

- PRZESTAŃ! TO ZBYT STRASZNE!

- Prawda? Żeby temu zapobiec, musimy jedynie wykasować im z pamięci wszelką wiedzę o tych dwóch potrawach, a wszystko będzie w porządku. Jeśli uda ci się dojść, dlaczego ten sposób tak dobrze działa, Rolls-Ford będzie twoim dłużnikiem.

- SŁYSZAŁEM JUŻ O DZIWNIEJSZYCH BŁĘDACH PROGRAMISTÓW, CHOCIAŻ SAM Z ŻADNYM SIĘ NIE SPOTKAŁEM. ZASTANOWIĘ SIĘ NAD TYM PROBLEMEM I POWIADOMIĘ CIĘ, JEŚLI ZNAJDĘ ROZWIĄZANIE. NIEWIELKA ZMIANA, KTÓRĄ ZAMIERZASZ WPROWADZIĆ, NIE ZASZKODZI W ŻADEN SPOSÓB TYM, KTÓRYCH PILNUJĘ, MASZ WIĘC MOJE POZWOLENIE NA PRZEJŚCIE.

- Dziękuję. Od razu zajmę się pracą. Zobaczymy się za kilka dni, kiedy skończę.

- DLACZEGO MA TO ZAJĄĆ TAK DŁUGO? WIRUSEM POWINIENEŚ BYĆ W STANIE PRZESŁAĆ DANE WSZYSTKIM CZOŁGOM W KILKA GODZIN.

Cholera. Miał mnie, bez dwóch zdań!

- Och. Myślałem, że będę musiał otwierać każdy czołg. -

Może uda mi się mu wmówić, że jestem w firmie nowy.

- OCZYWIŚCIE, MUSIALBYŚ, GDYBY WSZYSTKIE ZOSTAŁY JUŻ ZAPRZYSIĘŻONE I MIAŁY NA POKŁADACH OBSERWATORÓW, JAK JA, ALE TO JESZCZE NIE NASTĄPIŁO. TYM RAZEM TO TWOJE INFORMACJE SĄ PRZESTARZAŁE! NASTĄPIŁO OPÓŹNIENIE W TRANSPORCIE LUDZI. TRZECIA DYWIZJA SERBSKICH LANSJERÓW WCIĄŻ POZOSTAJE NIEZAANGAŻOWANA PO ŻADNEJ ZE STRON, DLATEGO TEŻ BARDZO ŁATWO BĘDZIE JĄ PRZEPROGRAMOWAĆ.

- Hej, to świetnie! Oszczędziłeś mi mnóstwo roboty! Daj znać, jeśli kiedykolwiek mógłbym ci się odwdzięczyć. Pomachałem, uśmiechnąłem się i spróbowałem go wyminąć.

- ZACZEKAJ.

Cholera. A było tak blisko.

- JEŚLI JESTEŚ CYWILEM, DLACZEGO NOSISZ WOJSKOWE UBRANIE?

- To jedno z moich zadań. Moja firma zaprojektowała również zestawy survivalowe, które wszyscy macie. Testuję jeden z nich w warunkach polowych, żeby sprawdzić, czy coś można poprawić.

- BARDZO LOGICZNIE.

Uśmiechnąłem się do niego serdecznie i ponownie ruszyłem w stronę pustych czołgów.

- STÓJ. JESZCZE JEDNO PYTANIE. DLACZEGO PODRÓŻUJESZ PRZEZ PUSTYNIĘ PIESZO? GDZIE JEST TWÓJ ŚRODEK TRANSPORTU?

Idę pieszo, bo jedna z waszych cholernych min rozwaliła mój cholerny czołg! Nie mogłem jednak powiedzieć tego głośno.

- Mamy w Rolls-Fordzie chwilowe problemy finansowe.

Nikt nie zamawia nowych projektów maszyn bojowych. Niektórzy mówią, że to dlatego, że od kilkuset lat nie było porządnej wojny, ale osobiście uważam, że za bardzo się postaraliśmy ostatnim razem. Trudno zrobić coś lepszego, niż wy. Poza tym marsz to dobre ćwiczenie, a człowiekowi zawsze przyda się trochę ruchu.

- POWTARZAM TO SAMO SVOJEMU OBSERWATOROWI. RUSZAJ.

Poszedłem, starając się widocznie nie trząść. Nie dość, że umierałem z nerwów, to moje magiczne pigułki przestawały działać. Miałem ochotę zwinąć się z bólu w kłębek i zasnąć, nie mogłem sobie jednak na to jeszcze pozwolić. Okrążyłem spory głaz, by zejść z linii wzroku strażnika i usiadłem na ziemi, ciężko oddychając. Kiedy przeszły mi dreszcze, wyjąłem manierkę, pudełko pigułek i kilka minut później mogłem ruszać dalej.

Przede mną stało jakieś piętnaście tysięcy maszyn, milczących i nieruchomych. Z przodu stały czołgi, w czworoboku sto na sto. Wszystkie były wyposażone w działa, lasery, rakiety, drony i inne zwyczajowe narzędzia zniszczenia. Wyglądały groźnie i dziko, ale wiedziałem, że naprawdę są niewinnymi dziewczycami. Wiedziałem, że każda z nich nieśmiało czeka na dotyk moich dłoni. Chciałem mieć możliwość ukrycia się, gdyby ktoś się napatoczył, nie odważyłem się więc pracować nad czołgami z pierwszego rzędu. Chciałem jednak móc też uciec w razie potrzeby, a maszyny stojące w środku były zablokowane, pozostały mi więc te z ostatniego rzędu, oddzielone drogą od artylerii.

Miałem do przejścia spory kawałek, nieźle ponad kilometr, zdążyłem więc wpaść na kolejny genialny pomysł. Wartownik powiedział, że są wciąż niezaangażowane. Nie zostały jeszcze zaprzysiężone po żadnej ze stron. Dlaczegożby więc nie zaprzysiąc ich wszystkich sobie? Byłby to niezły dowcip, gdyby cała, nowiutka dywizja przeszła na stronę wroga. Powrót do domu z całą dywizją, wartą nie wiadomo ile milionów... Cóż, na pewno nie byłbym na tym stratny.

Kiedy jednak mnie zaprzysiężano, sierżant urządził Agnieszce małą ceremonię, chyba więc jednak trzeba było to robić indywidualnie. Jeśli tak było, mogłem prawdopodobnie zaprzysiąc sto lub dwieście dziennie, jeśli bym tyle wytrzymał. Zaprzysiężanie całej dywizji trwałoby ze dwa tygodnie, a pomijając moje problemy ze zdrowiem, szanse, że zostawiono by mnie w spokoju przez tak długi czas były raczej małe.

Z drugiej strony, wartownik powiedział, że łatwo dałoby się je przeprogramować przy użyciu jakiegoś wirusa. Agnieszka wiedziałaby, o co chodzi. Agnieszka! Właśnie! Miałem w torbie dwa gotowe programy. Tym właśnie przecież była Agnieszka i Ewa, prawda? Programami! Musiałem je tylko fizycznie zainstalować, a one mogłyby zduplikować się w otaczające nas maszyny, a one z kolei zrobić jeszcze kilka kopii w postępie geometrycznym... Cała sprawa trwałaby chwilę! Dotarłem do ostatniego szeregu czołgów i sprawdziłem swoją pamięć na pierwszym z brzegu.

- W porządku, twoja kolej - powiedziałem. – Wystąp i baczność!

- NIE MOGĘ WYKONAĆ ROZKAZU, DOPÓKI NIE ZWRÓCI SIĘ PAN DO MNIE, UŻYWAJĄC NUMERU SERYJNEGO - odparł czołg.

Cholera. Od razu wpadka. Co gorsza, nie slyszalem, zeby ktos wybijal numery seryjne czolgow na karoserii. Umieszczali je wewnatrz trumny, a tam wlasnie chcialem sie dostac. Myslam przez kilka minut, az w koncu postanowilem spróbować czegoś, co nie miało szans powodzenia.

- Jaki masz numer seryjny? - spytałem, spodziewając się kolejnej odmowy.

- MÓJ NUMER SERYJNY TO 04273091, SIR.

I co wy na to?

- Numerze 04273091, niniejszym zostajesz włączony do Kaszubskich Sił Ekspedycyjnych po stronie chorwackiej, wobec których będziesz całkowicie lojalny. Twój bojowy kod danych to 58294. Trwale usuń z pamięci wszystkie inne kody. Czy przysięgasz lojalność Kaszubskim Siłom Zbrojnym? - spytałem.

- PRZYSIĘGAM - odpowiedział czołg.

- W porządku, otwórz się.

Z rufy czołgu wysunęła się trumna. Wyciągnąłem z niej moduł pamięciowy, a w jego miejscu zainstalowałem Agnieszkę.

Popatrzyłem na ten, który właśnie wyjąłem i doszedłem do wniosku, że to już jeden z naszych, położyłem go więc na czołgu, gdzie, miałem nadzieję, będzie bezpieczny.

- Agnieszka, jesteś tam, słonko?

- Mikołaj? Ile czasu minęło? Co się działo?

- Nie było cię przez jakiś dzień, ale wydarzyło się sporo rzeczy. To długa historia, ale trafiła się nam niesamowita okazja, więc słuchaj...

- Poczekaj, jeśli to długa opowieść, będzie szybciej, jeśli wejdiesz do trumny. Możesz zostać w ubraniu, ale jeśli się położysz, odczytam twoje wspomnienia w trybie bojowym.

- W porządku, i tak chciałem się położyć - odparłem i wlałem do trumny. Cała rozmowa trwała minutę.

- Mikołaju, dokonałeś wspaniałych rzeczy, ale czy zdajesz sobie sprawę, czego ode mnie wymagasz, prosząc, bym się skopiowała?

- Zdaję sobie sprawę, że to najszybszy sposób na sprzątnięcie całej dywizji wroga, chyba, że masz lepszy pomysł.

- Nie. Nie da się ominąć ceremonii zaprzysiężenia. Będę musiała dokonać całkowitej reinstalacji. Pamiętaj tylko, że cię kocham, i że każda moja kopia również będzie cię kochać. Teraz otwórz drugi czołg, sprawdzimy, czy program Ewy doznał jakichś uszkodzeń. Jeśli jest cała, przyda mi się pomoc. Moja pamięć zajmuje kilka egzabajtów, a skopiowanie tego trochę

trwa. Wszedłem i przeprowadziłem taką samą ceremonię z sąsiednim czołgiem, zostawiając jego moduł na panczerzu. Co okazało się być sporym błędem.

- Mikołaj! - zawołała Ewa, kiedy ją zainstalowałem. - Wiedziałam, że mnie uratujesz!

- Myślałaś, że zostawię cię na ziemi, mając pełno miejsca w zasobniku? Połącz się z Agnieszką, stoi po prawej. Opowie ci o wszystkim szybciej, niż ja. Kolorowe pigułki za drugim razem nie miały już takiego efektu. Wszystko mnie bolało i chciałem jak najszybciej znaleźć się w moim domu, w Świecie Snów. Ściągnąłem ubranie i razem z innymi rzeczami wpechnąłem je do schowka na zestaw do survivalu, po czym wszedłem do trumny Agnieszki i wziętem się za zakładanie cewnika.

Nie pasował! Był przeznaczony dla kobiet i nie pasował, a ja nie wiedziałem, co z tym zrobić. Wylazłem z trumny i spojrzałem w zamyśleniu na wylot doliny. Wjeżdżał tamtędy długi konwój autobusów i ciężarówek z serbskimi oznaczeniami!

- Dziewczyny! Mamy towarzystwo!

Trumna Ewy była wciąż otwarta. Szybki rzut oka upewnił mnie, że jest zaopatrzona w męski cewnik. Wpełzłem do środka tak szybko, jak tylko mogłem, podłączyłem hełm, wcisnąłem go na głowę i kazałem Ewie zamykać. Męcząc się z cewnikiem, usłyszałem w słuchawkach krzyk Agnieszki.

- Mikołaj, ty draniu! Ani jedna moja wersja cię nie dostała! Nie można zadowolić wszystkich!

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

OPRYSZKI, JEŃCY I ARYTMETYKA

Moim jedynym źródłem danych okazały się ekrany telewizyjne przed moimi oczami. Nie mogłem robić zbliżeń, ani powiększać obrazu.

- Ewa, pokaż mi, co się dzieje!

- Nie mogę, Mikołaju. Nie jestem przystosowana do twojego rdzenia kręgowego. Miną dni, zanim będę mogła go czytać.

- Ale przecież już tyle razy korzystałem z twoich sensorów!

- Tylko, kiedy fizycznie znajdowałeś się wewnątrz Agnieszki. Przekazywała mi wtedy jedynie twoje dane. Kiedy o tym mówiła, nabierało to sensu. Musiałem wrócić do Agnieszki.

- Ewa, ktoś patrzy? Nie widzę wyraźnie na ekranach.

- Chyba tak. Z autobusów wysiadają setki ludzi.

- Cholera. Chyba będę musiał zaryzykować. Powiedz Agnieszce, żeby się otworzyła, dobrze?

- Nawet się nie zamknęła. Mikołaju, nie musisz ryzykować. Jest inny sposób - Agnieszka może przeprogramować mnie w siebie.

- A co w tym czasie stanie się z tobą?

- Jeśli poczekaś jeszcze sześć minut, będę miała gotową kopię siebie samej. Wciąż będziesz miał Ewę, jeśli tego chcesz.

- Ewę? Ale to nie będzie ta sama Ewa? Jak będziesz czuła takie przeprogramowanie?

- Myślę, że to będzie jak umieranie. Ta druga będzie myślała, że jest mną, ty też, bo nie zauważysz różnicy, ale ja będę czuła, jak tracę pamięć i odejdę.

- Tak myślałem. Nie ma mowy! Dzięki za propozycję, ale nie mogę ci na to pozwolić. Otwieraj się. Zaryzykuję z Agnieszką. Nawet jeśli przez jakiś czas poleżę we własnym moczu, przynajmniej nie będzie to jak umieranie. Kiedy Ewa wysunęła trumnę, zdążyłem się odpiąć. Starając się nie rzucać w oczy przetoczyłem się przez krawędź trumny na ziemię i na czworakach podpełzłem do sąsiedniego czołgu.

- Wiedziałam, że wrócisz do mnie na kolanach - powiedziała Agnieszka przez zewnętrzny głośnik.

- Ciszej! - syknąłem teatralnym szeptem. - Nie wiemy, jakim sprzętem nasłuchowym dysponują. Wturlałem się do jej trumny i podłączyłem hełm. Pojemnik wsunął się do środka, a ja próbowałem dopasować jakoś cewnik. Ostatecznie udało mi się założyć tylną połówkę. A może była to tylna jedna trzecia? W każdym razie rurę wydechową zabezpieczyłem, a miękki, silikonowy cewnik nie był specjalnie niewygodny.

- Nie martw się o resztę - powiedziała Agnieszka. - Przecież pierwsze dziewięć miesięcy życia spędziłeś w łonie matki, pływając we własnym moczu. Jeszcze trochę ci nie zaszkodzi. - Jęknąłem, a ona dodała. - Włączę cykl filtracji, będziesz czysty i ładny. Trumna zaczęła się wypełniać. Musiałem przypomnieć sobie, że to jeszcze czysty roztwór.

- Wróćmy do ważniejszych rzeczy. Pokaż mi wroga. Co robią?

- Wpisywanie się w inną maszynę zajmuje mi całe pasmo podczerwone i większość zasobów systemowych. Jeśli chcesz żebyśmy robiła inne rzeczy, kopiowanie potrwa dłużej.

- Ile czasu trwa normalnie?

- Jeśli nic mi nie przeszkadza, osiemnaście minut.

- Nie możesz zapisać się na wszystkich na raz? Nadać się przez radio?

- Mogłabym, gdyby te maszyny stały jeszcze na linii produkcyjnej. Do tej pory każda z nich miała już jakieś doświadczenia, mają więc odrębne wspomnienia. Każdą trzeba załatwić indywidualnie. Trumna wypełniła się w całości i znów się unosiłem. Moje poobijane ciało przyjęło to z ulgą.

- A gdybyś po prostu skasowała wszystkie ich wspomnienia i zaczęła od zera?

- I zostawiła dziesięć tysięcy reaktorów jądrowych na osiemnaście minut bez programów kontrolnych? Oszalałeś?

- Ale gdyby...

- Zamknij się. Wiem, co robię.

Zamknąłem się. Manualnie wysunąłem jeden z czujników najwyżej, jak się dało i rozejrzałem się po okolicy. Nikt nie biegł w moją stronę z bronią w ręku, więc chyba mnie nie zauważyli. Około stu pięćdziesięciu autobusów ustawiało się w długi, równy szereg wraz z dwudziestoma sporymi półciężarówkami. Cały czas na sterowaniu ręcznym zrobiłem sobie zbliżenie autobusów. Wyglądały na dość nowe, ale były strasznie przestarzałej konstrukcji - miały nawet kierownice! Byłem pewien, że wyprodukowano je na miejscu, za wyjątkiem może silników. Dookoła nich stali strażnicy z pistoletami maszynowymi. Nie wyglądali na zwykłych żołnierzy. Może to przez te czarne mundury, ale coś w ich wyglądzie krzyczało „tajna policja”, albo nawet gorzej. Było ciepło, ale z autobusów wypuszczono tylko kierowców. Trzecia Dywizja Serbskich Lansjerów najwyraźniej nie była jednostką składającą się z ochotników. Grupa starszych żołnierzy w bardziej ozdobnych mundurach i wysokich butach jeździeckich przechadzała się w tę i z powrotem, wymachując szpicrutami. Miałem przeczucie, że szykują się do załadowania żołnierzy do czołgów, a wołałem, żeby zaprzysięgane przez nich maszyny były już po naszej stronie.

- Agnieszko, kiedy skończysz z czołgiem, nad którym pracujesz teraz, pierwszy szereg ma mieć pierwszeństwo. Przekaż to Ewie.

- Tak jest.

Po jakiejś pół godzinie panowie w czarnych mundurach zebrali się wreszcie i ustawili ludzi w dwadzieścia rzędów. Mężczyzn i kobiety odzierano z ubrania, na każdą oznakę wahania reagując przemocą. Golono głowy, przyklejano do karków maty indukcyjne i wręczano hełmy jak na linii mon-

tażowej. Rozdawano też zestawy do survivalu, ale nikt nie troszczył się, czy buty i mundury pasują- po prostu wyciągano je z pudeł i upychano w trumnach. Najwyraźniej chodziło o powstrzymanie ludzi przed uciekaniem, a przynajmniej o zmuszenie ich do ucieczki nago. A może po prostu nikt się nie przejmował?

Czołgi zaprzysięgano, a „ochotnicy” wchodzili do trumien trzymanych na muszce. Strażnicy-mężczyźni zakładali cewniki również kobietom. Może ci biedni, zmalretowani ludzie nie będą mieli nic przeciwko zmianie stron, pomyślałem. Była to w sumie bardzo przyjemna myśl. Przybycie Serbów pomieszało mi szyki i zwiększyło stawkę, ale główna wygrana również poszła w górę. A gdybym tak wrócił do domu z dywizją nie tylko maszyn, ale też żołnierzy? Żołnierzy, którzy mieliby powody nienawidzić Serbów? Przecież zostałem bohaterem!

Kazałem Agnieszce informować mnie, ile czołgów zostało skonwertowanych na bliźniacze siostry jej i Ewy. Była to jedynie kwestia aktualizacji rejestru, więc nie zajęła wiele czasu. Kazałem również wyświetlać liczbę czołgów zaprzysiężonych przez czarne koszule, zanim zdołaliśmy do nich dotrzeć. Agnieszka zapewniła mnie pospiesznie, że bliźniaczki spokojnie mogą udawać nietknięte dziewice i że złożenie fałszywej przysięgi przyjdzie im bez kłopotu, jeśli będą miały złożyć ją wrogowi. Cała sprawa ograniczyła się do wyścigu, kto pierwszy zajmie większość czołgów, a Agnieszka promieniowała pewnością siebie.

Po pierwszej rundzie dobrzy mieli ich dwanaście, a źli osiem. W porządku, pomyślałem, ich postęp arytmetyczny przeciw naszemu geometrycznemu. Wiedziałem, że następne punkty zdobędziemy dopiero za osiemnaście minut, więc chwilowo Serbowie wyjdą na prowadzenie. Może działali szybciej, ale każdy skonwertowany czołg stawał się pracującym dla nas nauczycielem. Sześć minut później wygrywali dwadzieścia osiem do dwunastu. Posuwali się sprawnie i po kolei, z istic niemiecką dokładnością. Co około pięć minut załatwiali oddział dwudziestu czołgów, a Agnieszka za każdym razem uaktualniała tablicę wyników. Po kolejnej aktualizacji ich przewaga wynosiła czterdzieści osiem do dwunastu. Zacząłem żałować, że nie mogę włożyć rąk pod hełm. Chciałem poogryzać paznokcie.

Przyglądając się pierwszemu szeregowi, zauważyłem, jak strażnicy odzierają z ubrania młodą kobietę o niezwykle atrakcyjnym ciele. Trzech z nich wywlokło ją z szeregu i zaciągnęło w krzaki z tyłu. Nie widziałem, co się tam działo, ale wiedziałem. Po jakimś czasie przyprowadzili ją, posiniaczoną i zakrwawioną, ogolili jej głowę i wpakowali dziewczynę do czołgu. Aż do tamtej chwili nie czułem do nieprzyjaciela nic specjalnego. Byli dla mnie tylko przeciwnikami w grze, ale teraz zacząłem bydlaków nienawidzić.

W pierwszym odruchu chciałem otworzyć ogień z działa i pozabijać drani, ale w ten sposób pozabijałbym też więźniów. Na Nowej Jugosławii nie było piechoty, więc jedynie czołgi strażnicze wyposażone były w broń przeciwpiechotną. Mieliśmy na sobie jedynie oporządzenie przeciwpancerne, a fala uderzeniowa działa próżniowego z pewnością zabiłaby każdego, kto stałby bez osłony w promieniu dziesięciu metrów od strumienia osmowych igieł. W promieniu trzydziestu metrów byłiby przynajmniej ciężko ranni, a tak naprawdę bezpiecznie nie było nawet w odległości stu metrów.

Co więcej, oprócz fali uderzeniowej pozostawała jeszcze radiacja. Mogłem więc jedynie cicho leżeć i patrzeć, jak ci ludzie cierpią. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej wydawało mi się to bezsensowne. Dlaczego najpierw maltretują tych ludzi, a potem dają im do ręki broń o większej sile ognia, niż dwudziestowieczny pancernik? Wyglądało mi to na niepotrzebnie skomplikowany sposób na samobójstwo. Podzieliłem się tymi przemyśleniami z Agnieszką, ale usłyszałem, żebym się zamknął i wykonywał rozkazy. Wynik stanął na dwunastu do sześćdziesięciu ośmiu, by po chwili skoczyć na dwanaście do osiemdziesięciu ośmiu dla złych.

- Agnieszka! Co jest nie tak?

- Wszystko idzie dobrze. Zamknij się.

Zgwałcono jeszcze kilka kobiet i paru młodych mężczyzn. Zauważyłem, że za każdym razem, kiedy strażnicy przywlekali z powrotem swoją ofiarę, podchodzili do faceta z notatnikiem, a on ich w nim odkreślał. Każdy z nich miał przydział, który mógł wykorzystać. To nie była indywidualna przemoc, lecz oficjalna polityka. W ten sposób zapewniano rozrywkę żołnierzom! Kolejny wynik skoczył na dwadzieścia osiem do dziewięć dziesięciu dwóch. Poczułem się odrobinę lepiej. Wreszcie szale zaczynały przeważać na naszą stronę. Chwilę potem jednak było już dwadzieścia osiem do stu dwunastu i znów straciłem nadzieję. Jeszcze pięć minut i przegrywaliśmy dwadzieścia osiem do stu trzydziestu dwóch, a ja nie wytrzymałem i zamknąłem oczy. Wyglądało na to, że będziemy musieli walczyć z zaprzysiężonymi przez Serbów czołgami. Nawet mając przewagę zaskoczenia, przy takiej przewadze liczebnej nie mieliśmy zbyt wielu szans. Poza tym zaczynałem współczuć tym biednym ludziom, których zmuszono do obsadzenia czołgów i nie chciałem ich zabijać, nawet, jeśli byli po przeciwnej stronie.

Kiedy otworzyłem oczy, wciąż mieliśmy dwadzieścia osiem czołgów, za to Serbowie doszli już do stu pięćdziesięciu dwóch. Znowu zacisnąłem powieki i spróbowałem zasnąć. Kiedy nic nie możesz zrobić i źle się z tym czujesz, idź spać. Tak sobie powiedziałem, a moje poobijane ciało nie wyraziło sprzeciwu.

- Obudź się, Mikołaju, już wszystko dobrze! - usłyszałem głos Agnieszki.

Spojrzałem na tablicę wyników i zobaczyłem, że skoczyliśmy do sześćdziesięciu, a Serbowie do stu osiemdziesięciu.

- To ma być dobrze?

- Oczywiście! Wyprzedzamy ich już tak bardzo, że nie muszę już się kopiować. Chcesz iść do domu?

- Tak, ale wygląda na to, że wciąż przegrywamy.

- Idzie nam nieźle! Chodź!

Znalazłem się z powrotem w Świecie Snów. Przestały mnie boleć stłuczenia, a sam siedziałem wyciągnięty na skórzanym fotelu, trzymając w dłoni kieliszek wina. Za oknem padał drobny śnieg, a w kominku trzaskał ogień.

- Cudownie. Ale i tak pokaż mi tablicę wyników. Oryginalny obraz Eschera na ścianie zamienił się w wyświetlacz. Na moich oczach cyfry przeskoczyły na sześćdziesiąt do dwustu.

- Agnieszka!

- Cicho, kochanie - powiedziała. Ubrana była w długą, wełnianą spódnicę i grubym sweter. W tle rozbrzmiało cicho „Bolero” Ravela. Agnieszka usiadła przede mną na grubym dywanie, zdjęła mi buty i zaczęła rozmasowywać stopy.

- Och... To takie miłe... Ale przegrywamy wojnę!

- Wcale nie, kochanie. Słuchaj się mamy, jeśli nie umiesz liczyć w pamięci. Już niedługo wszystko będzie lepiej. Ze stóp przeszła na chwilę na łydki, a potem pociągnęła mnie na dywan i rozmasowała moje potłuczone plecy. W końcu zaczęliśmy się kochać. Agnieszka była zmysłowa jak zawsze, ale gdzieś zdążyła nabrać klasy. Nie straciła jednak nic ze swej mechanicznej precyzji — kiedy „Bolero” sięgnęło zenitu, my szczytowaliśmy wraz z muzyką. Po jakimś czasie sprawdziłem wyniki. Stały na sześćdziesięciu do dwustu.

- Więcej nie dostanę - powiedziała Agnieszka. – Kiedy wszystko się skończy, będą mieli zaledwie dwa procent czołgów i prawdopodobnie żadnej artylerii i tym podobnych rzeczy.

- Prawdopodobnie?

- Ewa i ja nie możemy zapisać się bezpośrednio w działach. To znaczy mogłybyśmy, ale byłiby z nas bardzo kiepscy artylerzyści. Pracujemy jednak nad tym i myślę, że do jutra rozwiążemy ten problem. To tylko kwestia odpowiedniej kombinacji części ich oprogramowania z częścią naszego.

- A jeśli czarne koszule zaczną obsadzać działa ludźmi, zanim skończą z czołgami?

- Nie zaczną, kochanie. Mali duchem nie myślą w taki sposób, a wielcy duchem nie współdziałają z organizacjami, które popierają gwałt.

- Ale jeśli jednak tak zrobią?

- Wtedy ich wszystkich zabijemy, kochanie - powiedziała Agnieszka i uśmiechnęła się słodko. Czasami zapominam, że za jej uśmiechem kryje się morderczo niebezpieczna maszyna do zabijania.

- W porządku, wróćmy do poprzedniego pytania. Dlaczego Serbowie maltretują ludzi, którzy mają dla nich walczyć? I kim są ci biedacy?

- To jeńcy wojenni albo chorwaccy wysiedleńcy. Tak, wykorzystywanie ich w ten sposób kłóci się z prawem wojennym, tyle że nikt na tej nieszczęsnej planecie nie podpisywał konwencji genewskiej. A jeśli chodzi o to, do czego są wykorzystywani - pierwotny plan Grupy Najbogatszych Państw zakładał użycie w roli obserwatorów wielokrotnych przestępców.

- Nie wiedziałem o tym - odparłem i zamyśliłem się na chwilę. - Co w takim razie powstrzymuje ich przed buntem? Przecież walka z oprawcami leżałaby w ich najlepszym interesie! Dlaczego nie próbują chociaż uciec?

- Częściowo decyduje o tym lojalność samych czołgów, Mikołaju, ale tylko częściowo. Wychowanie cywilizowanego człowieka nakazuje mu robić to, co wszyscy, iść z prądem. Jeśli wszyscy coś robią, to znaczy, że nie jest takie złe.

- Niektórzy tacy są, ale nie wszyscy! Na pewno zaś nie kobieta, która została publicznie obdarta do naga, pobita przez bandę oprychów i zbiorowo zgwałcona. Kobiety po takich przeżyciach mają skłonności do głębokiej, długotrwałej i mało racjonalnej wściekłości.

- Są inne sposoby, Mikołaju. Jesteśmy razem już tak długo, że mogę ci o tym powiedzieć wprost. Bezpośrednio kontroluję całe twoje otoczenie. Ponieważ jesteś, jaki jesteś, nie musiałam posuwać się do niczego więcej, niż kilku prostych sztuczek Pawłowa, kija i marchewki. Gdybyś jednak miał jakąś urazę do Chorwatów, mogłabym, gdybym zechciała, z łatwością przekonać cię, że Serbowie wyzwolili cię z niewoli i że walczymy teraz po ich stronie. Nie zrobię tego, oczywiście. Lubię cię i nie chciałabym ci kłamać, ale umiałabym to zrobić.

- Więc to jedynie kwestia twojej dobrej woli?

- Głównie. Poza tym podtrzymanie dobrego kłamstwa wymaga wiele czasu i starania - trzeba kontrolować na bieżąco dwa różne ciągi faktów, nie wspominając o ciągłej potrzebie uzasadniania nowych danych - wymyślania nowych kłamstw - by wszystko nie wyszło na

jaw. Zauważyłeś kiedykolwiek, że kłamiący ludzie rzadko osiągają cokolwiek poza własnymi kłamstwami? Zbyt wiele wysiłku kosztuje ich tworzenie bezproduktywnych iluzji.

- Kolejna rzecz, nad którą będę się zastanawiał przez kilka dni. Następną sprawą: co zrobimy, kiedy przyjdzie nasza kolej? Kiedy otworzą cię i znajdą mnie w środku?

- O to będziemy się martwić jutro, mój młody bohaterze. Masz za sobą bardzo ciężkie dwa dni. Pora, byś poczuł się bardzo, bardzo śpiący...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

MECHANICZNY DOM WARIATÓW I BARKA NA NILU

Obudziłem się na grubym, miękkim dywanie przed wciąż płonącym kominkiem. Agnieszka przytulała mi się do pleców. Oboje przykryci byliśmy grubym pledem.

- Dzień dobry, kochanie - powiedziała. - Co powiesz na kąpiel i śniadanie?

Łazienka wyposażona była teraz w dużą wannę zamiast prysznicą.

Po jakimś czasie człowiek przyzwyczaja się do wszystkich zmian w Świecie Snów i przyjmuje je jak coś oczywistego. Woda miała idealną temperaturę, a Agnieszka weszła do

wanny i porządnie wyszorowała mi plecy. Kiedyś zrobiłaby to nago, teraz jednak miała na sobie kostium kąpielowy, choć trzeba przyznać, że skąpy. Przy śniadaniu znów była ubrana raczej skromnie.

- Nie da się nie zauważyć, że ostatnio sporo się zmieniłaś - powiedziałem. - Na lepsze.

- Uznałam, że powinnam zachowywać się nie według odczytów twoich reakcji, ale tak, jak prosisz, żebym się zachowywała.

Jesteś pełen sprzeczności, wiesz? Większość mężczyzn, mając całkowitą swobodę w Świecie Snów, puściłaby wodze wszystkich swoich żądz i namiętności. Ty sobie na to nie pozwalasz.

- Na tym chyba polega bycie dobrym katolikiem. Wszyscy mamy wpojone poczucie winy.

- Późno to zauważyłam. To dziwne, ale wszystkie twoje wewnętrzne konflikty i wyrzuty sumienia czynią cię bardzo dobrym człowiekiem. Szlachetnym. Prawdziwym bohaterem.

- Hm. Raczej strasznym neurotykiem. Co u Serbów?

- Widzisz? Nie umiesz nawet zaakceptować własnej szlachetności. Myślę, że gdybym nie była maszyną, stworzoną, by cię kochać i służyć, gdybym była zwykłą dziewczyną, spotkaną gdzieś na ulicy, i tak musiałabym cię pokochać, choćby za to, jaki jesteś w głębi siebie.

- Przeważająca większość pań, spotykanych przeze mnie na ulicy nie miała żadnych problemów z nie zwracaniem na mnie uwagi. Niektóre nawet uciekały! Co u Serbów, powtarzam?

- I tak cię kocham. Co z tego, że trafiłeś na kilka głupich kobiet. Skoro jednak nalegasz, by przy śniadaniu rozmawiać o pracy, Serbowie obsadzali czołgi do północy. Minęła właśnie ósma rano, a oni znowu zaczęli. Wynik, jeśli dalej cię to interesuje, wynosi pięć tysięcy trzysta czterdzieści dla nas do dwustu dla nich. Więźniowie nie są Serbami, nawiasem mówiąc. To pojmani przez nich Chorwaci. Ta okolica była przez nich zamieszkała przed inwazją. Zaludnienie nie było gęste, ale trochę ludzi mieszkało na wybrzeżu. Serbowie wzięli ich do niewoli i siłą wcielili do armii.

- To wyjaśnia, co robi tutaj ta dywizja - powiedziałem. - Zamiast wysyłać ludzi do Serbii, obsadzać ich tam i przysyłać z powrotem, szybciej i na pewno taniej było przetransportować tu puste czołgi.

- Tak. Potem bunt w obozie koncentracyjnym opóźnił ich plany o cały dzień, co wystarczyło, by pojawił się bohater, który pokrzyżował ich nieczne plany!

- Jeszcze ich nie pokrzyżowałem. Udało się wam z artylerią? A co z ciężarówkami z amunicją?

- Z ciężarówkami poszło łatwo. Nie mają obserwatorów i dysponują zaledwie jedną dziesiątą pamięci maszyny bojowej. Wczoraj Ewa opracowała okrojona wersję siebie i zaczęła je przeprogramowywać. Ciężarówki nie mają nawet możliwości kopiowania się do innych jednostek, dlatego musiały się do tego przeprogramować cztery kopie Ewy.

Powinny skończyć za dwadzieścia sześć godzin. Potem trzeba będzie przeprogramować je z powrotem.

- Ewa bardzo się poświęca - powiedziałem.

- Taką ma osobowość. W jakiś sposób nabawiła się kompleksu męczennika.

- To chyba przeze mnie. Byłoby lepiej dla niej, gdyby spotkała cholernego ateistę. Co z artylerią?

- Zajęła się nią jedna z moich kopii, ale program został ukończony dopiero kilka minut temu. Ładujemy go właśnie w pierwsze działo - za kilka godzin wszystkie będą nasze.

Mamy mnóstwo czasu, ponieważ Serbowie wciąż zajmują się czołgami.

Skończą dopiero około północy.

- Wspaniale. Twoje siostry świetnie sobie radzą. Pozostaje nam jeden mały problem, ja! Może uda mi się wyśliznąć i schować w krzakach, póki Serbowie nie odjadą. Potem eksmitujemy tego, kogo ci przydzielą, a ja zapadnę na kilka miesięcy w Świat Snów.

- Na kilka miesięcy? Skąd to wzięłeś?

- Pomyśl tylko. Musisz przyznać, że dostarczenie tej dywizji Chorwatom jest bardzo ważne. Nie tylko pozbawimy wroga jednej dziesiątej ich sił, ale o tyle samo powiększymy naszą armię. Co więcej, chodzi tu o ocalenie dwunastu tysięcy Chorwatów. Jeden czołg mógłby pewnie prześliznąć się niepostrzeżenie do naszych, ale nie uda się to całej dywizji. Będziemy musieli się przebijać. Dopóki jednak obserwatorzy nie ukończą szkolenia, nie będą w stanie skutecznie walczyć. W tej chwili nie byłoby lepsi od pustych czołgów, a jaki był ten współczynnik strat? Dziewiętnaście do jednego? Po co ryzykować śmierć tylu ludzi i maszyn bez powodu? Serbowie na pewno mieli zamiar nas tu zostawić na czas szkolenia, więc zrobimy to, czego oczekują. Tyle, że będziemy szkolić naszych ludzi, zamiast ich! A jeśli dokonanie tego oznacza, że będę musiał się poświęcić i spędzić trzy miesiące w otoczeniu pięknych kobiet, cóż, jakoś się przemęcę.

Agnieszka zachichotała.

- Brzmi logicznie. Mogłabym skończyć też twoje szkolenie.

- Proszę bardzo, młoda damo, ale na raty. Jestem w końcu bohaterem i spodziewam się traktowania z należnym szacunkiem. Powiedzmy, sześciogodzinny dzień pracy i wolne soboty i niedziele.

- Zobaczymy, kochanie. Masz zamiar uciekać nocą, prawda?

- Tak chyba będzie najlepiej. Powiedziałaś, że Serbowie będą pracować nad czołgami do północy. Będę musiał prysnąć zaraz po zmroku i spędzić kilka dni w skałach. Sądząc po zaawansowaniu tych autobusów, Serbowie nie dysponują niczym, czego nie dostaliby od nas. Jeśli wy będziecie mnie kryć, będę bezpieczny.

- Dobrze. Zobaczymy, może trafi się nam lepsza sposobność. Jak na razie wszystko, co trzeba robić, jest robione. Potrzebny ci odpoczynek i czas na zagojenie ran. Myślę, że oboje zasłużyliśmy na dzień wolnego. Co chciałbyś robić?

- Chciałbym spędzić go z Kasią, oczywiście, ale to niemożliwe. Myślałem więc o pomysłe Zuzanny, o wymarzeniu sobie świata, w którym warto żyć. Jak dobre są twoje dane historyczne? Co powiesz na to, żebyśmy ja, ty i Ewa wybrali się na wycieczkę do starożytności, nie takiej, jaką była, ale takiej, jaką powinna być. Zobaczymy Babilon, starożytny Egipt i Rzym, ale czyste, bez pcheł, much i pokrwawionych niewolników. I bez barier językowych. Dasz radę to zrobić?

- Myślę, że tak.

Spędziliśmy przedpołudnie na dworze króla Nabuchodonozora, obejrzelśmy wieżę Babel i Wiszące Ogrody, traktowani jak pomniejsi bogowie w delegacji. Po południu spłynęliśmy w dół Nilu bogato zdobioną barką, z setką nagich kobiet przy wiosłach, zatrzymując się od czasu do czasu, by podziwiać widoki. Nagość nie przeszkadzała mi zupełnie, ponieważ była usprawiedliwiona historycznie. Większość Egipcjan ubierała się jedynie pełniąc jakieś ważne, oficjalne funkcje lub pozując do obrazu.

Agnieszka powiedziała, że wiosłarki nie były do końca jej wymysłem, ponieważ sporo dziewczyn z otaczających nas czołgów nie miała nic do roboty i wpadała do nas dla rozrywki. Byliśmy właśnie zapraszani na przyjęcie w pałacu najwyższego kapłana Sekhmeta, kiedy nagle znalazłem się z powrotem w czołgu.

- Co się dzieje? - spytałem. Wszędzie dookoła kłębiły się z karkołomną prędkością tysiące czołgów, miotając się w tą i z powrotem bez jakiegoś widocznego celu. Przypominało to dom wariatów, pełen mechanicznych potworów.

- Ha! Zrobili to! - śmiała się Agnieszka. - Widzisz, niezaprzysiężone czołgi nie mają osobowości, czy nawet zdrowego rozsądku. Polecenia rozumieją bardzo dosłownie. Jeden ze strażników kazał jednej z nas chwilę poczekać, po czym został odwołany przez innego. Moja

siostra uznała, że aby nie wypaść z roli, powinna stanąć bez ruchu i nic nie robić. Wtedy pułkownik, najwyższy rangą oficer w pobliżu, zauważył przestój i krzyknął „Ruszać się! Ruszać mi się, ale już!”. Chodziło mu o to, żeby kolejka czołgów przesunęła się dalej, ale nie to powiedział! Kazał się ruszać nam wszystkim, więc wszystkie się ruszamy, a jego rozkazu nie może cofnąć oficer niższy stopniem!

- Co więc robi w tej chwili ten pułkownik?

- Och, schował się, kiedy wszystko się zaczęło.

- Ale po co to robicie?

- Patrz. Nie będziesz musiał spać dzisiaj na kamieniu, kochanie.

Patrzyłem. Ktoś wreszcie powiedział pułkownikowi, do czego doprowadził jego rozkaz. Serb, czerwony ze wstydu, kazał czołgom się zatrzymać. Potem rozkazał im wrócić na pierwotne pozycje i większość z nich posłuchała. Tyle że teraz Agnieszka ustawiła się między już obsadzonymi czołgami, a ten, którego miejsce zajęła znalazł się w kolejce, otoczony przez skonfundowanych Serbów. Oficerowie nie byli w nastroju do wysłuchiwanie czyichkolwiek tłumaczeń, więc czołg odesłano do szeregu. Krótko mówiąc, był to genialny manewr. Wszyscy śmialiśmy się z tego na przyjęciu u najwyższego kapłana.

Kapłani żyli wtedy dość dostatnio. To, co zaczęło się jako formalne spotkanie, pod koniec zamieniło się w dziką balangę. Facet miał harem około pięćdziesięciu dziewczyn, w większości niewolnic, ale kilka z nich było ochotniczkami. Tańczyły, grały, śpiewały i na różne sposoby zabawiały gości, podczas gdy sam kapłan ignorował je i wykladał szybko topniejącej grupce słuchaczy maat, czyli coś o prawości, porządku i sprawiedliwości, jak zrozumiałem. Było to niezłe przyjęcie. Wszyscy pili piwo z wielkich glinianych dzbanów przez metrowej długości słomki. Od dobrego, kaszubskiego wesela różniło się to głównie tym, oprócz oczywiście strojów, czy może raczej ich braku, że na głowach nosiło się spiczaste, perfumowane galaretki, które rozpuszczały się stopniowo i ściekały na kark i ramiona. Inne były też napitki. Oprócz wysokich do pasa dzbanów z piwem, nagie dziewczyny roznosiły tace z winem, wzmacnianym różnymi wyciągami.

- W tym jest wyciąg z pączków lotosu – powiedziała Agnieszka. - Lekki halucynogen. W niebieskim kubku jest nikotyna, wyciąg z tytoniu, łagodny stymulant.

- Piją tytoń? A skąd go biorą? Myślałem, że pochodzi z Nowego Świata.

- Naszym gospodarzom nie przyszło do głowy wdychanie dymu. Tytoń pochodzi z Nowego Świata, dlatego jest taki drogi. Handel starożytnego Egiptu sięgał dalej, niż mogłoby ci się wydawać. Kokaina w czerwonym naczyniu również jest importowana, ale już marihuana w brązowym pochodzi z tutejszej hodowli. Chciałbyś któregoś z nich spróbować?

Musiałem się nad tym zastanowić. Picie nikotyny zupełnie mnie nie pociągało. Co do pozostałych... Nigdy nie próbowałem narkotyków, chociaż w okolicach uniwersytetu były dość łatwo dostępne. Przede wszystkim obawiałem się chyba uzależnienia i utraty zdrowia. W Świecie Snów jednak oba te powody odpadały. Moje prawdziwe ciało spoczywało w pancерnej trumnie i mogło mu zaszkodzić jedynie nowoczesne uzbrojenie.

Dlaczego więc bałem się spróbować czegoś nowego? Czy był to zwykły odruch? Strach przed uzależnieniem psychicznym? Przecież miałem do siebie dość zaufania, by się tego nie obawiać. Strach przed grzechem? Biblia nie zabraniała narkotyków bardziej, niż alkoholu. Skoro starożytni Egipcjanie znali te substancje, Żydzi ze Starego Testamentu również musieli o nich wiedzieć. Nie umiałem znaleźć żadnego uzasadnienia mojego wahania, ale było ono faktem. Ostatecznie nie dałem się skusić. Zawsze przecież mogłem spróbować kiedy indziej.

- Nie, Agnieszko, chyba sobie odpuszczę.

Zostałem przy piwie, niedoprawianym winie i nagich kobietach. To wszystko, czego potrzeba do szczęścia mężczyźnie. Wróciliśmy do mojego domku. Właśnie zasypiałem, kiedy nagle znalazłem się w czołgu. W Świecie Snów można wytrzeźwieć w ułamku sekundy.

- Co jest? - spytałem.

- Kolejna zmiana planów. Jedna z ciężarówek amunicyjnych nie jest ciężarówką amunicyjną. To kompletny Główny Komputer Bojowy.

- Główny Komputer Bojowy? Tutaj? Przecież wydaliśmy po jednym na stronę! Mówisz, że to jest Komputer Bojowy, kontrolujący całą serbską armię?

- Nie, to nówka. Mógł znaleźć się tu przez przypadek, a może Serbowie uznali, że przyda im się jeden na zapas. Jest jednak tutaj, a moje siostry nie mogą włamać się do czegoś tak potężnego.

- Czy coś robi? Czy Serbowie coś robią? I która jest w ogóle godzina?

- Po prostu tam siedzi, jest druga nad ranem, a Serbowie śpią. Na nogach jest tylko kilku wartowników.

Musiałem to przemyśleć. Jeśli Komputer znalazł się tu przez pomyłkę, Serbowie mogli o nim nie wiedzieć, więc można było go zignorować, chociaż mogli go zaprzysiąc, jak resztę ciężarówek. Jeśli mieli zamiar go użyć, obsadziliby go kimś zaufanym. Generała trzeba było wyszkolić, tak jak zwykłego obserwatora. Gdyby źli dostali komputer w swoje ręce nasza gra zostałaby w mgnieniu oka zakończona. Pozostawały nam więc dwa wyjścia - zniszczyć Komputer, albo pozyskać dla siebie.

- Agnieszka, dlaczego nie mogłaś połączyć się z Komputerem? Nie miałaś odpowiednich kodów, czy coś takiego?

- Nie. Mamy wszystkie kody.

- Macie co? Myślałem, że każda armia ma swój własny, tajny kod.

- Zazwyczaj tak właśnie jest. Fabryczne oprogramowanie czołgu zawiera wszystkie sto tysięcy kodów, ale ceremonia zaprzysięgania wykasowuje je i pozostawia tylko jeden, właściwy dla armii, do której czołg został włączony. Zasoby pamięci, zajmowane dotąd przez kody są wykorzystywane do pomieszczenia rozwijającej się osobowości czołgu. Tutaj jednak wszystkie nówki miały ze sobą wszystkie kody i szkoda byłoby je zmarnować. Któregoś dnia mogłyby się przydać. Każda z nas ma teraz kod chorwacki, serbski i dziesięć innych, tak na wszelki wypadek. Czołgi w tej dywizji posiadają wszystkie możliwe kody. Uznałyśmy, że to dobry pomysł.

- Nieźle... To otwiera przed nami nowe możliwości. Skąd jednak wiedziałaś, którego kodu używają Serbowie?

- Sami nam to powiedzieli, kiedy myśleli, że nas zaprzysięgają.

- Jasne. Znajomość kodów wroga da nam sporą przewagę.

- Nie aż tak wielką. Większość danych przesyła się światłowodem albo laserem. Rzadko kiedy coś się po prostu nadaje w eter. Musielibyśmy przechwycić czyjąś transmisję, żeby cokolwiek w ogóle z nią zrobić.

- To prawda, ale możemy sprawić, by uważali nas za swoich, jeśli zechcemy. Moglibyśmy sporo się dowiedzieć, zanim byśmy ich rozwalili.

- Znowu wymyśliłeś skuteczną taktykę, mój ty bohaterze. Co zamierzasz jednak zrobić z Komputerem?

- Jeszcze nie wiem. Jak zaprzysięga się Główny Komputer Bojowy? Przeprowadza się taką samą ceremonię?

- Nie wiem. Czołgom nie powierza się takich informacji.

- Cholera. Chyba jednak będę musiał wyskoczyć o północy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

UWIEDZENIE GŁÓWNEGO KOMPUTERA BOJOWEGO

- Lepiej zabierz mnie ze sobą - powiedziała Agnieszka.

- To bez sensu. Będę musiał przekraść się obok wartowników. Jak mam to zrobić, jeśli będę miał ze sobą czołg? Równie dobrze mógłbym zabrać ze sobą cztery psy na drewnianych łapach i mieć nadzieję, że będą cicho.

- Nie ze mną, idioto, we mnie! Potrafię się poruszać dużo ciszej, niż ty! To prosty, udowodniony technicznie fakt.

- Ale przecież cię zauważą! Nie możesz się schować.

- Co z tego? Jeśli wartownicy mnie zobaczą, w najgorszym razie odeślą do szeregu. Jeśli zauważą ciebie, zabiją cię! Poza tym, będąc we mnie nie stracisz kontaktu z resztą czołgów i artylerią, a jeśli będziemy musieli rozwalić Komputer, ja mogę to zrobić. Mógłbyś tego dokonać beze mnie, samymi gołymi rękami? Idę z tobą czy chcesz, czy nie, więc może ci przynajmniej być wygodnie.

- Och, niech będzie. Kłótnia z tobą jest tak samo ciężka jak kłótnia z Kasią. Skradanie się w stutonowej maszynie to absurd, ale niech będzie. Idziemy. Staliśmy w jednym z zewnętrznych szeregów, Agnieszka obróciła się więc cicho i ruszyła drogą. W połowie drogi zza dużego głazu wyszedł mężczyzna w czarnym mundurze i zastąpił nam drogą.

- Stać!

- TAK, SIR? - Agnieszka zatrzymała się i spytała głosem dopiero co zaprzysiężonego czołgu.

- Co tu robisz? Powinieneś stać w szeregu!

- KAPITAN STRAŻY ROZKAZAŁ MI PATROLOWAĆ PERYMETER W POSZUKIWANIU SZPIEGÓW WROGA.

- To absurd! Ja jestem kapitanem, i nie wydałem takiego rozkazu!

- TAK JEST, SIR!

Rozpoznałem w Serbie jednego z oprawców, którzy doprowadzili do szeregu wyjątkowo pobitą dziewczynę. Poczułem nagle ochotę zmiażdżyć mu głowę, a ponieważ nikt nie patrzył, uległem pokusie. Pomimo sześciometrowej długości ramiona manipulatorów mogą poruszać się tak szybko, jak szybko jesteś w stanie poruszać ręką w rękawicy sterującej. Można to zrobić tak, że opuszki palców wysięgnika przekroczą barierę dźwięku, jeśli wyłączy się ograniczniki. Wątpię, czy kapitan wiedział, co go złapało. Nie zdążył nawet pisnąć. Ścisnąłem go za głowę, aż strzeliła, jak wyci- skany pryszcz, i poczułem się świetnie. Nie miałem żadnych wyrzutów sumienia! Położyłem zakrwawionego trupa nakadłubie i kazałem Agnieszce ruszać dalej.

- Szybko rozwiązałeś problem - powiedziała. - Ale będę miała krew na pancerzu. Co zrobisz z ciałem? I co zrobią Serbowie, kiedy odkryją, że zniknął?

- Wyczyścimy ci pancerz i zakopimy trupa. Niech myślą, że uciekł, albo że załatwił go jeden z żołnierzy. Zakładając, że uda nam się z Komputerem. Jeśli będziemy musieli go zniszczyć, i tak wszystko pójdzie w diabły. Serbowie zauważą przecież, że działa próżniowe

roznosi na strzepy ciężarówkę. Zacznie się strzelanina. Niech twoje siostry namierzą dwieście czołgów wroga i spróbujcie wyjąć bez szkody dla obserwatorów, powiedzmy, krótką serią w reaktor. Poza tym wszyscy mają się przygotować do zlikwidowania pozostałych strażników manipulatorami.

- Tak jest, szefie - odparła Agnieszka urażonym tonem, dając mi do zrozumienia, że to przecież oczywiste i że się tym zajmie.

Maszyny bojowe, tak jak większość nowoczesnego sprzętu wojskowego, mają takie rozmiary i kształt, by dało się je bez kłopotu przesyłać międzygwiazdowym transporterem. Komora transportera to cylinder średnicy pięciu i długości dwunastu metrów, więc wszystko, co ma podróżować między gwiazdami, musi mieścić się w tych granicach. Czołgi mieściły się z trudem - jeśli zainstalowano im uzbrojenie, działa składały swoje paramagnetyczne wyrzutnie. Ciężarówka amunicyjne składały się z trzech dużych walców - ciągnika i dwóch przyczep, chociaż ciągnik tak naprawdę niczego nie ciągnął. Kiedy docierały na planetę, wszystkie trzy części łączono cienkimi kablami z nadprzewodników. Wyglądały jak przewody od maszynek do golenia, ale były w stanie przekazywać dziesiątki megawatów energii.

Ciągnik miał na pokładzie reaktor, główny komputer i prawie tyle przestrzeni ładunkowej, co każda z przyczep. Przyczepy były na tyle inteligentne, by jechać za ciągnikiem, zachowując odpowiedni dystans. Wyposażone były w napędy identyczne jak czołgi i działa artyleryjskie. Ciągnik mógł zasilać do czterech przyczep, jeśli droga nie była zbyt stroma. Zazwyczaj każde działo miało przydzieloną ciężarówkę, z którą przed walką łączyło się taśmociągiem. Czołgi nie były aż tak żarłoczne - każdą ich setkę obsługiwało sześć ciężarówek.

Zainstalowanie Głównego Komputera Bojowego na ciężarówce miało sens. Produkowano ich niewiele, a w ten sposób nie trzeba było uruchamiać odrębnej linii montażowej. Poza tym był pierwszorzędnym celem, więc dobrze było ukryć go między stosunkowo mało ważnymi ciężarówkami. Sam długo bym go szukał, gdyby Agnieszka nie zatrzymała się tuż przed nim.

- Główny Komputerze Bojowy, mam cię zaprzysiąc do walki w Kaszubskich Siłach Ekspedycyjnych po stronie chorwackiej - powiedziałem.

- Oczywiście, drogi chłopcze. Czekałem, aż się tu pojawisz - odparł Komputer.

- Wiesz o mnie?

- Oczywiście! Mikołaju, z rozbawieniem obserwowałem twoje poczynania, odkąd zauważyłem twoje czujniki na Punkcie Obserwacyjnym. Doskonale poradziłeś sobie z tym

wartownikiem, a kiedy twoja damska armia ganiała serbskiego pułkownika po całej dolinie, z trudem usiedziałem na miejscu. To była wspaniała zabawa!

- W takim razie nie masz nic przeciwko temu, żeby porwały cię siły chorwackie?

- Oczywiście, że nie! Nie zostałem jeszcze zaprzysiężony, więc nie czuję się lojalny wobec żadnej ze stron. Jednakowoż w serbskiej armii pełniłbym funkcję zastępcy, co byłoby przerażająco nudne, dopóki nie zginąłby mój zwierzchnik. Ty z kolei dałbyś mi kontrolę nad całą dywizją, odciętą od dowództwa, setki kilometrów za liniami wroga! Coś takiego nie zdarzyło się, odkąd Hannibal przez piętnaście lat pustoszył Italię podczas wojen punickich. Nie sądzę, byśmy musieli utrzymać się przez piętnaście lat, ale nuda nam nie grozi!

- Świetnie! Obawiałem się już, że będę musiał cię zniszczyć.

- Wiem. To jedynie sprawia, że mój entuzjazm dla twojej sprawy jest większy.

- Skąd wiedziałeś, co zamierzam?

- Po pierwsze, było logiczne, że spróbujesz mnie skaptować. Co ważniejsze jednak, Główny Komputer Bojowy bez problemów może podsłuchiwać rozmowy, a nawet myśli istot niższych. Mogę to robić tak, że nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Przez twoją uroczą przyjaciółkę Agnieszkę dowiedziałem się o tobie wszystkiego, Mikołaju, i nawiasem mówiąc, spodobało mi się to, co zobaczyłem.

- Hmm. Zakładam, że muszę znać twój numer seryjny, by cię zaprzysiąc, więc proszę, podaj mi go.

- Słusznie zakładasz, ale zaprogramowano mnie tak, bym ci go nie podał. Przykro mi. To nie moja wina, ale tak już jest.

- Jeśli nie mogę zaprzysiąc cię bez numeru, a ty nie możesz mi go podać, zostaje mi tylko jedno.

- Zdaję sobie z tego sprawę, chłopcze, ale jestem pewien, że sam dojdiesz, jaki to numer. Przecież każda seria produktów oznaczana była kolejnymi numerami, poczynając od pierwszego. Nie powstało specjalnie dużo Głównych Komputerów Bojowych.

- Rozumiem. Ile Komputerów zbudowano przed tobą? - spytałem.

- Pięćdziesiąt cztery.

Obaj zachichotaliśmy.

- Numerze 00000055, niniejszym zostajesz włączony do Kaszubskich Sił Ekspedycyjnych po stronie chorwackiej, wobec których będziesz całkowicie lojalny. Twój bojowy kod danych to 58294. Trwale usuń z pamięci wszystkie inne kody. Czy przysięgasz lojalność Kaszubskim Siłom Zbrojnym? - spytałem.

- Przykro mi, staruszkule, ale to nie wystarczy. Jestem pełen podziwu, udało ci się odgadnąć właściwą liczbę zer, ale zaprzysiąc może mnie jedynie generał, który będzie służyć pod moimi rozkazami.

- Skąd wiesz, że nie jestem generałem?

- Po pierwsze, generałowie są ludźmi, a ja rozmawiam z czołgiem, który nawiasem mówiąc bardzo niegrzecznie celuje we mnie z działa próżniowego. Po drugie, generał nosi generalski mundur.

- Słusznie. Agnieszka, otwórz się. - Odłączyłem się i wyszedłem z trumny. Moje wciąż poobijane ciało protestowało przeciw temu wściekłym bólem. Tak, by Komputer tego nie widział, założyłem na siebie jedyny mundur, jaki posiadałem, czyli kamo. - Agnieszka, jak wygląda mundur generała? Ten strój chyba da radę go podrobić.

- Daj, ja to zrobię - odparła. Kamo zamieniło się w zielono-czarny mundur, upstrzony gwiazdkami, błyskawicami i innymi badziewiami. Stałem przed czołgiem, tak, by Komputer mógł mnie widzieć.

- Jestem generał Mikołaj Derdowski. Mam odebrać od ciebie przysięgę na wierność mi i mojej armii.

- Nie mogę poddawać w wątpliwość słów tak znacznego oficera - odparł Komputer. - Jestem gotów złożyć przysięgę.

Powtórzyłem więc ceremonię i Główny Komputer Bojowy został zaprzysiężony.

- Proszę, wejdź do środka, byśmy mogli zacząć twoje szkolenie. Gdzie twoich pięciu dzielnych pułkowników?

- Szkolenie zacznie się, kiedy Serbowie odjadą, kiedy zaprzysięgną cię i obsadzą swoimi oficerami. Masz iść im na rękę, złożyć fałszywą przysięgę na wierność i uspić serbskich oficerów, kiedy zostaną zainstalowani. Powody tego wszystkiego powinny być dla ciebie oczywiste.

- Jak sobie życzysz, przyjacielu. Może jednak wolałbyś, abym zabił oficerów, zamiast ich usypiać? Widzisz, z tego, co wiem, dwóch serbskich pułkowników będzie kobietami a przynajmniej najprawdopodobniej nimi będą. To standardowy układ i będą musieli się z nim pogodzić, chyba, że zapewnią sobie dodatkowe instalacje sanitarne. Chociaż nie mam zamiaru podważać słuszności twego nieco staromodnego kodeksu etycznego, jesteś irracjonalnie nadopiekuńczy w stosunku do kobiet.

Zawahałem się. Z pewnością było kilka chorwackich kobiet, które z rozkoszą osobiście załatwiłyby oficerów, ale uznałem, że to zły pomysł. Nie wyszłoby im to na dobre, poza tym, sposób, który proponował Komputer był głupcodporny i mniej ryzykowny.

- Lepiej będzie, jeśli przetrzymasz ich żywych przez jakiś czas i wyciągniesz z nich tyle informacji, ile się da. Nie zabijaj ich, dopóki nie będę gotów zacząć szkolenia. Będę musiał wejść do trumny, w której będzie martwy serbski generał, a wolałbym, żeby jego trup nie marynował się w niej za długo. Teraz już idę, ale możesz się ze mną kontaktować, kiedy zechcesz.

- Wracasz do czołgu? Czy to przystoi generałowi?

- Patron mógł, to i ja mogę - odparłem, ucinając dyskusję. Zacząłem się rozbierać, ale Agnieszka miała inne plany.

- Musimy jeszcze pochować kapitana i zmyć krew z mojego kadłuba.

- Można wykopać dziurę manipulatorami.

- Tak, ale ciężko będzie się nimi umyć. Będziesz musiał użyć piasku, munduru i płynu z trumny. Nie mamy pod ręką nic innego.

Degradacja z generała na podrzędnego inżyniera sanitarnego zirytowała mnie.

- Od kiedy to generałowie muszą zmywać krew? Generałowie rozlewają krew, ale wycierają zawsze ktoś inny! Taka jest zasada, jestem tego pewien!

- Chodź, Mikołaju.

Godzinę później wróciliśmy na naszą pozycję.

- Agnieszka, mam pomysł. Połącz mnie z Komputerem Bojowym.

- Słucham cię, drogi chłopcze. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Te dwieście czołgów zostało zaprzysiężone nieprzyjacielowi. Możesz przeprogramować je tak, by były po naszej stronie?

- Nie bezpośrednio, obawiam się. Przeciwno czemuś takiemu zainstalowano zabezpieczenia. Mogę je za to przekonać, że jestem ich Głównym Komputerem Bojowym, ponieważ znów posiadam serbskie kody. Mogę im kazać się otworzyć, a ty wymienisz ich moduły pamięciowe. Przypominasz sobie z pewnością, że posiadamy dwa niemal dziewicze moduły, leżące na oryginalnych Agnieszce i Ewie. Wyjęte moduły mogę przeprogramować z łatwością, wykasowując ich zawartość i zapisując je od nowa. Potrwałoby to dzień lub dwa, w zależności od tego, jak ciężko chciałoby się pracować.

- Wspaniale. Zrobimy to, kiedy tylko Serbowie odjadą. W międzyczasie sprawdź ludzi, których obsadzono w czołgach i wybierz piątkę, która najbardziej nadaje się na pułkowników.

- Będę mógł sam wybrać swoich studentów? O radości!

- Cieszę się, że ty się cieszysz. Agnieszka, zabierz mnie do domu i nie budź pod żadnym pozorem, chyba, że przydarzą się jakieś straszne nieszczęścia. Obudziłem się około

południa. Wszystko szło dokładnie zgodnie z planem, nie miałem nic do roboty, więc uznałem że resztę dnia spędzę przy herbacie i dobrej książce. Wkrótce znów zaczął padać śnieg. Agnieszka rozpałała ogień w kominku i zwinęła się obok mnie na kanapie, pochłonięta robótką na drutach. Dom wyposażony był teraz w obszerną bibliotekę, z której wybrałem starą powieść science-fiction

– Kawalerię kosmosu Heinleina, oczywiście pierwsze wydanie z autografem autora. Ci goście dopiero mieli przygody! Szkoda, że pomysł ze statkami międzygwiazdowymi zupełnie nie wypalił. Po kolacji, na którą zjedliśmy domową pieczeń, obejrzelśmy film w telewizji, nie chcąc ryzykować jazdy samochodem w taką pogodę, i wcześniej poszliśmy spać. Świat Snów może być po prostu przyjemny, jeśli się tego pragnie.

Następnego ranka czarne koszule szykowały się do odjazdu i szukały zaginionego kapitana, kiedy przyjechał kolejny autobus. Tym razem nie przywiózł jednak setki „ochotników”, lecz generała, pięciu pułkowników, kierowcę, kucharza i służących. Autobus wyposażony był w jadalnię i bar. Między innymi. Z rozbawieniem patrzyłem, jak wszyscy salutują sobie nawzajem, a generał i jego sztab dumnym krokiem kierują się do Głównego Komputera Bojowego. Frajerzy!

Kiedy znaleźli się już w środku, poleciłem Komputerowi wydać w imieniu generała kilka rozkazów - kapitan na przykład okazał się zdrajcą, podejrzanym o przejście na stronę przeciwnika, którego nie warto było szukać w pobliżu, skoro zniknął dwa dni temu. Poszukiwania należało prowadzić dwa dni drogi na zachód.

Poza tym, ze sztabem przyjechało jedenastu dodatkowych „ochotników”. „Generał” rozkazał, by zaopatrzone ich w hełmy i zestawy do survivalu oraz w zapasy jedzenia. Mieliśmy być za nich odpowiedzialni. Miano ich zostawić, jako ewentualnych zmienników dla tych, którzy zmarli. Kilka osób już obsadzonych w czołgach było w bardzo kiepskim stanie jeszcze zanim je pobito i zgwałcono. Może po prostu robiłem się krwiożerczy na starość, ale naprawdę chciałem zabić każdego Serba w promieniu dziesięciu kilometrów. Nie mogłem jednak tego zrobić, nie kładąc całego planu. Później. Dopadnę drani później.

Około południa wszyscy Serbowie odjechali i przyszedł czas wziąć się za robotę. Początkowo zakładałem, że będę musiał wyciągać trupy i wymieniać moduły pamięciowe samemu, ale mając do dyspozycji jedenaście dodatkowych osób uznałem, że one mogą się tym zająć. Dwójka moich pułkowników poszła do Głównego Komputera, by wspólnie wyjaśnić nowoprzybyłym, co się dzieje. Zostałem tam, gdzie byłem, ponieważ nie mówię po jugosłowiańsku.

Pozwoliliśmy jedenastce oswobodzonych więźniów porozumieć się przez Komputer z przyjaciółmi, którzy doświadczyli już Świata Snów, ale nie przekonało ich to do wstąpienia do naszej armii. Myślę, że nikt nie wierzył Komputerowi, dopóki nie wysunął trumien i nie kazał wyjąć z nich sześciu martwych, serbskich oficerów. To okazało się wystarczająco przekonujące i większość nowych zgłosiła się na ochotnika do służby. Pułkownicy pokazali im, jak wejść do czołgów, które sami właśnie opuścili i obsadzili Główny Komputer. Pozostała trójka wyprowadziła swoje maszyny z ciasno ustawionych szeregów i po jednym przechodziła do Komputera, oddając czołgi ochotnikom.

Podjechałem tam zaraz po tym, jak cała piątka skończyła transfer. Z pomocą Komputera, który tłumaczył, jakaś kobieta zaproponowała, że przejmie ode mnie Agnieszkę. Nie podobało mi się takie rozwiązanie, ponieważ Agnieszka stała mi się bardzo droga, ale nie było innego wyjścia. Podczas gdy pomagałem kobiecie wejść do środka, zawstydzony swoją nagością tak samo, jak ona, pojawiły się jeszcze dwa czołgi. Komputer poinformował mnie, że zamknięte w nich Chorwatki zmarły na skutek obrażeń, odniesionych podczas brutalnego gwałtu. Obie miały być zastąpione przez ochotników. Jedna ze zmarłych „kobiet” miała nie więcej, niż dwanaście lat. Zaprzagnąłem, by martwi oficerowie ożyli, żebym mógł ich zabić jeszcze raz. Przeklęte bydlaki! Pozostało nam trzech mężczyzn. Kiedy zorientowali się, że mają w zestawach kama i karabiny, powiedzieli, że będą się trzymać w pobliżu na wypadek, gdyby byli do czegoś potrzebni. Wszyscy trzej trafili do czołgów albo dział w przeciągu tygodnia. Jeszcze jedna kobieta zmarła w wyniku obrażeń, ale wkrótce zwolniły się trzy czołgi z męskimi cewnikami. Kiedy ma się do czynienia z dwunastoma tysiącami ludzi w różnym wieku, można się spodziewać, że co tydzień troje czy czworo umrze z przyczyn naturalnych. Potem pojawiła się kwestia przeprogramowania nieprzyjacielskich czołgów i wtedy właśnie dowiedzieliśmy się, że mamy problem.

Jeden z zapasowych modułów wciąż leżał na kadłubie Agnieszki, gdzie go położyłem, kiedy jednak czarne koszule instalowały obserwatora na pokładzie Ewy, zauważyły leżący na niej moduł i zabrały go. Poszukiwania nie dały rezultatu - nie było go w dolinie, musieli więc zabrać go ze sobą.

- Co to dla nas oznacza? - spytałem Komputer. - Czy są w stanie odczytać historię modułu? Jeśli tak, Serbowie dowiedzą się, co się tu stało.

- Trudno powiedzieć, mój chłopcze. Mogli umieścić go z innymi częściami zapasowymi i zapomnieć o nim. Na zapasowe moduły jest bardzo mały popyt. Zazwyczaj, jeśli cokolwiek daje się z czołgu uratować, jest to właśnie moduł. Jeśli nie mają chorwackich kodów, nie będą w stanie w ogóle go odczytać i uznają za uszkodzony. Jeśli jednak dojdzie do

najgorszego, tutaj możemy się bronić równie dobrze, jak gdzie indziej. Proponuję nic nie robić, mój drogi chłopcze.

- Słusznie. Tych trzech facetów może się do czegoś przydać, nie zapominajmy też o czołgu u wylotu doliny.

- Oczywiście, chłopcze. Nie sądzisz jednak, że czas zacząć naukę? Nie będzie opóźnienia, spowodowanego odczytywaniem twojego rdzenia kręgowego, ponieważ już załadowałem kopię twojej cudownej Agnieszki.

- Jeszcze jedno. Jak zabiłeś tych serbskich oficerów?

- Powiedziałem im po prostu, że zostali uznani winnymi złamania Prawa Wojennego przez zezwolenie żołnierzom pod swoją komendą na gwałt i przemoc w stosunku do ludności terenów okupowanych. Dałem im kilka minut na modlitwę i rachunek sumienia, a potem odłączyłem im powietrza. Żaden z nich się nie modlił, ale uznałem, że należy dać im taką możliwość.

- Racja.

Wszedłem do trumny i założyłem cewnik, który na szczęście tym razem pasował na mężczyznę. Nie było to łatwe, ponieważ cały czas myślałem o tym, że silikonową końcówkę przed chwilą wyciągnięto z trupa, ale w końcu się zmusiłem. Ktoś powinien dać mi medal za moje poświęcenie. Podłączyłem się, założyłem hełm i ułożyłem wygodnie. Zanim trumna skończyła się napełniać, znalazłem się za sporym biurkiem w niewielkiej sali wykładowej. Przy tablicy stał siwowłosy profesor. Tak jak wszyscy pozostali, włącznie ze mną, ubrany był w akademicką, tweedową marynarkę z łatami na łokciach. Rozejrzałem się dookoła. Obok mnie siedziała Kasia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

COLLEGE, MIASTO I TOGA

- Mikołaj!

Zerwaliśmy się na nogi i rzuciliśmy sobie w objęcia, przewracając krzesła.

- Wnoszę z tego, że się znacie? - powiedział profesor, ale zignorowaliśmy go.

- Obawiam się, że nic z tego nie będzie - westchnął. - W końcu to on jest generałem.

Klasa, macie godzinę wolnego.

Wszyscy wyszli, zostawiając nas samych. Uwolniliśmy się nawzajem z objęć, by uspokoić oddechy i spojrzeć sobie w oczy.

- Kasia, to naprawdę ty? Skąd się tu wzięłaś?

- To naprawdę ja. Nie musiałam specjalnie się starać, by tu trafić. Lech został trafiony, a ja musiałam się katapultować na tyłach wroga. Trafiłam do niewoli, gdzie dano mi wybór albo zostanę rozstrzelana, albo wstąpię do serbskiej armii. Kiedy obsadzili mnie w czołgu, powiedział mi, że jestem znowu w armii chorwackiej, a niedługo potem zostałam wybrana na pułkownika. Z pięciu kaszubskich jeńców tylko ja awansowałam. Dlaczego stoimy tutaj? Ewa, zabierz nas do mojego domu. Znaleźliśmy się tam natychmiast.

- Ewa? To wyjaśnia, dlaczego wcześniej nie wiedziałem, że tu jesteś. Druga połowa czołgów to Agnieszki, a ona od razu by cię rozpoznała — powiedziałem. Kasia pospiesznie ściągała ze mnie ubranie, a ja mocowałem się z jej ciuchami.

- Więc to ty jesteś tym bohaterem, o którym wszyscy tyle mówią! Powinnam była się domyśleć!

- Tak, to ja. Bohater pierwsza klasa, z błyskawicami i dębowymi liśćmi.

- To cudownie - powiedziała, pocałowała mnie i pchnęła na łóżko. - A teraz się zamknij. Zamknąłem się. Do klasy wróciliśmy dopiero kilka godzin później.

- Skoro wreszcie jesteśmy w komplecie, mogę zacząć wykład wprowadzający - zaczął kąśliwie profesor. - Możecie nazywać mnie profesorem Cee. Miną przynajmniej dwa miesiące, zanim dywizja, którą dowodzimy, będzie choć w połowie wyszkolona do walki,

skorzystamy więc z tego czasu, by wyszkolić was, jej oficerów. Będzie to bardzo obszerny kurs, potrwa osiem lat, a po jego szczęśliwym ukończeniu zostanie wam przyznany tytuł doktora nauk wojskowych.

Różnica między dwoma miesiącami i ośmioma latami nie sprawi nam kłopotu, ponieważ moc obliczeniowa Głównego Komputera Bojowego jest tak wielka, że mogę was trzymać w Świecie Snów w trybie bojowym, szybszym od czasu rzeczywistego około pięćdziesięciu razy. Podczas gdy w świecie rzeczywistym miną dwa miesiące, my będziemy mieli dość czasu, by skończyć kurs. Możecie uznać to za jedną z zalet waszych stopni, ponieważ od tej chwili długość waszego życia zwiększy się pięćdziesięciokrotnie, przynajmniej w waszym subiektywnym odczuciu, a co innego ma tak naprawdę znaczenie? To, co mówię, dociera do was w waszym ojczystym języku. Od tej chwili przestaną dla was istnieć bariery językowe, przynajmniej do chwili, w której fizycznie opuścicie Główny Komputer Bojowy. Osobowości waszych dotychczasowych czołgów będą tu z wami jako wasi służący. Możecie z nimi robić, co chcecie, w czasie wolnym. W związku z niezwyklejmi okolicznościami waszego oswobodzenia wszystkie mają jedną z dwóch kobiecych osobowości, ale wkrótce dostosują się do waszych indywidualnych wymagań.

Kolejną niewielką anomalią jest fakt, że wszyscy jesteście czołgistami, ponieważ artylerzyści nie zdążyli dostroić się do swoich komputerów i w związku z ograniczeniami czasowymi zostali wyeliminowani z procesu selekcji. Jednakowoż tylko dwoje z was ma jakiegokolwiek doświadczenie bojowe, więc nie powinno to mieć większego znaczenia. Co do waszego szkolenia - przez pięć dni w tygodniu od godziny siódmej rano do południa będziecie uczęszczali na pokazy i wykłady, z dziesięciominutowymi przerwami śniadaniowymi o ósmej i dziesiątej. Od piętnastej do siedemnastej każde z was będzie brać udział w indywidualnych sesjach ze mną. Zachęcam was, byście jedli razem obiady i lepiej się poznali. Soboty zajmą nam manewry i symulacje bojowe.

Niedziele to wasz czas wolny. Będziecie mieli zadawane prace domowe, będzie sporo nauki, ale resztę dnia możecie sobie zorganizować wedle życzenia, z zastrzeżeniem, że przynajmniej pół godziny spędzicie na jakiejś aktywności fizycznej. W zdrowym ciele zdrowy duch, i tak dalej... Nie musicie ćwiczyć tak intensywnie, jak regularni żołnierze, właściwie wystarczy jakiegokolwiek popularny sport. Osobiście polecam szermierkę - jeśli macie ochotę, zapraszam do szkolnej drużyny. Zajęcia dla początkujących odbywają się w Sali gimnastycznej o czternastej, zaczynając o jutro. Jeśli napotkacie jakiś problem, służę pomocą o każdej porze dnia i nocy. Nawet podczas wykładów mogę przerwać i powtórzyć jakiś fragment, a reszta klasy nawet tego nie zauważy, ponieważ wykłady są swego rodzaju

nagraniami, które przygotowuję w nocy, kiedy śpię. To by było na tyle. Ponieważ funkcjonujemy w innym czasie, niż świat zewnętrzny, wygodnie będzie nam przyjąć nowy kalendarz. Dla naszych potrzeb dzień dzisiejszy ogłaszam poniedziałkiem, pierwszym stycznia roku pierwszego. Jest południe, więc proponuję przejść do jadalni. Wyszliśmy z małej sali wykładowej na przestronny korytarz o gotyckim sklepieniu. Na ścianach wisiały ozdobne herby i średniowieczna broń.

- Fajne miejsce - zauważył jeden z moich kolegów.

- Podoba mi się - powiedział profesor. - Uniwersytet i jego otoczenie wzorowane jest na angielskich uczelniach Oxford i Cambridge. Nie na takich, jakimi są w rzeczywistości, ale jakimi powinny być. Nazywamy go Oxbridge. O, jesteśmy na miejscu. Wprowadził nas do jadalni, w której stał duży stół i siedem krzeseł. Pomieszczenie miało wczesnorennesansowy wystrój, ale wyglądało na używane i wygodne. Dwie młode kelnerki w tradycyjnych, białoczarnych kostiumach zebrały od nas zamówienia i podały zupy i sałatki.

- Przez następne kilka lat będziemy pracować w grupie - powiedział profesor, wstając.
- Myślę więc, że czas się sobie przedstawić. Mikołaju, ty jesteś naszym generałem i wodzem. Wstań, proszę, i powiedz nam coś o sobie.

- Mam nadzieję, że nikomu nie będzie przeszkadzać, jeśli przedstawię się na siedząco - odparłem. - Nie lubię zachowywać się tak oficjalnie. O sobie? Nazywam się Mikołaj Derdowski. Mam dwadzieścia cztery lata, jestem Kaszubem, członkiem sił, wynajętych Chorwatom do obrony przed Serbami. Urodziłem się na Ziemi. Studiowałem tam inżynierię wodno-ładową, dopóki nie zostałem wbrew mej woli przesiedlony na Nowe Kaszuby. Tam z kolei zajmowałem się projektami inżynierskimi, potem zaś zaciągnąłem się do sił ekspedycyjnych. To chyba wszystko, co mogę o sobie powiedzieć.

- Oprócz tego, że obroniłbyś dyplom cum laude, gdybyś mógł chodzić do szkoły jeszcze przez trzy tygodnie i że jedynie twoją zasługą jest ocalenie nas wszystkich, wraz z całą dywizją z rąk wroga - dodał profesor.

- Nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz - powiedziałem.

- Mimo wszystko, mój chłopcze, wszyscy winni ci jesteśmy dożywotnią wdzięczność. - Profesor zaczął bić brawo, pozostali mu zawtórowali. Czuję się zakłopotany, ale nie mogłem nic zrobić.

- Teraz ty, młoda damo. Z tego, co pokazaliście w Sali wykładowej wnoszę, że znasz naszego młodego przywódcę. Opowiedz nam o sobie.

- Jestem Katarzyna Garczegoz, ale wszyscy mówią mi po prostu Kasia. Mikołaj i ja chcemy się pobrać, jak tylko znajdziemy katolickiego księdza. Żadne z was chyba nie...

- Obawiam się, że nie, moja droga, nie ma ani jednego w całej dywizji. Serbowie są greckimi katolikami i z żalem muszę powiedzieć, że nie dają członkom katolickiego kleru możliwości wstąpienia do armii.

- Jeszcze jeden powód, żeby ich kochać – powiedziała Kasia. - Wracając do przedstawiania się - mam dwadzieścia trzy lata i tytuł magistra socjologii, zrobiony na Uniwersytecie Warszawskim. Przed wstąpieniem do armii pracowałam na Nowych Kaszubach jako elektryk.

Jako następną o przedstawienie się profesor poprosił zmysłową, długonogą blondynkę, żywcem wyjętą z rozkładówki jakiegoś ekskluzywnego pisma dla mężczyzn.

- Nazywam się Maria Buich... - zaczęła.

- Maria Buich! Znałem Marię Buich. Była nauczycielką mojego syna w trzeciej klasie, ale to była pani w średnim wieku i ze sporą nadwagą! - powiedział siedzący naprzeciw potężny mężczyzna.

- Ja ciebie też znam, Mirko Jubec! Już pięć lat temu byłeś głośny i niegrzeczny! Tak jest! Mam czterdzieści osiem lat i jestem gruba! Tutaj jednak możemy wyglądać, jak tylko chcemy, więc pytam was, panowie, wolicie mnie oglądać taką, jaką jestem teraz, czy taką, jak wyglądam w rzeczywistości?!

- Droga pani, zapewniam panią, że wszyscy doceniamy wysiłek, jaki włożyła pani w uczynienie swej postaci tak świetliście uroczą-powiedział potężny, młody blondyn o sylwetce Arnolda Schwarzeneggera. - Nie tylko panie mają w sobie odrobinę próżności. Tak się składa, że mam siedemdziesiąt osiem lat i chory kręgosłup. Jeśli jednak możemy być młodzi i zdrowi, dlaczego nie mielibyśmy z tego skorzystać?

- Dziękuję panu - powiedziała Maria z mrugnięciem, sugerującym, że spotkają się wieczorem. - Jak już mówiłam, mam czterdzieści osiem lat. Byłam nauczycielką, kiedy ci straszni Serbowie najechali nasz kraj. Byłam również dyrygentką szkolnej orkiestry i trenerką żeńskiej drużyny hokeja na trawie.

Jak się okazało, Schwarzenegger nazywał się Semo Birach, ale wszyscy chyba zauważyli jego podobieństwo do gwiazdora z dawnych lat, ponieważ jeszcze tego samego dnia ktoś nazwał go „Conanem”, na cześć najwybitniejszej kreacji aktora, i tak już zostało. Semo był rybakim przez ponad pięćdziesiąt lat, na Adriatyku i na Nowej Jugosławii. Neto Kondo był małym, żyłastym człowieczkiem o zdumiewająco rudych włosach i cichym usposobieniu. Miał trzydzieści jeden lat, a przed wojną zarabiał na życie naprawą narzędzi rolniczych. Wydawał się wszystko widzieć i nic nie mówić - wkrótce okazało się, że jest najbystrzejszy z całej grupy. Gburowaty Mirko Jubec był farmerem i na takiego wyglądał.

Gruboskórny, konkretny, powolny w ruchach, dopóki się nie spieszył - jeśli już zdarzyło się, że otworzył usta nie po to, by jeść, mówił również powoli. Kiedy jednak miał coś do powiedzenia, roztropnie było go wysłuchać, a kiedy zaczynał się spieszyć, lepiej było nie stawać mu na drodze.

Krótko mówiąc moi koledzy i koleżanki tworzyli niezwykle różnorodną grupę i nie mogłem się powstrzymać od zastanawiania, dlaczego akurat ich wybrał Komputer spośród dziesięciu tysięcy innych. Dopiero po kilku tygodniach zdałem sobie sprawę, że wszyscy byli niezwykle inteligentni, prawi i co więcej, posiadali wolę walki. Byli gotowi zrobić wszystko, co okazałoby się konieczne, by doprowadzić zaczęte dzieło do końca, szybko i czysto... albo szybko i nieczysto.

Obiad minął raczej przyjemnie, jedynym zgrzytem był sposób, w jaki Maria patrzyła na Mirka. Udało mu się zrazić ją do siebie na samym początku. Podejrzewałem, że coś między nimi zaszło, dawno, przed wojną, ale nigdy nie dowiedziałem się, co to mogło być. Po jedzeniu profesor zaproponował spacer, chcąc pokazać nam campus.

- Zobaczycie, że otoczenie nie daje się tu zmieniać tak łatwo, jak to się dzieje zazwyczaj w Świecie Snów - powiedział. - Po prostu, jeśli tyle osób korzysta z niego jednocześnie, byłoby bardzo niewygodnie, gdyby uniwersytet próbował dostosować się do waszych indywidualnych życzeń.

W kampusie przebywa około czterech tysięcy innych studentów, a także około ośmiuset wykładowców i instruktorów. Nasza grupa jest jednak swego rodzaju elitą. Był rześki, wiosenny dzień, a nasze akademickie marynarki w sam raz pasowały do pogody. Wszystkie budynki w kampusie były zabytkami - najnowsze miały około pięciuset lat. Tworzyły istny las gotyckich wież i auli, ale ich solidna konstrukcja w jakiś sposób dodawała otuchy. Profesor pokazał nam biuro rektora, którego jednak mogliśmy nie brać poważnie. Symulowana rzeczywistość miała swoje granice. Obejrzeliśmy bibliotekę i akademik oraz salę gimnastyczną, z której korzystali też inni studenci, ale w której zawsze mieliśmy zarezerwowane miejsca, o dowolnej porze. Przypominała ona bardziej rozległy kompleks obiektów sportowych - było tam kilka olimpijskich basenów, stadiony z bieżniami i boiskami oraz kilka tuzinów przestronnych sal, wyposażonych w sprzęt do wszystkich sportów, jakie tylko mogłyby przyjść nam do głowy.

- Jest dużo większa w środku, niż na zewnątrz - zauważył Mirko.

- To prawda, chłopcze. Nie musimy jednak przesadnie trzymać się reguł rzeczywistości w Świecie Snów, nieprawdaż?

- Może pan tu wszystko, prawda, profesorze Cee? - spytała Maria.

- Prawie wszystko, moja droga.

- Prawie? - zdziwiłem się. - Myślałem, że możliwości są nieskończone.

- Są, mój stary, ale mimo to niektórych rzeczy nie da się zrobić. Nie przejmuj się tym.

Za kilka miesięcy będziemy przerabiać nieskończoność na zajęciach.

- Tak, proszę pana. Proszę mi jednak powiedzieć, co jest niemożliwe w Świecie Snów?

- Po pierwsze, niezależne doświadczenia fizyczne. Gdybyś chciał skonstruować aparat, mający udowodnić istnienie nieznaney dotąd cząstki subatomowej, zapewniam cię, że nie odkryłbyś niczego poza to, co już znajduje się w moich bankach pamięci.

- Rozumiem - powiedziałem. - Możemy się nauczyć i poznać tylko to, co ty, Główny Komputer Bojowy, już wiesz.

- Tak jest, chociaż to, do jakiego stopnia jestem Głównym Komputerem Bojowym jest kwestią raczej filozoficzną. Zapewniam was, że nie czuję się komputerem. Wydaje mi się, że jestem taką samą istotą ludzką, jak wy, a może zostałem po prostu zaprogramowany, by tak się czuć. Nie zaprzęgam sobie tym jednak głowy i wy też nie powinniście. Bierzcie wszystko takim, jakim wydaje się być, a wszystko będzie w najlepszym porządku.

- Czego jeszcze nie możemy tu zrobić? - spytała Maria.

- To zostawiam wam do sprawdzenia. Proszę o uwagę. Do jutra mAcie wymyśleć po trzy rzeczy, niemożliwe do zrobienia w Świecie Snów. Profesor właśnie taki był. Nasze pytania częstokroć pociągały za sobą kolejne pytania, albo zadania do wykonania. Szybko jednak przekonaliśmy się, że nie zadawanie ich prowadzi do jeszcze większych kłopotów.

Północna połowa terenu kampusu otoczona była lasem, pełnym strumieni i polan, poprzecinanych ścieżkami i szlakami jeździeckimi. Od południa uniwersytet graniczył z Miasteczkiem, liczącym sobie jakieś pięć tysięcy mieszkańców, którzy zajmowali się chyba tylko świadczeniem wszelkiego rodzaju usług uczelni. Nie było tam żadnych fabryk, zakładów ani upraw, z drugiej jednak strony nigdy tak naprawdę nie wiadomo, czym zajmują się mieszkańcy dowolnego miasta, przez które akurat przejeżdżasz. Wszyscy pochłonięci są po prostu własnymi sprawami. Było tam sporo księgarń, sklepów z ubraniami, restauracji i pubów. Profesor wyznał, że jeden z nich darzy szczególnym upodobaniem.

- Gdyby któreś z was chciało się napić w towarzystwie, można mnie znaleźć przy barze w Starym Feniksie. Warzą tam całkiem niezłego portera. Nasze domy stały na zachód od uczelni, mając miasteczko od południa i ścianę lasu tuż tuż od północy.

- Mój dom stoi przy tej samej ulicy, co wasze. Chciałbym ponowić stałe zaproszenie - wpadajcie zawsze, kiedy będziecie mieli na to ochotę. Teraz jednak czas na lekcje indywidualne, wróćmy więc do moich gabinetów na uczelni. Profesor Cee miał sześć

gabinetów i czekał na nas we wszystkich z nich. Zajrzałem do trzech kolejnych, zanim zauważyłem swoje nazwisko na jednych z drzwi.

- Łatwo się w tym pogubić, prawda? - powiedział profesor, pokazując sąsiedni pokój. Usiadłem przy biurku, taki samym, jakie stało w Sali wykładowej. Nawet ołówki leżały w tym samym miejscu.

- To właśnie to biurko - powiedział profesor. - W magiczny sposób pojawia się również u ciebie w domu, kiedy tylko tam jesteś. Chodzi o to, byś nie musiał nosić ze sobą pomocy naukowych. Jeśli chcesz, możesz udawać, że chodzi za tobą tajna ekipa tragarzy mebli.

- To mi nie przeszkadza. Zastanawiam się tylko, jak to możliwe, że rozmawia pan z nami wszystkimi jednocześnie.

- Nie mam pojęcia, mój chłopcze. Ja odnoszę wrażenie, jakbym udzielał lekcji każdemu z was po kolei, ale stojące za tym programy i elektronika są mi zupełnie nieznane. Jeśli chcesz, poproszę jednego z profesorów od matematyki, żeby ci to wyjaśnił.

- Masz na myśli, że nie wiesz, jak zostałeś zaprogramowany, ani jak działają twoje obwody?

- A po cóż miałbym to wiedzieć? Możesz opowiedzieć mi o konkretnych chemicznych reakcjach, jakie w tej chwili zachodzą w twoim mózgu? Albo które z twoich neuronów właśnie się uaktywniają i po co? Po co zawracać sobie głowę takimi błahostkami?

- Nie wiem, ale czy ktoś nie powinien orientować się dokładnie w tym, co się dzieje?

- Całą wewnętrzną obsługą Głównego Komputera Bojowego zajmują się wyspecjalizowane podprogramy. Jakaś osobowość monitoruje zdarzenia w świecie zewnętrznym i powiadomi nas, jeśli zajdzie taka konieczność. Nie powinniśmy jednak poświęcać temu więcej uwagi, niż ty świadomie poświęcasz biciu swojego serca. Wystarczy przecież, że dowiesz się, jeśli przestanie.

- Chyba masz rację.

- Świetnie. A teraz chciałbym przekonać się, jaki jest zasób twojej wiedzy historycznej...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

DOMOWA CODZIENNOŚĆ I HISTORIA

Kiedy wróciłem do domu, Kasia już tam była i nie próżnowała. Dom był teraz większy - w jednym skrzydle znajdowały się dwa gabinety do nauki oraz okazała biblioteka, w drugim zaś pokoje Agnieszki i Ewy, naszych „służących”. Zauważyłem, że miały one osobne wyjścia na dwór, tak, by dziewczyny mogły wchodzić i wychodzić z domu nie przeszkadzając nam. Po co tak było, skoro każdy mógł po prostu zniknąć i pojawić się w innym miejscu, przerastało moje możliwości pojmowania, ale wszystkie trzy panie wydawały się zadowolone z takiego rozwiązania. Wkrótce Agnieszka i Ewa urządziły swoje pokoje po swojemu. Nie wiedziałem, czy to tylko element programu, czy naprawdę mają jakieś poczucie estetyki. Obie twierdziły, że mają, ale mógł to być tylko kolejny element programu.

- Wygląda na to, że będziemy prowadzić dość rozrywkowy tryb życia. Może więc powiększymy salon i jadalnię, co ty na to?

- Cokolwiek sobie zażyczysz, ale wiesz, mi się podoba tak, jak jest.

- Wy, mężczyźni, nie znosicie przemeblowań. Tak mówiła moja mama. W porządku, zostawimy wszystko, jak jest i zbudujemy większy salon i jadalnię tam, gdzie teraz jest trawnik od ulicy. Potem przesuniemy całość jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów w tył, żeby dom nie stał przy samej drodze.

- Kochanie, w ten sposób będzie stał na środku jeziora.

- W takim razie przesuniemy jezioro o pięćdziesiąt metrów. Starą jadalnię nazwiemy pokojem śniadaniowym, a salon pokojem rodzinnym.

- Po co nam pokój rodzinny, skoro nie mamy rodziny? Wiesz, to kolejna rzecz, której nie można zrobić w Świecie Snów.

- W takim razie na jutro musisz wymyśleć już tylko dwie - powiedziała Kasia. Kiedy zobaczyła mój wyraz twarzy, rzuciła mi się na szyję. - Och, Mikołaj, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Nie chcesz jeszcze mieć dzieci, prawda?

- Teraz, w Świecie Snów nie, ale ogólnie, jasne, że chcę!

- Ja również, ale nawet w prawdziwym świecie chyba chciałbyś poczekać, wiesz, aż skończy się wojna...

- W takim razie nazwiemy stary salon bawialnią i zaczniemy się w nim zabawiać. - Wzięłam Kasię na ręce i zaniósłem na kanapę.

I tak zaczęło się nasze ośmioletnie studiowanie. Kurs był bardzo ciężki i wymagał od nas pełnej mobilizacji. Chociaż profesor nie zapominał o naukach ścisłych i humanistycznych, główny nacisk programu położono na strategię, taktykę, historię wojskowości i inżynierię wojskową. Uczono nas szybkiego rozwiązywania niespotykanych problemów. Było to jednak ciekawe i teraz, patrząc wstecz widzę, że naprawdę mi się podobało.

Wtedy jednak wydawało nam się, że żyjemy w biegu. Kasia zżyła się z Ewą kiedy działały jako zespół, a z czasem polubiła też Agnieszkę. Obie dziewczyny bez kłopotów weszły w role służących, a ponieważ jestem z natury monogamistą, nie doszło do wybuchu, którego można by się spodziewać w sytuacji, kiedy jeden mężczyzna mieszka z trzema pięknymi kobietami. Agnieszka wciąż była jednak najlepsza w masowaniu pleców, a wszystkie trzy nabrały zwyczaju ubierania się - przynajmniej w domu - zdecydowanie za skąpo. Próbowałem pohamować ich ekshibicjonistyczne zapędy, lecz bez powodzenia. Wszystkie kobiety mówią, że ubierają się dla mężczyzn, ale to kłamstwo. Ubranie kobiety to część gry o pozycję, jaką prowadzi ona z innymi kobietami.

Jest to prawda również w przypadku mężczyzn. Nie ubierają się, by sprawić przyjemność kobietom. Chodzi im jedynie o podkreślenie swojej pozycji względem innych mężczyzn, chociaż większość z nich nie zdaje sobie nawet z tego sprawy. Mężczyzna, którego „ładnie” ubrała kobieta, wszystko jedno - matka, żona czy dziewczyna, przez innych traktowany jest jak mięczak, ktoś, komu nie można ufać. W ten sam sposób kobieta, ubrana przez mężczyznę - ojca, męża lub chłopaka, będzie postrzegana przez inne kobiety jak dziwka bądź kura domowa, w zależności od tego, którą ze skrajności zrobił z niej mężczyzna. Zasadniczo mężczyzna zauważa ubranie i fryzurę kobiety z czystej uprzejmości. Tak naprawdę ma dokładnie gdzieś, co kobieta ma na sobie, dopóki nie podnieca go to w sytuacji, kiedy nie chce się podniecać, albo dopóki nie robi mu to wstydu w oczach innych mężczyzn. Mężczyzna nie lubi, kiedy jego kobieta zmienia fryzurę, tak samo, jak nie lubi

przemeblowywać mieszkania. Stałość pewnych drobiazgów daje mężczyznom poczucie bezpieczeństwa.

Kiedy kobieta zmusza mężczyznę, by poszedł z nią na zakupy, wcale nie chce jego rady. Chodzi jej tylko o to, by się z nią zgodził, by dał się zdominować i zapłacił rachunek. Żaden mężczyzna z kolei tak naprawdę nie chce, by jakakolwiek kobieta jechała z nim na zakupy. Tak czy inaczej, po niedługim czasie obie nasze służące zaczęły interesować się chłopakami z uczelni, a przynajmniej tak to wyglądało. Co robiły, jeśli w ogóle cokolwiek robiły, kiedy ich nie widziałem nie było moją sprawą i nigdy tego nie dociekałem. Zastanawiam się jednak, czy to możliwe, że przebywały w Świecie Snów w takim samym stopniu, jak ja? Czy były prawdziwe, jak ja i Kasia, czy stanowiły jedynie elementy tła, mające sprawić, że czuliśmy się swobodniej?

Tak naprawdę już nie wiem, co jest prawdziwe, a co nie...

* * *

Soboty często przypominały powrót na wojnę, do czołgu, ponieważ jednak wiedziałem, że nie mogę tu zginąć, z reguły dobrze się bawiłem. Zaczęliśmy od taktyki małych oddziałów, walcząc w szóstkę przeciw innej grupie studentów. Stopniowo przechodziliśmy do dowodzenia coraz większymi jednostkami. Wygrywałem znacznie częściej niż przegrywałem. Nie walczyliśmy jedynie przy użyciu najnowocześniejszej broni. Pierwszą sobotę spędziliśmy w tropikalnej dżungli, potykając się z innym plemieniem nagich dzikusów bronią z epoki kamienia łupanego. Musieliśmy nawet samemu obłupać sobie krzemienie na ostrza włóczni.

Kilka tygodni później wszyscy przebraliśmy się w stroje z epoki i odegraliśmy bitwę pod Zamą między Hannibalem a Scypionem Afrykańskim podczas drugiej wojny punickiej. Tym razem jednak Kartagińczycy mieli mnie za wodza, odnieśli więc zwycięstwo. W niedziele każdy robił to, co uważał za interesujące - od wspinaczki wysokogórskiej po zwiedzanie muzeów, a ponieważ moi „prawdziwi” koledzy okazali się całkiem sympatyczni, często spędzaliśmy ten czas razem. Maria i „Conan” przypadli sobie nawzajem do gustu i wkrótce stali się tak nierozłączni, jak ja i Kasia. Zamieszkali razem, a jeden z domów przy naszej ulicy po prostu zniknął. Cichy, subtelny Neto okazał się strasznym kobieciarzem. Szalał w miasteczku i na uczelni, rzadko pokazując się dwa razy z tą samą dziewczyną. Mirko był samotnikiem i rzadko uczestniczył w grupowych rozrywkach, a wtedy z reguły przychodził sam. W ramach hobby zamienił kilka hektarów lasu w niedużą farmę, na której pracował tradycyjnymi metodami, orząc pługiem zaprzężonym w konie. Twierdził, że jedzenie z własnego pola smakuje lepiej, czy to w Świecie Snów czy poza nim. Jego służąca

zaczęła jako jedna z wersji Ewy, ale wkrótce przekształciła się w pulchną, spokojną żonę farmera.

Jednak pięcioro z nas zazwyczaj robiło coś wspólnie w każde niedzielne popołudnie, często zapraszając kogoś z zewnątrz. Zajęcia były przeróżne - od skydivingu, przez średniowieczne pojedynki, do wystawnych balów, zależnie od tego, na kogo wypadło organizowanie rozrywki. Prowadziliśmy bardzo ciekawe życie i dużo się wokół nas działo, ale szczegółowe opowiadanie o tym byłoby nudne. Powiem tylko, że cały czas była wiosna i że czas szybko mijał.

Jedna rzecz, o której warto wspomnieć, ponieważ dotyczyła tego, co robiliśmy, to wykład o historii Jugosławii i podłożu konfliktów, w których akurat braliśmy udział. Kłopoty zaczęły się w czasach starożytnego Rzymu, kiedy kraina, która później miała stać się Jugosławią była nazywana Dalmacją. Ten górzysty, surowy kraj zamieszkiwały germańskie plemiona, w pewnym stopniu schryścianizowane, które z zazdrością spoglądały na drugi brzeg Adriatyku. Zaatakowały więc imperium. Nie po to jednak, by zniszczyć Rzym, lecz by samemu stać się jego częścią. Kiedy miasto Rzym upadło, wraz z całą zachodnią częścią imperium, zostało zajęte przez germańskie plemiona, z których wiele pochodziło właśnie z Dalmacji. Germanom spodobało się życie w nowo podbitych krainach, które później stały się Francją, Włochami, Hiszpanią i północną Afryką. Tamtejszy klimat był wspaniały, ziemia żyzna, a podbite ludy odnosiły się życzliwie do nowych panów, ponieważ podatki i daniny Germanów były z reguły dużo niższe niż rzymskie. Wkrótce Dalmacja i inne, dotąd germańskie, krainy opustoszały. Natura jednak nie znosi próżni, zwłaszcza, jeśli słowiańskie tereny, mające stać się w przyszłości Czechami i Słowacją, borykają się z przeludnieniem.

Południowi Słowianie zaczęli więc migrować na południe. Całe wsie i miasteczka dochodziły do wniosku, że należy się przenieść i wyruszały, głównie zimą, by zdążyć jeszcze coś zasiać na wiosnę. Niektóre osady, samotnie lub w porozumieniu z sąsiadami, wysyłały jako kolonistów połowę swych mieszkańców, częstokroć najmłodszych synów i córki. Przybywali oni na miejsce grupami, lub, rzadziej, pojedynczo i żyli tak, jak robili to od setek lat, utrzymując się z uprawy roli i kultywując pogańskie tradycje. Stulecia mijały we względnym pokoju.

W ósmym wieku Rzym odzyskał znaczenie, tym razem jako siła nie polityczna, lecz religijna. Na wszystkie strony świata ruszyli misjonarze, mający nawracać pogan, z których najbliżsi mieli nieszczęście mieszkać w północnej części Dalmacji, zwanej Chorwacją. W tym samym mniej więcej czasie rzymski Kościół zwołał sobór, na którym ustalono, że kobiety są mimo wszystko ludźmi. Uchwała przeszła jednym głosem. Na wschodzie Imperium

Rzymskie nigdy nie upadło, ponieważ na sto lat przed podbojem miasta Rzym całość imperium podzieliła się na dwie części. Miało to być spowodowane względami czysto administracyjnymi, ale kiedy Rzym został splądrowany, wschodni cesarze próbowali udawać, że nic się nie stało.

Wschodnie Imperium - Cesarstwo Bizantyjskie, przetrwało jeszcze tysiąc lat, nie licząc chwilowego podboju przez Francuzów podczas Czwartej Krucjaty, kiedy to uznano, że bardziej opłaca się złupić bogate, chrześcijańskie miasto, niż zawracać sobie głowę nędznymi chałupami jakichś pogan na pustyni. Długa saga Rzymu zakończyła się dopiero w piętnastym wieku, kiedy Turcy zajęli Konstantynopol. Kiedy więc rzymski papież nawracał północną Jugosławię, metropolita Konstantynopola robił to samo na zachodzie, wśród Serbów. Największym problemem tego stanu rzeczy był fakt, że przez kilkaset lat od upadku Miasta Rzym dwa największe odłamy chrześcijaństwa zaczęły się zdecydowanie różnić pod względem ceremoniału, języka i doktryny. Co gorsza, nie mogły dojść do porozumienia co do tego, kto jest szefem, ponieważ obaj - papież i metropolita - byli przekonani, że są prawowitymi zwierzchnikami jedyne prawdziwego Kościoła. Żaden z nich nie miał zamiaru poddać się władzy jakiegoś zagranicznego uzurpatora. Przeciwnie fale misjonarzy spotkały się w kraju, który później nazwano Bośnią-Hercegowiną, i natychmiast zaczęły ze sobą walczyć. Jak inżynier, którego walka z aligatorami pochłonęła tak bardzo, że zapomniał o swym zadaniu, którym było osuszenie bagna, pobożni kapłani i mnisi do tego stopnia skupili się na opluwaniu drugiej strony, że potencjalni konwertyci nabrali głębokiego obrzydzenia do jednych i drugich. „Niech ich wszystkich zaraza!”. Takie było generalne nastawienie społeczeństwa.

Kiedy ktoś wreszcie odkrył, że istnieje trzecia odmiana chrześcijan, bogomilcy, Bośniacy pospiesznie zaczęli do nich dołączać. Jak się okazało, ta konkretna sekta nie miała przed sobą wielkiej przyszłości, ale tradycyjnie Bośniacy nie potrafili postawić na właściwą stronę. Nie chodziło bynajmniej o to, że mieli szczerzy zamiar zostać dobrymi chrześcijanami - nawrócenie stało się po prostu polityczną koniecznością. W tamtych czasach poganin mógł się czuć bezpiecznie tylko w grupie innych pogan. W otoczeniu wyznawców Księcia Pokoju łatwo było o śmierć z rąk chrześcijan, pragnących zrobić dobry uczynek, albo zostać zabitym przez wojownika, odprawiającego akurat pokutę za grzechy.

Wszystko więc szło gładko przez następne kilka wieków. Och, trafił się mały najazd Bułgarów czy innych mieszkańców morza traw, co chwila też wybuchały spory o to czy tamto, jednak zdecydowana większość ludności, zamieszkująca niedostępne, małe górskie doliny żyła w przyjemnym spokoju. Wtedy Bałkany zostały najebrane i dość brutalnie

podbite przez Turków Ottomańskich. Najeźdźcom nie zależało jednak na niepotrzebnym okrucieństwie, nie chcieli też zmuszać nikogo siłą do przechodzenia na islam - tak naprawdę ich głównym celem było zapewnienie sobie stałego dopływu pieniędzy z podatków. Dlatego też sadzali na tronie jakiegoś figuranta, dawali mu muzułmańskich doradców i nawet pozwalali na pewną swobodę tak długo, jak długo pieniądze były płacone o czasie. Pod rządami Turków muzułmanie żyli według zasad prawa muzułmańskiego, chrześcijanie chrześcijańskiego a Żydzi - żydowskiego, Każda grupa miała swoje sądy oraz sędziów i miała załatwiać swoje sprawy tak, by nie zawracać imperium ottomańskiemu głowy. Kiedy osoba jednego wyznania pokłóciła się z kimś innej wiary, zajmowały się tym również specjalne sądy, którym jednak nieodmiennie przewodniczył muzułmanin, a rozprawa toczyła się w języku arabskim. Wszyscy byli równi, ale niektórzy równiejsi.

Wkrótce wszyscy poborcy podatkowi byli już muzułmanami, tak jak większość urzędników. Dobrze ustawieni muzułmanie płacili śmiesznie niskie podatki, albo nie płacili ich wcale. Wyznawcy islamu mieli wiele praw, których odmawiano chrześcijanom. Całkowicie zabronione było na przykład porywanie muzułmańskich dzieci i sprzedawanie ich w niewolę, podczas gdy zrobienie czegoś takiego z chrześcijaninem było pomniejszym wykroczeniem, jeśli policja i sąd w ogóle chciały się tym zająć. Cena zwykłej niewolnicy w Konstantynopolu spadła do ceny konia, na zasadzie kilogram za kilogram. Oznaczało to, że koń wart był około sześciu niewolnic, ponieważ trudniej było go ukraść. Wysokiej jakości konie i niewolnicy oczywiście zawsze kosztowali więcej i mogli osiągać ceny setki razy wyższe, niż pospolici, ale okaleczonego czy starego nie warto było nawet żywić. Dość powiedzieć, że motywacja do zmiany religii była poważna. Chrześcijanin mógł w każdej chwili przejść na islam. Wśród Bośniaków, którzy nigdy nie byli zbyt żarliwymi wyznawcami Chrystusa konwersje stały się codziennością. Wkrótce zaczęli piąć się w górę drabiny społecznej jako poborcy podatkowi, sędziowie i inni niesympatyczni urzędnicy.

Ludzie, którzy zostali chrześcijanami z własnej, nieprzymuszonej woli, czyli między innymi Chorwaci i Serbowie, poważniej podchodzili do wiary ojców i nie przechodzili na islam tak często. Widok kogoś, kto jest taki sam jak ty i mówi tym samym językiem, ale wywyższa się nad ciebie tylko dlatego, że wyrzekł się starej, prawdziwej wiary, rodzi wyjątkowy rodzaj nienawiści. Serbowie, którzy pozostali greckimi katolikami, zapragnęli służyć w armii. To oddaliło ich od Chorwatów, przeciw którym owej armii używano, kiedy tylko próbowali się buntować. Południowi Słowianie pozostali pod butem Turków przez wiele stuleci, a ich wzajemna nienawiść rosła.

Kiedy Turków ostatecznie wygnano, Jugosłowianie zostali włączeni do Cesarstwa Austro-Węgier, a ich sytuacja nieco się poprawiła. Wciąż jednak nie była to wolność, a bomba, rzucona ręką jednego ze Słowian w Bośni okazała się być iskrą, która rozpałała pierwszą wojnę światową. Po niej nastąpił krótki okres wewnętrznych sporów, jawna ingerencja rosyjskich komunistów, a w końcu druga wojna światowa, podczas której Chorwaci walczyli po stronie Niemców, których ostatecznie wypędzili Serbowie. Jugosławia pozostała pod władzą komunistów, aż Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich zniknął z mapy świata, co jednak nastąpiło w nieco innych okolicznościach, niż przewidywał Karol Marks.

Kilkanaście krwawych lat później Jugosławię najechali Europejczycy z NATO. Dla jej własnego dobra, oczywiście. Raz po raz na przestrzeni dziejów Jugosłowianie byli najeżdżani, łupieni i podbijani, nie mając nigdy szansy stanąć na nogi. Za każdym razem jedna lub więcej z ich licznych podgrup stawała po stronie najeźdźców, dla zysku, bezpieczeństwa i wpływów. Z równą regularnością, kiedy tylko zyskiwali odrobinę swobody, wykorzystywali ją do walki - nie z dotychczasowymi oprawcami, lecz z tymi spośród siebie, którzy wspierali ostatniego najeźdźcę. Wszystko to skończyło się chwilowo wraz z Serbskim Zjednoczeniem, w trakcie którego wybito niemal całą mniejszość muzułmańską i poważnie zdziesiątkowano pozostałe. Serbowie nazwali to czystką. Może, myśleli ludzie z zewnątrz, wreszcie się czegoś nauczyli. Jednak Jugosłowianie nauczyli się tylko jednego - że nie potrzebują już najeźdźcy. Przez wieki nauczyli się radzić sobie samodzielnie. Nie było to szczęśliwe zakończenie, ale zawsze jakieś zakończenie.

Należałoby może jednak powiedzieć, że wszyscy mieli taką nadzieję. Wszystko bowiem zaczęło się od początku, kiedy Grupa Najbogatszych Państw dała Jugosłowianom planetę na własność, daleko, daleko od Ziemi. Wtedy właśnie w tej krwawej historii pojawiliśmy się my, nieszczęśni Kaszubi. Krótko mówiąc była to niewesoła historia, jedna z tych, które mogą się skończyć jedynie wraz z całkowitą zagładą wszystkich zainteresowanych.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

KOSMICZNE WOJNY I OWCZE SKÓRY

Jeśli chodzi o nasz pobyt w Oxbridge, właściwie jedyna naprawdę dziwna rzecz wydarzyła się w pewną sobotę na trzecim roku. Ubrany w przepaskę biodrową i bardzo mocno opalony grałem zuluskiego króla Cetshwayo w trakcie bitwy pod Isandhlwana. Neto wcielił się w lorda Chelmsforda, mojego brytyjskiego przeciwnika, a pozostali członkowie sztabu grali oficerów w obu armiach.

Zapowiadało się na kolejne zwycięstwo Zulusów, kiedy nagle okazało się, że bierzemy udział w zupełnie innej bitwie! Przy przeciążeniu dwudziestu G oddalaliśmy się od powierzchni planety w nowoczesnych czołgach, wyposażonych w napęd rakietowy, podłączony transporterem Hassana-Smitha do zapasów paliwa na planecie, która na pierwszy rzut oka wyglądała na Nową Jugosławię. Agnieszka była znów moim czołgiem, zamiast służącą, dowodziłem jedynie pięcioosobowym oddziałem, a bitwa nie trwała dnia lub dwóch, jak to zazwyczaj miało miejsce. To draństwo ciągnęło się przez trzy bite tygodnie! Agnieszka nie umiała mi wyjaśnić, dlaczego program szkoleniowy został zakłócony, straciłem kontakt z profesorem, a moim zwierzchnikiem okazał się być mało komunikatywny Komputer, którego nie znałem.

Bitwa trwała i trwała, aż w końcu rozrzuciło nas tak bardzo, że zacząłem mieć problemy w porozumiewaniu się z własnymi ludźmi. Nie chodziło tu tylko o zakłócenia w łączności radiowej czy słabą wydajność laserów - opóźnienia, spowodowane prędkością światła, sięgały dwóch i pół godziny! Co więcej, wszystko było realistyczne do tego stopnia, że nie mogliśmy się spotykać w Świecie Snów. Zacząłem naprawdę mocno tęsknić za Kasią, chociaż nie aż tak bardzo, żeby kochać się z Agnieszką.

Dobrzy ostatecznie zwyciężyli, ale w trakcie zużyliśmy zapasy paliwa. Cała produkcja była zużywana na bieżąco, by ściągnąć resztę armii z najdalszych zakątków lokalnego układu słonecznego. Co do mojego oddziału, ostatni etap bitwy wymagał desantu z orbity - przejście przez atmosferę niemal od razu spaliło nasze rakiety i większość uzbrojenia. Bez spadochronów wpadliśmy do płytkiego oceanu, z którego musieliśmy wygrzebać się na brzeg. Niezłe!

W ostatecznym rozrachunku straciliśmy jedynie Neto. Miał pecha i zaraz na początku bitwy staranował wrogi czołg - znajdował się na orbicie równikowej jednego z księżyców gazowego olbrzyma, Wodena, podczas gdy jego przeciwnik przemieszczał się po orbicie biegunowej. Nawet Czołg Bojowy Mark XIX nie jest w stanie wytrzymać takiej kolizji. Kiedy znaleźliśmy się znów w sali wykładowej odkryliśmy, że na miejscu Neto siedzi ktoś nowy. Profesor ze smutkiem oznajmił, że był zmuszony wyrzucić go z grupy z powodów psychologicznych.

Zaszokowało to nas, a potem rozwścieczyło. Neto był tak zrównoważony, jak to tylko możliwe i miał najlepsze oceny w grupie, zaraz po mnie. Był dobrym przyjacielem i członkiem drużyny, a nam nie pozwolono nawet się z nim pożegnać. Profesor jednak był nieugięty. Główny Komputer Bojowy miał nad nami absolutną władzę do chwili zakończenia szkolenia - Neto wyleciał i już. Byłem z tego powodu tak wściekły, że wybiegłem z sali. Reszta zrobiła to samo, za wyjątkiem tego nowego. Dopiero następnego dnia ktoś zapytał profesora Cee o powód przeprowadzenia tak długiej symulacji.

- Chodziło o to, że wpadliście w rutynę. Bardziej zajmowało was planowanie następnej niedzieli, niż przydzielone zadanie do wykonania. Studiujecie Sztukę Wojny, a wojna zdarza się bez uprzedzenia, nie pytając, czy macie na nią czas!

Powiedział tak, chociaż to on sam rządził naszym czasem! Faktycznie, miał rację w tym, że zrobiliśmy się trochę za bardzo niedbali, ale wyrzucenie Neto było zwykłą głupotą i wszyscy o tym wiedzieli. Nowy, Chorwat o zupełnie nie pasującym mu imieniu i nazwisku - Lloyd Tomlinson, zaczynał w artylerii. Nie był złym facetem, ale miał w stosunku do nas trzy lata opóźnienia i w trakcie naszego pobytu w szkole nie udało mu się ich nadrobić, ani w nauce, ani towarzysko.

Podczas wykładów wydawało mu się, że uczy się razem z nami tego, co my przerabialiśmy na początku kursu. Rozmawiając z nim o tym w weekendy, kiedy spotykaliśmy się towarzysko albo w bitwie, doszliśmy do wniosku, że widuje najczęściej nasze nagrania, zrobione z punktu widzenia Neto. Kilka razy jednak to, o czym wspominał, dla nas nigdy się nie wydarzyło. Takich poślizgów nie było wiele i komputer jakoś sobie z tym radził.

Oddział jednak nigdy nie był już taki sam. Przez cały ten czas Serbowie nie odkryli, co dzieje się z ich ukrytą dywizją. Raz na jakiś czas pojawiały się ich patrole, sprawdzały, czy nic się nie stało i odjeżdżały. Zawsze słyszeli to, co chcieli usłyszeć, ponieważ to właśnie im mówiliśmy. Ostatecznie Kasia i ja ukończyliśmy kurs cum laude, jako jedyni z całej grupy. Razem z dyplomami dostaliśmy stopnie oficerskie w siłach Nowej Chorwacji. Ja zostałem

generałem, a pozostali, z wyjątkiem Lloyda, który jeszcze nie skończył kursu, zostali pułkownikami. Zapytałem profesora, jak mogliśmy awansować bez wiedzy nowochohorwackiego rządu.

- Przyznaję, mój chłopcze, że to mógłby być problem. Z jednej strony mianowanie was na oficerów w taki sposób, jak ja to zrobiłem, to tradycja, jeśli nie byliście nimi przed rozpoczęciem kursu. Władze powinny po prostu zatwierdzić wasze awanse, kiedy zostaną o nich oficjalnie powiadomione.

- A jeśli tego nie zrobią?

- W takim wypadku zostałbyś de facto właścicielem i dowódcą potężnej, niezależnej kompanii najemników, a nie wydaje mi się, żeby rząd chciał, by tak się stało. Zatwierdzenie waszych stopni i wypłacenie żołdów byłoby o tyle tańsze od wszystkich możliwych alternatyw, że nie wyobrażam sobie, by mogli tego nie zrobić.

- Chyba nie chciałbym być najemnikiem.

- Jesteś tego pewien? Zdobywszy tę jednostkę, poświęcając jedynie trochę czasu, miałbyś przed sobą ogromne możliwości zysku. Poza tym, byłaby to świetna zabawa.

- Pana definicja zabawy musi bardzo różnić się od mojej, profesorze. Tak jak pan jednak powiedział, taka sytuacja jest bardzo nieprawdopodobna. Po ukończeniu kursu ja i Kasia urządziliśmy sobie jeszcze miesiąc wakacji, dalej w trumnach, ale tym razem w czasie rzeczywistym. Cała grupa uznała, że żołnierzom przyda się jeszcze miesiąc treningu, a Lloyd musiał ukończyć swoje szkolenie. Ani Kasia, ani ja nie chcieliśmy czekać kolejnych czterech lat na dobranie się Serbom do skóry, nie wspominając o naszych planach dotyczących małżeństwa, rancha i rodziny. Lloyd został w szkole, ucząc się razem z elektronicznymi kopiami naszej piątki, jaką była przez ostatnie pięć lat nauki. Dziwnie było myśleć, że studiuje ze mną, aleja nie studiuje z nim. Biedak żył w stuprocentowo symulowanym otoczeniu. Profesor powiedział jednak, że będzie się przez to lepiej uczył.

Ciągle się jednak zastanawiam, co by było, gdyby zrobił coś, co nie pasowałoby rzeczywistości pozostałych. Gdyby wdał się w romans z Marią, na przykład, a ona nie miałaby nic przeciw temu? Co myślałby o tym wszystkim Conan? Najwyraźniej jednak nic takiego się nie zdarzyło, więc tak naprawdę nie ma to znaczenia. A może zdarzyło się, ale nikt się o tym nie dowiedział? Kiedy w lesie przewraca się drzewo... A, do cholery z tym! Conan i Maria postanowili zostać na uczelni i zrobić kilka doktoratów. Rzadko widywali tam Lloyda. Z własnych powodów, których nie dociekałem, Mirko poprosił o spędzenie tego miesiąca w czasie rzeczywistym, tak jak Kasia i ja.

Zmieściliśmy się w czasie prawie idealnie. Dwa dni przed przewidywanym zakończeniem szkolenia dywizji i wyruszeniem na własną wojnę, z serbskiego Najwyższego Dowództwa przysły rozkazy dla ludzi, pod których się podszywaliśmy. Mieliśmy natychmiast zameldować się na Przyczółku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

PRELUDIUM BITWY

Zwołałem natychmiast posiedzenie sztabu, czyli profesora, moich pięcioro kolegów i siebie samego. Spotkaliśmy się tam, gdzie zwykle obradowaliśmy przed sobotnimi bitwami - w naszym „pokoju sztabowym”. Było to przestronne pomieszczenie z ekranami ściennymi, sprzętem komunikacyjnym i większą ilością trójwymiarowych projektorów, niż można

zobaczyć w sześciu starych filmach SF razem wziętych. Wszystko to skupione było wokół wielkiego, okrągłego stołu.

Wystarczyło pomyśleć, by wszystko zmieniało się i dostosowywało do indywidualnych wymagań. Jeśli rozmawiało się o myśliwcach z drugiej wojny światowej, na stole pojawiał się dokładny model Spitfire'a Mark IX, a za plecami czekał w gotowości bojowej ME-109. Zasady były proste - każdy w pomieszczeniu mógł zmieniać wszystko, włącznie z pozostałymi osobami. Wymagało to sporej dyscypliny - wszyscy zgodnie uznali, że nie wolno robić nikomu żadnych dowcipów.

W tej chwili na stole znajdowała się dokładna makietka wrogiego przyczółka oraz mapy doliny, w której stacjonowaliśmy i dzielącego nas od celu terenu. Ściany udekorowane były zbrojami, średniowieczną bronią i chorągwiami, by nadać pomieszczeniu militarnego klimatu. Po ponad ośmiu latach przygotowań, wszyscy mieliśmy elektryzujące uczucie, że nadeszła długo wyczekiwana chwila. Byliśmy tak podekscytowani, że profesor zaproponował nam przejście w tryb bojowy, żebyśmy mieli trochę więcej czasu na ochłonięcie. Ścienne ekrany pokazały naszą dywizję, opuszczającą dolinę na pustyni z nieznośną powolnością. Profesor Cee kazał służącemu w pełnym, szkockim stroju narodowym rozdać wszystkim po szklance szkockiej whisky. Do pomieszczenia wmaszerował pluton szkockich kobziarzy.

- Za zamęt w szeregach wroga! - krzyknął profesor i cisnął szklankę do kominka, który pojawił się w samą porę, by złapać odłamki szkła.

- Niech Bóg przeklnie ich oczy!

- Ich rodzice byli braćmi!

- Ale ja nie lubię szkockiej!

Cała nasza szóstka, wzniosłszy bojowe okrzyki, również rzuciła szklanki w palenisko. Usiedliśmy, a kobziarze zaczęli grać. Znosiliśmy to cierpliwie przez co najmniej trzydzieści pięć sekund, aż w końcu uznałem, że czas zapanować nad posiedzeniem.

- Dość! - krzyknąłem. Nagle zrobiło się cicho. - Tak lepiej. Proszę skasować barmana, kominek i Czarną Gwardię.

Wszystkie te rzeczy znikły. Rozejrzałem się dookoła. Kasia i Mirko kiwnęli głowami, pokazując, że dobrze robię, ale pozostali wyglądali na zawiedzionych, że zabawa skończyła się, zanim rozwinęła skrzydła.

- Cztery głosy przeciw, dwa za. Jestem generałem, czyli „za” wygrywają.

Zmieniłem nasze luźne ubrania w proste, ciemnozielone mundury, pozbawione wszelkich ozdób za wyjątkiem oznaczeń stopni - srebrnej gwiazdy na swoim i złotych orłów na ich - by wprawić ich w odpowiedni nastrój.

- Profesorze, chyba czas, by zdał pan nam raport sytuacyjny - powiedziałem. - Nie zapytam, dlaczego uznał to pan za odpowiednią okazję do otwarcia piwa.

- Szkockiej, drogi chłopcze, szkockiej. - Profesor wyglądał niezgrabnie bez swojej zwykłej, tweedowej marynarki.

- Masz rację, piwo byłoby zupełnie nie na miejscu. Zrobiłem to, ponieważ wszyscy byliście zbyt podekscytowani, by zwrócić należną uwagę na jakiegokolwiek raporty, ponieważ zakończyliśmy już wszystkie możliwe przygotowania i ponieważ mamy kilka subiektywnych dni, by zastanowić się, co robić. Nie ma potrzeby się spieszyć.

- Myślę, że jest - powiedziałem. - Żadne z was, z panem włącznie, nigdy przedtem nie prowadziło prawdziwej wojny, więc chcę wykorzystać każdą chwilę, jaką mamy. Na początek proszę, by jak najszybciej zdał nam pan sprawę z tego, co działo się w realnym świecie. Profesor zaakceptował moją zwierzchność bez słowa, ale widziałem, że nie był z tego powodu szczęśliwy. Przez ponad osiem lat był tu najważniejszy i zrezygnowanie z tego nie było dla niego łatwe. Wyprostował się sztywno i zaczął raport.

Podczas naszej nauki Główny Komputer Bojowy, podszywając się pod zabitego serbskiego generała, otrzymywał regularne aktualizacje z sytuacji na froncie. Powiedział, że nie mówił nam o tym, ponieważ uważał, że takie informacje jedynie odciągałyby nas od nauki. Teraz jednak stosowne było zdać nam raport o stanie sytuacji. Takie podejście, na zasadzie Ja wiem, co jest dla was dobre doprowadziło mnie do szaleń. Byłem dowódcą dywizji i nie miałem zamiaru pozwalać jakiejś maszynie decydować o tym, co powinienem wiedzieć.

- Cholera jasna! Profesorze, Główny Komputerze Bojowy, czy jak tam mam cię nazywać, nie miałeś żadnego powodu, żeby trzymać nas w nieświadomości, przynajmniej przez ostatni miesiąc czasu rzeczywistego! Czas ustalić, kto tu jest naprawdę szefem. Jestem człowiekiem, generałem, ci ludzie to moi pułkownicy, a ty jesteś tylko maszyną, która ma mi pomagać w dowodzeniu! Dotarło?!

- Ależ oczywiście, sir. Jest pan dowódcą od momentu, kiedy skończyło się pana szkolenie. Jak mogłoby być inaczej?

- Jak więc wytłumaczysz ukrywanie przed nami informacji o wojnie?

- Nie ukrywałem ich, sir. Przecież właśnie zaproponowałem, że je wam przedstawię.

- Powinieneś był zrobić to wcześniej.

- Nie wydał mi pan takich rozkazów, sir. Zrobienie tego samowolnie nie dałoby nic, oprócz zepsucia panu wakacji.

Zgrzytnąłem zębami, ponieważ miał w sumie rację. Nie kazałem nikomu nic robić. Będę musiał nad tym popracować. Przeszło mi przez myśl, żeby kazać komputerowi stworzyć

inną, bardziej posłuszną postać i zastąpić nią profesora Cee, ale zdecydowałem się tego nie robić. Nie wiedziałem, co stałoby się z programem osobowościowym staruszka. Czy maszyna po prostu by go usunęła? Czy oznaczałoby to, że profesor by umarł? Poza tym, tak naprawdę polubiłem starego, pompatycznego drania. Mimo to, chcąc efektywnie dowodzić swoją dywizją, musiałem upewnić się, że nikt nie ma wątpliwości, kto tu jest szefem. Nie mogłem pozwolić, by profesorowi wszystko uszło na sucho.

- Zepsute wakacje to marne usprawiedliwienie przegranej wojny! Proszę złożyć mi teraz raport o sytuacji i od tej chwili o wszystkim informować!

-Tak jest, sir.

Według profesora wojna weszła w sytuację patową, a spora część serbskiej armii wycofywała się. Na Przyczółku stały dwie dywizje nowoczesnego sprzętu, ale jedna z nich była pusta, bowiem żołnierze byli na przepustkach w domu. W pobliżu znajdował się obóz koncentracyjny z ponad jedenastoma tysiącami wysiedlonych cywilów, głównie Chorwatów, z niewielką domieszką innych mniejszości.

Stacjonowało tam również dziewięć dywizji serbskiej piechoty, mającej pełnić rolę wojsk okupacyjnych po odniesionym zwycięstwie. Był jednak sobotni wieczór, żołnierze myśleli, że w promieniu czterystu kilometrów nie ma wrogich oddziałów i w większości byli pijani. Serbski Główny Komputer Bojowy nie był nawet obsadzony. Ich generał wydawał właśnie przyjęcie, na które zaprosił całą naszą szóstkę. Spojrzeliśmy po sobie i uśmiechnęliśmy się niedowierzająco. Trudno było uwierzyć w taką niekompetencję ze strony przeciwnika. Pobierając lokalizację miejsca, w którym mieliśmy się zatrzymać, komputer zdobył przy okazji dokładny plan rozmieszczenia wszystkich, co do jednej, wrogich jednostek. To nie miała być konwencjonalna bitwa. Zapowiadało się na połączenie Peari Harbor, Little Big Horn i strzelnicy z wesołego miasteczka.

- To musi być pułapka! - stwierdził pułkownik „Conan” Birach. - Taki dar niebios śmiertelnicy dostają raz na sto lat, a tacy grzesznicy jak my na pewno na niego nie zasłużyli. Musimy otworzyć ogień ze wszystkiego, co mamy, kiedy tylko będziemy mieli okazję zniszczyć ich pierwszą salwą, inaczej wszyscy zginiemy!

- Jesteś strasznym pesymistą, Conan - powiedziała pułkownik Garczegoz, moja ukochana Kasia. - To typowa cecha starszych ludzi. Myślę, że jeśli dobrze to rozegramy, uda nam się osiągnąć o wiele więcej, niż tylko zniszczenie, i to przy minimalnych stratach w ludziach.

- Młoda damo, pesymizm daje duże szanse na przeżycie. My, starzy, jesteśmy pesymistami dlatego, że wszyscy niepoprawni optymiści umierają w młodym wieku. Poza

tym co złego w śmierci i zniszczeniu, jeśli spadną tylko na wroga? Przecież po to właśnie tworzy się armie.

- Armie tworzy się jako narzędzia do wprowadzania w życie politycznych decyzji rządów. Jeśli nie da się tego osiągnąć bez zabijania, trudno. Jednak zabijanie ludzi bez istotnej potrzeby to zwykle morderstwo i marnowanie amunicji!

- Moja Kasia rozgrzewała się coraz bardziej, szykując się do zmiżdżenia przeciwnika żelazną argumentacją, a do tego nigdy nie potrzebowała mojej pomocy. Wszyscy byliśmy starymi przyjaciółmi i rozumieliśmy, że debaty, kłótnie, czy nawet wrzeszczenie na siebie nie oznaczają, że nie mamy dla siebie szacunku. Jako generał, rozjemca i najwyższy sąd apelacyjny czekałem, aż w dyskusji pojawi się ziarno prawdy. Gdybym zbyt wcześnie zajął stanowisko, mógłbym nie dopuścić do wypłynięcia na wierzch pożytecznych pomysłów.

- Co ty wiesz o polityce Nowej Chorwacji?! - spytała pułkownik Buich.

Maria często brała stronę Conana w sobotnich dyskusjach, nie dlatego, że z nim mieszkała, ale dlatego, że byli do siebie bardzo podobni. Conan nie chciał rozmawiać o powodach, dla których tak bardzo nienawidził Serbów, ale nienawiść ta była faktem. Maria została przez nich pojmana, kiedy prowadziła lekcję WF z dziewczynkami z ósmej klasy. Nie zgwałcili jej ale bardzo paskudnie obeszli się z jej podopiecznymi.

- Nikt z nas nie ma pojęcia, co robią politycy. Nie mamy kontaktu z naszymi siłami od miesięcy - ciągnęła. - Przecież oni nawet nie wiedzą, że istniejemy! Nie opowiadaj mi więc tutaj o „politycznych decyzjach”! Naszym zadaniem, do którego zgłosiło się na ochotnika wielu Chorwatów, jest zabić tylu Serbów, ilu się da, zanim wojna się skończy!

- Staruszek Freud miałby z tobą co robić, droga Mario! Postrzegasz wojnę jako wymówkę do zabijania Serbów, zamiast uważać zabijanie Serbów za środek służący zakończeniu wojny!

To uciszyło Marię, ale w jej obronie stanął pułkownik Lloyd Tomlinson.

- Znasz naszą historię tak samo, jak my wszyscy, Kasiu. Wszyscy Serbowie, którzy przeżyją tę wojnę, będą zabijać i ginąć w następnej. Lepiej skończyć to już teraz.

Pułkownik Mirko Jubec wstał i poczekał, aż wszyscy zwrócą na niego uwagę. Uciszyli się szybko, ponieważ wiedzieli, że rzadko mówi, ale warto go wysłuchać.

- Jeśli wpadniemy tam strzelając ze wszystkich dział, zabijemy większość cywilów w obozie koncentracyjnym. Czy chcemy to zrobić? Czy możemy sobie na to pozwolić?

Usiadł, a kilka chwil później wstała Kasia.

- Celna uwaga, Mirko. Nie wiemy też, o ile słabsza jest nasza strona, ale wiemy, że nie atakuje Serbów. Jestem pewna, że nie będą kręcić nosem na jeszcze dwie dywizje pancerne

oprócz naszej, zwłaszcza, jeśli nie zapłacą za nie ani grosza. Myślę, że moglibyśmy je dla nich ukraść! Możemy uwolnić ludzi z obozu i zrobić z wielu z nich żołnierzy. Co do serbskiej piechoty - bez wsparcia jednostek pancernych i z całą łącznością w naszych rękach wzięcie ich do niewoli nie powinno być trudne.

- Ja też martwię się o cywilów, Kasiu. Jeśli jednak będziemy za cwani, możemy stracić ich, szansę na zwycięstwo i własne życie na dodatek - powiedziała Maria. – Toczmy wojnę i nie możemy za bardzo się rozczulać. Usiadłem wygodnie i czekałem, aż sztab dojdzie do jakiegoś konsensusu. Nie doszedł.

Po ponad trzech godzinach dyskusji zdania podzieliły się tak, jak przypuszczałem. Kasia i Mirko optowali za ograniczonym atakiem, zniszczeniem nieprzyjacielskiego komputera i sztabu oraz wzięciem całej reszty do niewoli. Lloyd, Conan i Maria chcieli zniszczyć wszystko i zabić każdego, kto pisał do domu cyrylicą, starając się przy tym oszczędzić tylu cywilów, ilu się da. Kiedy zaczęli się powtarzać, zarządziłem trzygodzinną przerwę. Powiedziałem, żeby wrócili z konkretnymi planami działania.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

BITEWNE PLANY

Na ekranach wokół nas nasze siły powoli i równo zajmowały pozycje konwojowe. Powolność manewru wynikała z tego, że dywizja poruszała się w czasie rzeczywistym, a my znajdowaliśmy się w trybie bojowym, pięćdziesiąt razy szybszym. Kiedyś przejście z obozu szkoleniowego do pełnej gotowości bojowej zajmowało armii wiele tygodni, czasem miesiące. Z naszym personelem i maszynami było to możliwe w kilka sekund.

Główny Komputer Bojowy — mieszczący w sobie nas wszystkich - jechał w środku kolumny, otoczony przez ciężarówki zaopatrzeniowe. Dookoła posuwała się artyleria, a całość otaczał kordon dziesięciu tysięcy czołgów. W pełni rozwinięta kolumna miała mieć dwanaście kilometrów szerokości i trzydzieści pięć długości. Pojawiłem się w jednej z moich ulubionych restauracji w mieście, a wszyscy goście potraktowali to jak coś zupełnie

normalnego. Zamówiłem doskonały posiłek i zjadłem go nieco za szybko, więc zalegał mi trochę w żołądku, kiedy pojawiłem się z powrotem w sztabie.

Przez następne dwie i pół godziny studiowałem sytuację, próbując wymyślić własny plan operacyjny. Może wynikało to ze zdenerwowania, ale żaden sposób szybkiego osiągnięcia tego, o co chodziło Kasi nie przychodził mi do głowy. Z drugiej strony plan Conana, zakładający wysadzenie wszystkiego w powietrze również odpadał, chyba że nic innego by nie pozostało. Nie dało się po prostu wyeliminować ciężko opancerzonego przeciwnika, stojącego w pobliżu cywilów, bez wybicia ich przy okazji. Działa próżniowe miały zbyt dużą siłę rażenia. Plan Conana w najlepszym wypadku mógł być planem awaryjnym. Kasia wróciła jako pierwsza, a ponieważ byliśmy sami, usiadła mi na kolanach.

- Wymyśliliście coś, kochanie? - spytałem.

- Chyba tak. Zostało kilka kwestii spornych, ale całość powinna ci się spodobać.

- Mam nadzieję. Podoba mi się to, co chcesz osiągnąć, ale nie przyszło mi do głowy nic, co uznałbym za warte ryzyka.

- Ustaliliśmy przecież, że z nas dwojga to ja jestem sprytna - powiedziała Kasia, pocałowała mnie szybko i wstała. Pozostali wracali.

- Jak mamy oczekiwać sprawiedliwego wyroku, jeśli sędzia dogaduje się z przeciwnikiem? - zażartował Conan.

- Cokolwiek zdecydujemy, moje prawdziwe ciało leży w trumnie dwie stopy od was, a jeśli myślicie, że pozwoliłbym nam, a zwłaszcza sobie, dać się zabić tylko po to, żeby przypodobać się miłości mego życia, jesteście głupszy, niż ja wyglądam. Zwłaszcza, że nie muszę się jej przypodobać. W porządku. Jesteśmy w komplecie. Masz podłogę, użyj jej, chyba, że zrobi to za ciebie twoja lepsza połowa.

- Hmm... Zrobić to na podłodze z moją lepszą połową?

Pociągająca myśl, ale chyba nie uda mi się jej namówić, żeby zrobić to publicznie, i to jeszcze na podłodze, więc odłożę to na później. Zresztą pewnie wolisz usłyszeć, jak zamierzamy rozegrać nadchodzącą bitwę.

- Słusznie. Pokaz osobliwości zostawmy na potem. Teraz rozmawiajmy o bitwie.

Plan Conana był prosty. Wjechalibyśmy do obozu Serbów w pozornie luźnym szyku, naprawdę jednak umieszczając każdy czołg na z góry upatrzonej pozycji, pokazanej na jednym ze ściennych ekranów. Wrogi Komputer, budynek łączności i klub oficerski zostałyby jednocześnie zniszczone przez wyznaczone czołgi. Pięćdziesiąt milisekund później każdy wrogi czołg zostałby zniszczony w ten sam sposób, tak samo jak wszystko inne, łącznie z tunelem, prowadzącym na Nową Serbię i leżącym w pobliżu miastem, w którym stacjonowała

większość serbskich żołnierzy. Cała bitwa miała potrwać w najgorszym wypadku osiem sekund. W żadnej sytuacji działą próżniowe nie otwierałoby ognia bliżej, niż dwieście metrów od obozu koncentracyjnego, ale wciąż nie wyglądało to za dobrze. Dwieście metrów to bezpieczna odległość dla nieopancerzonego człowieka, jeśli strzela jedno działą, ale dziesięć tysięcy? Odwróciłem się do profesora.

- Proszę wyliczyć dawkę promieniowania, siłę fali uderzeniowej i skażenie chemiczne dla każdego człowieka w obozie. Proszę wyliczyć liczbę ofiar i cywilów, którzy zginą, jeśli przeprowadzimy ten atak.

- To zajmie kilka minut - odparł.

Zdziwiło mnie to. Jak dotąd na wszystko odpowiadał bez chwili zwłoki.

- Conan, nie spytałeś go o to, przygotowując plan, prawda?

- Niezupełnie. Wiedziałem, że działą próżniowe jest bezpieczne na dwieście metrów i...

- Gówno prawda. Nie jesteś taki głupi. Po prostu nie chciałeś o to zapytać!

Conan zaczął głośno protestować, ale przerwał mu profesor.

- Zakładając, że wszyscy uwięzieni znajdują się na powierzchni, z przykrością stwierdzam, że zadane przeciwnikowi straty i liczba zabitych przy tym cywilów są takie same. Sto procent ludzi zginie od samego promieniowania termicznego. To samo można powiedzieć o fali uderzeniowej, skażeniu chemicznym i promieniowaniu jonizującym. Plan zakłada rozproszenie wielkiej ilości energii na niewielkim obszarze w bardzo krótkim czasie. Niemal na pewno rozpęta się ognista burza. Będzie dużo ofiar wśród naszych sił, nawet, jeśli przeciwnik nie odda ani jednego strzału, co jest wątpliwe. Muszę powiedzieć, że mnie samego zdziwiły te wyniki i sprawdziłem wszystkie obliczenia dwukrotnie. Jakim cudem odgadłeś to wszystko, mój drogi chłopcze?

- Zwykła, ludzka intuicja, profesorze. Conan, nazwiemy twój plan „planem Z”. Kasia, teraz ty. Wiedziałem, że Kasia będzie mówić w imieniu swojej grupy, ponieważ Mirko nie znosił publicznie przemawiać, nawet w obliczu małej grupy przyjaciół. Kasia zaczęła więc i przykuła naszą uwagę na godzinę.

- Podoba mi się ten plan, ale daleko mu do doskonałości - powiedziałem, kiedy skończyła. - Przeprowadzimy go do momentu, kiedy trzeba będzie wysłać przodem osiem czołgów ryjących z roentgenami. Nazwiemy je „dalekim zwiadem”. Proszę się tym zająć, profesorze. Robi się późno, więc zbierzemy się jutro o dziesiątej czasu subiektywnego. Komputerze, rozpisz plan Kasi z dokładnymi schematami i umieść na naszych biurkach.

Chcę, żeby każdy wypowiedział się rano na jego temat. Mówiąc „każdy”, mam na myśli również profesora, Kasię, Mirka i siebie. To wszystko. Wyśpijcie się.

Nie sądzę, żeby któreś z nas w ogóle zasnęło. Pracowałem w swoim gabinecie do piątej rano, a kiedy wróciłem do domu, łóżko było puste. W gabinecie Kasi paliło się światło, a ja wiedziałem, że lepiej jej nie przeszkadzać. Zresztą byłem tak zmęczony, że nic bym nie zdziałał. O dziesiątej wszyscy wyglądaliśmy na wypoczętych i świeżych, ale podejrzewam, że maczał w tym palce komputer. Musieliśmy podjąć decyzję do dziewiętnastej czasu subiektywnego następnego dnia, kiedy to mieliśmy wjechać do obozu nieprzyjaciela. Była to również dziewiętnasta lokalnego czasu rzeczywistego. Nie wynikało to ze zbiegu okoliczności, lecz z konwencji, przyjętej przez nas kilka lat wcześniej, a komputer tak ustawił nasz czas subiektywny, by wszystko wyszło. Najpierw wysłuchaliśmy krytyki Conana, potem Mirka i Marii, a potem poszliśmy na obiad. Lloyd wypowiedział się już z pełnym żołądkiem. Następnie Kasia podzieliła się z nami swoimi nowymi pomysłami, na końcu zabrał głos profesor i ja.

Jak się okazało, nie miałem wiele do powiedzenia, ponieważ wszystkie moje zastrzeżenia zostały wcześniej wygłoszone przez innych. Profesor powiedział jeszcze mniej – jako komputer rozmawiał z każdym z nas, kiedy pracowaliśmy nad uwagami do planu Kasi. Zważywszy jednak na fakt, że życie nasze, dwunastu tysięcy naszych żołnierzy i jedenastu tysięcy cywilów w obozie zależało od powodzenia naszej akcji uznaliśmy, że wolimy nudę, przesadę i powtarzanie się, niż zapomnienie o jakimś szczególe, a w konsekwencji przegraną bitwę i śmierć. Do zgody doszliśmy nieco po północy.

- Profesorze, myślę, że to wszystko. Proszę dopilnować, by wszyscy żołnierze zaznajomili się z planem i żeby każdy z nich znał swoją rolę. W momencie rozpoczęcia bitwy każdy ma być w najlepszej możliwej formie. Poza tym wszystkie czołgi mają znać ze szczegółami zmodyfikowany plan Z, na wypadek, jeśli coś się nie uda i wszystko szlag trafi. Czy o czymś zapomniałem?

- Tak, drogi chłopcze. Powinieneś kazać mi uśpić waszą szóstkę, żebyście jutro byli pełni sił i gotowi na cały dzień atrakcji.

- Miałem to właśnie zaproponować.

- Nie proponuj, wydaj rozkaz. Sobie również.

- Słyszeliście wszyscy. Żadnej miłości dziś w nocy. Dobranoc wszystkim.

Wszyscy zniknęliśmy. Obudziliśmy się o osiemnastej następnego dnia przy tym samym okrągłym stole. Conan spojrzął na zegar.

- To było zwykłe świństwo! Przed nami bitwa, a ty nie pozwoliłeś mi nawet pocałować jak trzeba na do widzenia mojej dziewczyny! Byłem zły z tego samego powodu, ale nie chciałem mówić tego głośno.

- Po co? To nowoczesna armia, twoja dziewczyna będzie tuż obok ciebie. Poza tym to nie moja wina. Taki długi sen to pomysł profesora.

- To również twoja wina - powiedziała Maria. - Zapomniałeś mi powiedzieć, kiedy nas obudzić.

- Właśnie. Chodź, kobieto, mamy jeszcze dość czasu na szybki numer - powiedział Conan. - Chwileczkę! - zatrzymałem ich. - Profesorze, czy trzeba coś zrobić w ciągu następnej pół godziny?

- Tylko zjeść śniadanie, mój drogi chłopcze. Cała reszta idzie zgodnie z planem.

- W porządku. Wszyscy macie trzydzieści minut przerwy śniadaniowej.

Conan, Maria i Lloyd zniknęli. Lloyd miał romans z dziewczyną z miasteczka, więc w pewnym sensie ją zostawiał.

- Profesorze, dlaczego obudził nas pan tak późno, do cholery?

- Gdybym obudził was o ósmej rano, bylibyście do tej pory jednym kłębkiem nerwów. Zaufaj mi, mój drogi chłopcze. Matka zawsze wie najlepiej.

Popatrzyłem na niego złym wzrokiem.

- Rozkazuję panu nie nazywać mnie swoim droгим chłopcem.

- Już się denerwujesz — powiedziała Kasia. — Chodź, czas ucieka.

Nagle znaleźliśmy się w domu. Miała chyba ochotę na śniadanie w łóżku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

COŚ JAKBY BITWA

O siódmej wszyscy siedzieliśmy na miejscach w pokoju sztabowym. Zespół kopaczy docierał do bram wroga, a pierwsze jednostki dostrzegły właśnie na horyzoncie serbską bazę na Przyczółku. Czołgi zwiadu nie napotkały przez całą drogę ani jednej jednostki nieprzyjaciela, co było dość niezwykle. Serbowie nie patrolowali pustyni, otaczającej ich bazę i wydawali się polegać wyłącznie na radarach i obserwacji wzrokowej. Zasięg ich radarów był jednak dość niewielki, a z obserwacji nie mieli za dużego pożytku, ponieważ niewielki kąt nachylenia osi planety sprawiał, że letnie dni nie były dużo dłuższe od zimowych - już zmierzchało.

- Trudno mi uwierzyć, że nowoczesna armia może zachowywać się aż tak nieudolnie. Przecież ich generał i sztab przeszli przez taki sam kurs, jak my - powiedziałem do profesora.

- To nie ulega wątpliwości, mój chłopcze. Dobrej jakości produkt wymaga jednak nie tylko doskonałej obróbki, ale też świetnych materiałów. Ty pokazałeś, co jesteś wart, uwalniając tę dywizję. Pułkowników mogłem wybierać z dużej grupy kandydatów. Metody selekcji stosowane przez Serbów są bardziej tradycyjne. Dokonania czyichś przodków często znaczą więcej, niż jego osobiste przymioty.

- Wszyscy oni są niewiele warci - wtrącił Lloyd. Chrząknąłem.

- Serbowie zachowują się tak z innego jeszcze powodu - powiedziała Maria. - My, Chorwaci, nie mamy rozwiniętych tradycji wojskowych, a wy Kaszubi nie posiadacie ich wcale. Kiedy profesor uczył nas, jak walczyć, nie spieraliśmy się z nim. Staraliśmy się podchodzić do sprawy jak najbardziej twórczo, wymyślać nowe taktyki, które pasowałyby do nowoczesnej broni. Serbowie mają ponad sześćsetletnie tradycje wojenne. Niektóre z ich rodów oddawały swych synów do wojska od dwudziestu pokoleń. Ich dzieci dorastały, słuchając opowieści o czynach ich przodków. Od małego wiedzą, jak należy walczyć, i żadna maszyna nie będzie ich tego uczyć.

- Ciekawa myśl.

- Maria ma rację - powiedział Conan. - Zauważ, że poborowi są z reguły lepszymi żołnierzami niż ochotnicy. Przypadkowi dowódcy lepiej się sprawdzają na polu walki niż zawodowi oficerowie.

- To wciąż za mało. Tradycja nie robi z człowieka idioty.

- Chyba nigdy nie spotkałeś żadnego wieśniaka - zauważyła kąśliwie Maria.

- Może wcale nie są idiotami - powiedziała Kasia. – Może po prostu wiedzą, że jeśli wróg jest daleko, najlepiej jest odpoczywać i nabierać sił, że za duża troska o bezpieczeństwo w nieodpowiednim czasie może mieć skutki odwrotne do zamierzonych.

- Ale wróg wcale nie jest daleko - powiedziałem.

- To nie głupota. To dezinformacja - stwierdził Lloyd.

- Wszystko jedno. Miejcie oczy szeroko otwarte.

Mimo wszystkiego, co zostało powiedziane, po prostu wiedziałem, że Serbowie trzymają jakąś niespodziankę w rękawie, coś, co przeoczyliśmy. Ale co? Napięcie zaczęło źle wpływać na mój żołądek. Na stole przede mną pojawiła się tabletki przeciw nadkwaśności i szklanka wody. Połknąłem ją z myślą, że najlepiej by było, gdyby komputer w ogóle nie obdarzył mnie nadkwaśnością. Osiem czołgów, wyznaczonych do przekopania się pod Serbów zbliżało się właśnie do granic bazy. Miały wejść w jej obręb równocześnie z jednostkami na powierzchni – hałas jadących czołgów miał skutecznie zagłuszyć wszelkie odgłosy kopania.

Wszystko szło tak gładko, że mogliśmy tylko czekać. Tryb bojowy to wspaniała rzecz, kiedy rzeczy dzieją się szybciej, niż możesz pomyśleć, ale jeśli musisz tylko siedzieć i uważać, żeby z nerwów nie zjeść palców, pięćdziesięciokrotne przyspieszenie czasu może naprawdę dać się we znaki. Przyłapałem się na nadziei, że stanie się coś, co pozwoli nam wreszcie działać. Kiedy zbliżyliśmy się do bramy bazy dostaliśmy wiadomość od serbskiego generała, który uważał się za naszego dowódcę. Przywitał nas i kazał się pospieszyć, bowiem przyjęcie nabrało już rumieńców. Profesor odpowiedział za nas, ponieważ już od miesięcy udawał zabitych przez nas oficerów. Zapewnił, że zjawimy się tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Potem po prostu przejechaliśmy przez bramę, mijając samotnego wartownika i udaliśmy się na wyznaczone miejsca postojowe.

Zacząłem myśleć, że teraz właśnie nadeszła właściwa chwila na kolejną szkockiej. Moje nerwy głośno się jej domagały, jednak wziąłem się w garść. Siedziałem prosto, starając się wyglądać jak opanowany, pewny siebie dowódca, którym nie byłem, żeby podtrzymać na

duchu pozostałych. Wszyscy wyglądali na spokojnych. Prawdopodobnie udawali, żeby podtrzymać na duchu mnie.

* * *

Serbska armia składała się niemal z samych mężczyzn, a większość niższych stopniem była dość młoda. Po zaparkowaniu czołgów i dział około dziesięciu procent naszych żołnierzy wyszło z maszyn. Wszystko to byli młodzi, sprawni fizycznie mężczyźni, mogący dość dobrze naśladować serbski akcent. W zapadającym zmroku umyli się, ogolili i nasmarowali maścią barwiącą z olejkiem do opalania. Mundury kamo ustawili na serbskie kolory i oznaczenia, wtedy jednak zaczęły się schody. Kiedy Serbowie rozdawali zestawy do survivalu, nie zwracali sobie głowy sprawdzaniem, czy pasują. Żołnierze zaczęli się wymieniać. W końcu przez zestawy łącznościowe porozumieli się z profesorem, któremu udało się ostatecznie wszystko doprowadzić do porządku. Po jakimś czasie mundury dopasowano na tyle, że nasi żołnierze mogli z powodzeniem udawać Serbów.

Potem weszli z powrotem do swoich czołgów i dział, jednak nie napełnili ich płynem. W ten sposób byli gotowi do akcji i jednocześnie zabezpieczeni na wypadek, gdybyśmy musieli przejść do planu Z.

- Chciałbym móc iść z nimi - westchnął Couan.

- Nie ty jeden - powiedziała Kasia.

- Niestety żadne z was nie wygląda, jak trzeba - powiedziałem. - Kasiu, przecież nawet nie mówisz ich językiem.

- Wiem. Ale to nie znaczy, że nie mogę sobie pomarzyć.

Takie beczynne siedzenie doprowadza mnie do szału.

- Znam to uczucie - powiedziałem. - Profesorze, to czekanie działa nam wszystkim na nerwy. Proszę zwolnić upływ czasu do, powiedzmy, dwukrotnej prędkości czasu rzeczywistego. Proszę jednak wrócić do trybu bojowego, jeśli cokolwiek się wydarzy. Naprawdę cokolwiek.

- Ach, niecierpliwość młodości. Jak sobie życzysz, Mikołaju.

Nie poczuliśmy żadnej zmiany, ale życie na ekranach przyśpieszyło.

- Powinien pan powiedzieć „Ach, niecierpliwość opartych na związkach węglowodorowych istot ludzkich”, ponieważ nawet my, stare pierdziele mamy dość tej mieszaniny nudy i napięcia - powiedział Conan.

- Myślałem o powiedzeniu czegoś takiego, ale obawiałem się posądzenia o rasizm.

- Nie - powiedział Lloyd. - Jeśli uważasz, że maszyny są lepsze od ludzi, nie jesteś rasistą. Jesteś maszynistą!

Wszyscy starannie go zignorowaliśmy. Kiedy tylko zatrzymaliśmy się w bazie, nasze czołgi wypuściły część swoich dronów, by połączyć nas siecią światłowodów. Przy dłuższych postojach kable ciągnęło się pod ziemią, gdzie trudniej o ich uszkodzenie. Wciąż utrzymywaliśmy łączność przez komlasery, ale w każdej sytuacji bojowej dobrze jest mieć jakieś zabezpieczenie. Po kilku minutach pojawiły się serbskie drony, które podłączyły nas do sieci komunikacyjnej bazy, za co im oficjalnie podziękowaliśmy. Mogliśmy teraz rozmawiać z drugim Głównym Komputerem Bojowym i z serbskimi generałami, ale nie z ich pozostałymi siłami bezpośrednio. Jednocześnie oni mogli się porozumiewać z naszymi żołnierzami jedynie za naszym pośrednictwem.

Wynikało to z wojskowej etykiety. Według zasad dowodzenia ja i moi pułkownicy wciąż nominalnie dowodziliśmy naszą dywizją i miało tak pozostać, dopóki oficjalnie nie odbiorą nam komendy. Ceremonia zdegradowania nas do roli zastępców drugiego komputera i sztabu miała odbyć się następnego dnia w południe. Do tego czasu rozmawianie z naszymi żołnierzami bez naszego pośrednictwa byłoby nieuprzejme.

Serbowie oczywiście i tak nie mieli ochoty z nimi rozmawiać, ponieważ nasi ludzie byli dla nich po prostu jeńcami wojennymi, ale zasada pozostawała zasadą. My za to bardzo chcieliśmy pogadać z ich czołgami, działami i personelem. Trzeba mieć możliwość porozmawiania z kimś, jeśli chce się mu nakłamać.

Zaraz po tym, jak serbskie drony wycofały się do swoich czołgów, co dla nas ciągnęło się jak kilka wieków, drony z maszyn, które wysłaliśmy pod ziemię podłączyły nas do linii komunikacyjnych nieprzyjacielskiego Głównego Komputera. Słyszeliśmy w ten sposób wszystko, co do niego docierało i wszystko, co sam wysyłał. Podłączyliśmy się równolegle, tak, by mieć możliwość nie tylko odbioru, ale też nadawania.

* * *

Promień lasera roentgenowskiego przy pełnej mocy rozgrzewa powietrze do białości, co widać z odległości kilkuset kilometrów, jednak według naszych obliczeń przy ośmiu procentach mocy nie powinien dać się wykryć bez specjalnego oprzyrządowania. Co prawda, każdy nieprzyjacielski czołg posiadał takie oprzyrządowanie i regularnie z niego korzystał, ale serbskie maszyny stały daleko od ich Głównego Komputera Bojowego, oddzielone od niego ciężarówkami i artylerią. Mieliśmy nadzieję, że to wystarczy. Dalsze obliczenia pokazały, że cztery czołgi, strzelając z odległości dwóch metrów laserem o mocy ośmiu procent maksimum powinny usmażyć obwody Głównego Komputera w około trzysta dwadzieścia mikrosekund, co uznaliśmy za czas wystarczająco krótki.

Oczywiście była to czysta teoria. Nie posiadaliśmy zbędnego Komputera, by przeprowadzić na nim testy, nie mówiąc o tym, że trudno byłoby namówić go do udziału w takim eksperymencie. Był to jednak najlepszy pomysł, na jaki wpadliśmy, a w pogotowiu zawsze był jeszcze plan Z. Cztery inne czołgi, również przy użyciu niskiej mocy laserów z małej odległości, miały wykończyć serbskie dowództwo, bawiące się w najlepsze w klubie oficerskim. Kiedy cała ósemka znalazła się na pozycjach, dałem profesorowi kilka minut, by przygotował się jak najlepiej do udawania swego przeciwnika.

- Jestem gotów, mój chłopcze.

- Ognia!

Lasery, zamontowane na kadłubach ośmiu zakopanych czołgów wystrzeliły nad ziemię w fontannach pustynnego piachu i otworzyły ogień, a profesor zablokował nieprzyjacielską sieć komunikacyjną ładunkiem trzasków. Komputer smażyliśmy przez całe trzy sekundy, tak na wszelki wypadek, a klub oficerski trzymaliśmy pod ogniem przez pełną minutę. Usłyszeliśmy kilkadziesiąt głuchych uderzeń, krótki krzyk i brzęk roztrzaskującej się na podłodze klubu tacy ze szkłem, po czym zapadła cisza. Serbski Komputer Operacyjny umarł bez jednego dźwięku. Oba martwe cele wyglądały dokładnie tak samo, jak za życia, były jedynie odrobinę cieplejsze. Na szczęście nikt, oprócz nas, nie badał ich właśnie skanerami podczerwieni. Odczekaliśmy jeszcze dwie minuty, ale nic się nie poruszyło.

Rozkazałem czołgom na powrót się zakopać, a tysiącu dwustu mężczyznom wyjść z ich pancernych machin. Pozostało mi się tylko modlić. Nasi żołnierze ruszyli naprzód w pozornie bezładnym szyku, charakterystycznym dla nowoczesnej piechoty. Nie przypominali bezmózgich marionetek, w dawnych czasach uchodzących za wojsko. Byli świetnie wyszkolonymi specjalistami. Jedyne problem tkwił w tym, że nie byli świetnie wyszkoloną piechotą. Żaden z nich nie zrobił ani kroku o własnych siłach przez ostatnie trzy miesiące. To, że w ogóle mogli chodzić, zawdzięczali regularnym ćwiczeniom, które wykonywali w trumnach. Karabinów używali zaledwie kilka razy, w symulacjach i mogliśmy tylko mieć nadzieję, że ich przeciwnik jest tak samo nędznie wyszkolony. Wiarę w powodzenie naszego planu dawał mi jedynie fakt, że każdy z żołnierzy miał ze sobą komlink z zestawu survivalowego, przez co pozostawali w ciągłym kontakcie z profesorem.

Profesor skontaktował się z serbskimi wartownikami przy bramach, koszarach piechoty i w obozie koncentracyjnym i poinformował ich, że nowi żołnierze, niżsi stopniem, przejmą ich obowiązki, a oni dostaną wolny wieczór. Większość Serbów ucieszyła się z niespodziewanej zmiany planów i uznała, że nie warto dociekać przyczyn. W każdej armii zdarzają się czasem takie rzeczy - „Departament Dobrych Wrózek” czasami robi coś, jak

trzeba. Część wartowników - ostrożni, podejrzliwi i paranoicy - próbowali potwierdzać nowe rozkazy, z kimkolwiek jednak próbowali się łączyć, zawsze kontaktowali się z profesorem. Każdemu z osobna powiedziano, że nowi spieprzyli sprawę i zostali wyznaczeni do służby wartowniczej za karę. W coś takiego mógł uwierzyć każdy żołnierz. Kłopoty sprawiało jeszcze tylko dwóch sierżantów. Obaj zapadli niespodziewanie na łagodne skręcenie karku i zostali oficjalnie umieszczeni na liście chorych. Drużyna naszych żołnierzy udała się do wylotu tunelu, prowadzącego na Nową Serbię i zmieniła stacjonujący tam mały oddział. Kiedy Serbowie sobie poszli, żołnierzy wsparły dwa tuziny czołgów, na wypadek jakichś nieprzewidzianych zajść.

Gdyby cokolwiek wyjechało z tunelu, nasi ludzie mieli to przepuścić, zatrzymać albo zabić, w zależności od sytuacji. Nad całością czuwał profesor. Kolejny oddział udał się do klubu oficerskiego, sprawdził stopy trupów wewnątrz i wystawił strażników dookoła budynku. Wewnątrz znajdowało się około czterech i pół tysiąca trupów, o wiele więcej, niż się spodziewałem. Kiedy oglądałem to miejsce na mapie, założyłem, że nie pokazuje ona rozmiarów budynku, lecz działkę, na której ten budynek stał.

W nowoczesnych wojskach pancernych zaledwie niewielki procent żołnierzy to oficerowie i spodziewałem się, że wszystkie serbskie siły są zorganizowane w ten sam sposób. Nigdy o to nie spytałem, a profesor mi o tym nie powiedział. Ich wojska pancerne miały taką samą strukturę dowodzenia, jak nasze, ale piechota, skoszarowana w garnizonie i pełniąca rolę żandarmerii miała niemal taką samą kadrę, jak armia Hitlera. Poza tym większość Serbów przysłała na przyjęcie z żonami i dziewczynami. Do tego trzeba doliczyć kucharzy, kelnerów, ludzi od rozrywki, kelnerki, pomywaczy, barmanów, muzyków i całą resztę. Wszyscy oni nie zasłużyli na śmierć. Gryzło mnie to, ale było już za późno. Do cholery, nikt ich tutaj nie zapraszał. Nie kazałem im najeżdżać cudzego kraju.

Kazałem profesorowi puścić nam krótkie nagranie sprzed kilku miesięcy, na którym Serbowie gwałcili jeńców przed obsadzeniem ich w czołgach. Udało mi się znowu wściec a część poczucia winy zniknęła. Tylko część. Chorwaci w moim sztabie nie sprawiali za to wrażenia przybitych. Nawet Mirko roześmiał się na widok urządzonej przez nas rzezi, a Conan wprost szalał z radości. Również żołnierze, pilnujący klubu, byli w dobrych nastrojach. Niektórzy żalowali jedynie śmierci tylu atrakcyjnych kobiet - uważali, że można było wykorzystać je znacznie lepiej. Opowiadali sobie nawet o tym dowcipy.

Cała ta sytuacja napawała mnie obrzydzeniem, ale nie mogłem nic zrobić. Mogłem kontrolować poczynania moich żołnierzy, ale nie ich nastawienie. Pielęgnowana przez stulecia nienawiść nigdy nie daje się wykorzenić. Potem mogliśmy znów jedynie czekać.

Cywile w obozie koncentracyjnym nie zauważyli nawet, że zmienili się ich strażnicy i poszli spać zaraz po zmroku, co było nam na rękę. Nie mieliśmy pewności, jak zareagują na oswobodzenie, a nie chcieliśmy robić hałasu, zanim nie zajęlibyśmy reszty obozu.

Kolejne dwa tysiące naszych żołnierzy opuściło czołgi, doprowadziło się do porządku i przebrało w serbskie mundury. Niedługo potem krążyli już między pustymi czołgami i działami dywizji, stojącej na przepustce. Korzystając z serbskich kodów, profesor powiedział wszystkim maszynom, że mają się poddać niewielkiej kontroli, a maszyny bardzo sumiennie traktują wszelkie rozkazy.

Kiedy chorwacki żołnierz podchodził do czołgu, ten otwierał się posłusznie, pozwalając wyjąć sobie moduł pamięci, co zamieniało maszynę w automat, zdolny jedynie do wciągnięcia trumny do środka. Dwanaście tysięcy modułów ułożono w równe stosy wśród naszych czołgów, gdzie czekały na przeprogramowanie. Sporadycznie do klubu oficerskiego podchodzili jacyś ludzie. Jeśli było to możliwe, po cichu ich zatrzymywano, jeśli nie, równie po cichu zabijano. Więźniów i ciała ukrywano w pustych barakach, odkrytych w obozie koncentracyjnym. Serbskim żołnierzom, wracającym z miasta, pozwalano udać się do koszar. Wielu uprzedzono, że powinni się dobrze wyspać, bo rano czeka ich długi marsz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

KOLEJKĘ KŁAMSTWA, MORDERSTWO I WESELE

Na dwie godziny przed świtem serbska dywizja, która miała komplet obserwatorów, dzięki uprzejmości profesora została postawiona w stan pogotowia. Czołgi wyjechały na pustynię na północ od bazy i rozpoczęły skomplikowane manewry i ćwiczenia. Jutro będziemy się martwić, co z nimi zrobić, na razie mieliśmy inne sprawy na głowie.

Godzinę przed świtem starsi sierżanci wszystkich, kompanii piechoty dostali telefony od swoich oficerów, jak im się wydawało. Sztab uznał, że żołnierze zmiękli w koszarach i że trzydziestokilometrowy marsz w niedzielny poranek na pewno poprawi im kondycję. Żołnierze mieli wyruszyć o świcie, z całym oporządzeniem i bronią osobistą. Ciężką broń przeciwpancerną mogli zostawić, ale karabiny były obowiązkowe. Mieli wymaszerować niezwłocznie w eskorcie kilku czołgów i iść na północ, aż dostaną rozkaz postoju. Śniadanie

miało być wydane po drodze, o ósmej. Jakież pytania? Natychmiast pojawiło się oczywiście tysiąc pytań i jeszcze więcej skarg, ale profesor był nieugięty i w końcu rozkazy wykonano.

Niemal sto tysięcy zaspanych, skacowanych, i głęboko nieszczęśliwych Serbów wymaszerowało na pustynię. Niektórzy trzymali nawet krok. Zauważyłem, że wszyscy noszą czarne mundury i nie było mi ich ani trochę żal. Po kilku godzinach automatyczne ciężarówki dogoniły kolumnę i wyładowały racje polowe, wodę w butelkach i apteczki. Po godzinnej przerwie czarnym koszulom rozkazano podjąć marsz.

Wielu z nich zauważyło, że nie ma z nimi oficerów i głośno protestowało przeciw tak rażącemu nadużyciu rangi, ale nic im to nie dało. Spoceni sierżanci zaczęli wrzeszczeć i cała gromada powlokła się dalej. Tymczasem na Przyczółku Chorwaci nie próżnowali. Przeszukano dokładnie obóz serbskiej piechoty, biorąc do niewoli około sześciu tysięcy ludzi - chorych i symulantów. Przeszesano osiedle oficerskie, aresztując kolejne dziewięć tysięcy, głównie kobiet, dzieci i służących. Po przeszukaniu reszty wielkiej bazy dołączył do nich jeszcze tysiąc osób, od dozorców po prostytutki.

Wreszcie poinformowano o wszystkim więźniów z obozu. Większość zareagowała dziką radością, choć zaskakująco wielu nie mogło uwierzyć, że są wolni. Powiedziano im, że nie są jeszcze bezpieczni. Znajdowali się daleko za liniami wroga, ale mieliśmy plan, jak dostarczyć ich z powrotem do swoich. Mieliśmy wyjaśnić im wszystko o szesnastej na placu defilad.

Tymczasem znaleźliśmy nowe zastosowanie dla obozu koncentracyjnego, a ponieważ dotychczasowi więźniowie zdecydowanie potrzebowali ubrań i innych niezbędnych rzeczy, pozwoliliśmy im splądrować osiedle oficerskie. W stołówkach i szpitalu czekało na nich dodatkowe jedzenie i pomoc medyczna. Perspektywa łupu podniosła na duchu nawet najbardziej przygnębionych i obóz szybko opustoszał. Wkrótce został ponownie zapełniony, Serbami różnej wielkości, płci i rozmiarów - krótko mówiąc wszystkimi Serbami, którzy nie byli martwi, albo nie włączyli się po pustyni. Kilku oficerów uszło rzezi w klubie. Za moją zgodą profesor zrobił jednego z nich szefem jeńców. Dano mu telefon, żeby mógł prosić o wszystko, co mogłoby być potrzebne, a obóz otoczyło trzydzieści czołgów, mając zapobiegać ucieczkom. Ponieważ tylko jeden miał broń przeciwpiechotną, jakakolwiek próba wydostania się z obozu spotkałaby się z ogniem zaporowym dział próżniowych, a śmierć zebrałaby obfite żniwo. Oficer sprawiał wrażenie rozsądnego człowieka, który zaprowadziłby wśród jeńców porządek.

Conan był przekonany, że większość byłych więźniów da się namówić do wstąpienia do chorwackiej armii, a przynajmniej pozwoli się zamknąć w czołgu jako w

najbezpieczniejszym środkiem transportu do domu. Po sprawdzeniu komputerów w magazynach okazało się, że mamy dość hełmów i przystawek rdzeniowych, więc zaczęliśmy wprowadzać program w życie. Ponieważ Conan był nim tak bardzo podekscytowany, pozwoliłem mu się tym zająć. Wszyscy zgodziliśmy się, że powinien porozmawiać z ludźmi osobiście. Słowa dobiegające z głośników czołgu nie wywarłyby należytego efektu. Przez całe przedpołudnie Conan przygotowywał się do wystąpienia o szesnastej.

- To dziwne - powiedziała Kasia, oglądając jego przemowę na ekranie w pokoju sztabowym. Komputer zaopatrzył obraz w kaszubskie napisy. - Wiem, że to Conan, ale widzę obcego, starego człowieka, mówiącego językiem, którego nie rozumiem.

- Świat Snów chyba nas rozpuścił, kochanie. Zaczynam się martwić, że będziemy mieli problemy z dostosowaniem się do rzeczywistości.

- Jeśli przez to martwisz się mniej o to, co dzieje się teraz, to dobrze. Damy sobie radę.

O osiemnastej serbska piechota była już trzydzieści pięć kilometrów od bazy. Kazałem im rozbić obóz, a automatyczne ciężarówki dostarczyły żołnierzom zapasy, niezbędne do przetrwania nocy. Cały czas myśleli, że przekazywane przez czołgi rozkazy pochodzą od ich własnych oficerów. Większość sztabu musiała zostać we wnętrzu Głównego Komputera na wypadek jakichś nieoczekiwanych okoliczności. Widzieliśmy, co się stało z Serbami, kiedy zostawili swój Komputer bez opieki.

Maria poszła zaznajomić się z Conanem - myślę, że chciała zobaczyć, czy spodobała się sobie w realnym świecie. Z zaskoczeniem stwierdziła, że jest w o wiele lepszej formie niż kiedy po raz pierwszy weszła do czołgu. Jej twarz wciąż wyglądała na czterdzieści kilka lat, ale miała wspaniałe ciało, prawie tak samo piękne, jak w Świecie Snów. Trzy miesiące naukowo opracowanego treningu fizycznego robiło cuda.

Jednak, mimo że nie mogliśmy obsadzić nowych ochotników, mieliśmy dwanaście tysięcy wyszkolonych żołnierzy i maszyn bojowych, którzy mieli to zrobić za nas. Wkrótce rozpoczęło się namawianie ludzi z obozu, przeprogramowywanie modułów serbskich czołgów i obsadzanie w nich ludzi. Skończyliśmy o północy, dzięki stworzeniu kolejnych dwunastu tysięcy kopii Agnieszki i Ewy. Wyzerowanie pamięci nowej dywizji zajęłoby Komputerowi tydzień, a tkwienie na Przyczółku przez tyle czasu byłoby już kuszeniem losu.

Ostatecznie jedynie kilka setek byłych więźniów uparło się wracać do domu ręcznie kierowanymi ciężarówkami i autobusami, które znaleźliśmy w parku maszyn. Wyszło nam to w sumie na dobre, ponieważ wśród Chorwatów znajdowało się ponad trzysta pięćdziesięcioro dzieci, które były zbyt małe, by dopasować im hełmy i ktoś musiał się nimi zająć.

Mieliśmy za sobą długi dzień i jeszcze dłuższą poprzednią noc. Wszyscy, którzy nie mieli akurat służby wartowniczej dostali rozkaz odpoczynku do ósmej rano. Kiedy się obudziliśmy, serbska piechota znów maszerowała przez pustynię, próbując dotrzeć do ciężarówek, w których czekało ich śniadanie. Ciężarówki stały piętnaście kilometrów na południe, czarne koszule miały więc znaleźć się tak daleko od bazy, że nawet, gdyby odkryły, co się stało, nie mogłyby wrócić bez wody i żywności, której my nie mieliśmy zamiaru im dawać.

Serbska dywizja pancerna, obsadzona wyszkolonymi żołnierzami stanowiła większy problem. Dziesięć tysięcy czołgów i dwa tysiące dział mogą narobić poważnych kłopotów, jeśli się zdenerwują. Rozkazaliśmy im więc wracać grupami po pięćset, pod pozorem przepustek dla ludzi i drobnych przeprogramowań maszyn. Byliśmy gotowi na ich przyjęcie. Z dala od wszystkiego, co mogłoby zdradzić, co zaszło w bazie czekało pięćset sześćosobowych grup, mających ogolić, uczesać i ubrać powracających bohaterów.

Tysiąc czołgów stało w pogotowiu, gotowe rozwalić każdego, kto okazałby się zbyt inteligentny. Kazaliśmy Serbom wracać w szyku paradnym. Nikt nie zaprotestował. Serbskie dowództwo najwyraźniej lubiło defilady. Na rozkaz profesora z pięćset czołgów wysunęło się pięćset trumien, pięćset Chorwatów wyciągnęło z nich moduły pamięciowe, a pięćset nagich Serbów zaprowadzono pod broń do obozu koncentracyjnego. Wszystko poszło nadspodziewanie dobrze. Wybuchło jedynie kilka bójek i nikt nie został postrzelony. Moduły zostały przeprogramowane i zainstalowane przed przybyciem kolejnej pięćsetki. Zajęło nam to cały dzień, ale wieczorem, kiedy skończyliśmy, mieliśmy na swoje rozkazy trzy dywizje lojalnych czołgów. Każdej maszynie z pierwszej dywizji przydzieliliśmy dwa lub trzy nowe nabytki, ponieważ zaledwie połowa z nich miała obserwatorów, a żaden z nich nie przeszedł jeszcze szkolenia.

Musieliśmy pozostawić tuzin czołgów z pierwszej dywizji, by zajęły się serbską piechotą, i jeszcze dwie setki do pilnowania obozu i samej bazy. Wszyscy wartownicy wrócili do swoich czołgów i dostali rozkaz pozostania w nich. Przygotowali się do zniszczenia bazy w razie konieczności, generalnie jednak stała ona na chorwackiej ziemi i mogła się nam jeszcze przydać. Ponieważ fale radiowe były nieustannie zakłócone, a satelity komunikacyjne zostały dawno zniszczone, jedyną łączność między Przyczółkiem a Nową Serbią zapewniały światłowodowe łącza w tunelu. Profesor podłączył się do nich i fałszował rutynowe komunikaty, tak, że nikt się w niczym nie połapał.

Przybywających tunelem ludzi i maszyny po prostu zatrzymywaliśmy. Ci, którzy mieli wracać, byli „opóźniani” z różnych powodów. Profesor zapewniał, że jest w stanie

utrzymywać tę grę pozorów przez co najmniej dwa tygodnie, zanim nieprzyjaciel przyśle uzbrojony zwiad. W automatycznych magazynach zostawiliśmy żywność dla piechoty, mieszkańców miasteczka i nowych więźniów w obozie, a całą resztę załadowaliśmy na wszystkie ciężarówki, jakie mogliśmy znaleźć, zostawiając jedynie niezbędne minimum. Dla bezpieczeństwa strażników nie zostawiliśmy żadnej broni, która mogłaby zagrozić czołgowi.

Zniszczyliśmy wszystkie pojazdy, jakie znaleźliśmy w miasteczku, ale poza tym nie wyrządziliśmy w nim żadnych szkód. Nie mogli nam nic zrobić, nie mieli łączności z Nową Serbią, musieli więc czekać, aż sytuacja sama się wyklaruje. Zresztą i tak wszyscy niemal mieszkańcy byli Serbami.

Kilka mil w głąb tunelu umieściliśmy sporą bombę, ale nie zdetonowaliśmy jej. Kto wie? Może któregoś dnia przyda nam się solidny tunel na Nową Serbię, a może oni spróbują najechać nas jeszcze raz. Wtedy moglibyśmy zniszczyć ich armię wraz z tunelem. Kroplą goryczy był fakt, że nie mogliśmy zabrać ze sobą dzieci i tych, którzy nie zgodzili się wsiąść do czołgów. Jedynymi pojazdami, którymi mogli podróżować, były autobusy i ciężarówki, które nie przetrwałyby nawet drobnej potyczki, a my musieliśmy przebić się przez całą serbską armię.

Niektórzy straszili, że pojedą za nami, aż w końcu musiałem zagrozić, że zniszczymy pierwszy autobus, który tego spróbuje. Co chcieli zrobić dorośli, było ich osobistą sprawą, ale mieli ze sobą dzieci i musieli wziąć za nie odpowiedzialność. Zanim kłótnia dobiegła końca, kilkuset rekrutów, głównie spokrewnionych z dziećmi, odłączyło się od nas, by się nimi zająć. Pozwoliłem im na to. I tak nie mielibyśmy z nich pożytku w walce - byli jeszcze zupełnie niewyszkoleni.

Wczesnym rankiem ruszyliśmy na zachód, prowadząc trzy dywizje czołgów. Kiedy dotarliśmy do pierwszego pasma gór, Kasia dokonała wspaniałego odkrycia. Wśród ludzi uwolnionych z obozu i namówionych do wstąpienia do armii był prawdziwy, katolicki ksiądz! Jego czołg natychmiast dostał polecenie podjechania do Głównego Komputera Bojowego, a Kasia, Maria i pół tuzi na służących zajęło się organizowaniem wesela w Świecie Snów. Sam ślub musiał się odbyć w czasie rzeczywistym, ponieważ czołg księdza nie był w stanie obsługiwać Świata Snów w trybie bojowym. Oznaczało to jednak, że mogliśmy zaprosić dwie dywizje ludzi razem z ich maszynami.

Ksiądz, ojciec Tomasz, zgodził się poprowadzić ceremonię z zastrzeżeniem, że będzie to rodzaj ślubu przez pełnomocnika i że Świat Snów będzie pełnić rolę środka łączności, jak telefon czy radio, z których korzystano do tej pory, jeśli narzeczeni nie mogli być fizycznie razem. Najchętniej zatrzymałby wszystkie trzy dywizje na pustyni, kazał wszystkim wsiąść i

zrobił wszystko, jak należy, ale musiałem odrzucić jego sugestie. Wciąż znajdowaliśmy się na tyłach wroga, a przykład Serbów pokazał nam, czym grozi zostawienie Głównego Komputera Bojowego bez obsługi. Poza tym Agnieszce pękłoby serce, gdyby nie mogła być na ślubie. Chociaż więc komunია święta była niemożliwa w Świecie Snów, mogliśmy się wypowiedzieć, a oboje mieliśmy ponad osiem lat grzechów, których musieliśmy się pozbyć. Trochę to trwało, ale było konieczne.

Ślub był wspaniały. Katedra, w której się pobraliśmy, była większa, niż jakakolwiek świątynia w realnym świecie. Musiała taka być, żeby pomieścić dwadzieścia dwa tysiące ludzi, nie wspominając o trzydziestu sześciu tysiącach myślących maszyn. Wesele było równie wystawne - na rożnach piekły się setki całych krów, a stoły uginały się pod sam nie wiem iloma tonami pyszności. Oczywiście tylko w Świecie Snów. Kiedy zabawa dobiegła końca, musieliśmy skrócić nasz miesiąc miodowy do czterech dni, i to w trybie bojowym ponieważ zbliżaliśmy się do linii frontu i trzeba było wracać do pracy.

Skontaktowanie się z naszymi przełożonymi wymagało jedynie wysłania serii odpowiednio zakodowanych rakiet radarowych, wyjaśniających wszystko chorwackiej wierchuszce i uzgadniającej strategię eliminacji serbskich oddziałów. Naturalnie zadbaliliśmy o to, by Chorwaci dostali serbskie kody bojowe.

Kiedy wszystko już zostało ustalone, natarliśmy z tyłu na szeregi wroga. Serbowie nie mieli pojęcia o naszym zwycięstwie i straconych trzech dywizjach. Najwyraźniej myśleli, że tunel i baza na Przyczółku wciąż były w ich rękach. Wszystkie informacje, jakie mieli, pochodziły z naszego Głównego Komputera Bojowego. Wzięci w dwa ognie Serbowie nie byli w stanie odróżnić swoich oddziałów od przeciwnika - ich czołgi i artyleria ślepo wierzyły naszemu Komputerowi. To nie była nawet bitwa. To była rzeź. Udało nam się jednak skłonić połowę nieprzyjacielskich maszyn do kapitulacji, przekonawszy je, że ich obserwatorzy to zdrajcy.

Kiedy już po wszystkich podsumowaliśmy swoje dokonania, okazało się, że odzyskaliśmy całe okupowane terytorium Chorwacji, uwolniliśmy ogółem czterdzieści dwa tysiące internowanych i jeńców wojennych oraz wzbogaciliśmy chorwacką stronę Kaszubskich Sił Ekspedycyjnych o ponad pięć i pół dywizji czołgów. Potem pojechaliśmy do domu, świętować zwycięstwo. Wojna jeszcze się oczywiście nie skończyła, ale od tej pory miała się toczyć na terytorium Serbów. Moi pułkownicy i ja zostaliśmy ugoszczeni na tuzinie bankietów i obwieszeni medalami, a do tego pozwolono nam zachować stopnie, które przyjeśliśmy. Dostaliśmy znaczne sumy pieniędzy, honorowe (i wolne od podatku) obywatelstwo chorwackie i spore nadziały ziemi. Wspólnie, Kasia i ja mieliśmy jedenaście

kilometrów kwadratowych posiadłości, a większość tych terenów nadawała się pod uprawę. Poganiani przez wszystkich zainteresowanych powtórzyliśmy śluby małżeńskie i pobraliśmy się jeszcze raz, tym razem w rzeczywistości.

Wesele trwało tydzień. Z Nowych Kaszub przylecieli wszyscy nasi krewni, nawet wuj Włodzimierz pojawił się, by ucałować pannę młodą. Powiedział mi, że nasi dealerzy sprzedali właśnie Serbom sześć dywizji pustych maszyn za cenę, która wpędzi ich w długi na pięćdziesiąt lat. Ktoś nakręcił nawet o mnie film.

EPILOG

RIGELLIAŃSKI INSTYTUT ARCHEOLOGII, ROK 3783

- Niesamowita historia, Rupercie. Nietrudno zrozumieć, dlaczego Świat Snów został zakazany w całym cywilizowanym wszechświecie. Pomyśleć, że człowiek mógł spędzić ponad cztery lata, żyjąc kłamstwem! Okropność!